

magazine

NR
3

MAGAZYN OTWARTYCH OCZU

90

**O mig...racjach
pisze**

MATEUSZ ZMYŚLONY

6

**Czym jest kobiecość
mówi**

AGNIESZKA HOLLAND

50

**O handlu w przestrzeni
miejskiej opowiada**

ANDRZEJ JAROSZ

64

Patrzyć nie znaczy widzieć.

Rzeźby DAVIDA ČERNEGO to różne punkty widzenia na rzeczywistość. Redefiniują przestrzeń publiczną czeskiej Pragi. Rzucają wyzwanie rządzącym, budzą zachwyt i kontrowersje, prowokują do dyskusji i... przyciągają tłumy.



Eskadra
some think new

NOWI MIESZCZANIE UWIELBIAJĄ WISE BRANDS

ESKADRA dziękuje swoim Klientom za tworzenie kultury marki.

Forum Gdańsk, IKEA Polska, Tatrzański Park Narodowy, Mazda Polska – tak trzymać!

Wszystko, co najważniejsze



MATEUSZ ZMYŚLONY

strateg, doradca
i ekspert w dziedzinie
komunikacji społecznej,
reklamy, marketingu
miejsc i wielkich
wydarzeń z 25-letnim
doświadczeniem
w branży. Założyciel
i dyrektor kreatywny
ESKADRY – jednej
z czołowych na polskim
rynku niezależnych
agencji reklamowych.

Wielkie zmiany czasem zaczynają się niepozornie. Kilka lat temu wraz z Jerzym Hausnerem planowaliśmy pierwszy Open Eyes Economy Summit. Dziś dookoła światowego szczytu ekonomii wartości, jakim stał się OEE, wyrosło całe błękitne uniwersum. Stworzyliśmy niezwykłą międzynarodową społeczność, dla której kongres jest swoistym punktem kontaktowym. Jest trochę tak, jakby co roku Kraków stawał się epicentrum wielkiego trzęsienia ziemi – fala uderzeniowa burzy stare struktury myślowe, inspiruje do działania, realnie zmienia życie ludzi i ich przestrzeń. Wydajemy „Open Eyes Magazine”, ukazują się kolejne książki z cyklu *Open Eyes Book*. Kongres wyruszył też w podróż – cykl spotkań OEE on Tour „rozmnaża się przez pączkowanie”. W jego ramach w różnych punktach Polski i Europy organizujemy inspirujące sesje i spotkania. Działamy cały rok – byliśmy we Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie, Gorzowie Wielkopolskim... a nawet w Amsterdamie. Przed nami kolejne miasta, zarówno polskie, jak i zagraniczne.

Ktoś mówi: „Chcę zmieniać świat”, a większość myśli: „Marzyciel, niepoprawny idealista”. Nie jesteśmy marzycielami – jesteśmy realistami. Wiemy, że nowa ekonomia jest możliwa. Teorię opieramy na doświadczeniach, a idee przekuwamy w działania. Pokazujemy dobre praktyki i promujemy ich rozpowszechnianie. Uważamy, że mamy prawo i możemy żyć w świecie opartym na wartościach, sprawiedliwości i tolerancji, szacunku dla odmienności. Nie czekamy, aż ktoś da nam taki świat w prezencie, ale po prostu codziennie i konsekwentnie sami go tworzymy. Chcemy zakupów *fair trade* i *fair play*. Chcemy zakończyć farmagedon – nieetyczną i nieekonomiczną eksploatację zwierząt oraz powstrzymać marnowanie surowców. Chcemy pływać w czystych oceanach i oddychać powietrzem wolnym od smogu. Chcemy przywrócić miasta ich mieszkańcom, a pracownikom pomóc odzyskać poczucie sensu tego, co robią. Chcemy poznać i zidentyfikować problemy oraz odpowiedzieć na najtrudniejsze pytania.

I będziemy to robić – do skutku.

Mateusz Zmyślony

PS Tak! Ten numer „Open Eyes Magazine” jest wydrukowany na ekologicznym, recyklingowym papierze z certyfikatami FSC i Ecolabel od firmy Antalis, której dziękujemy za wsparcie. Drukujmy na takich papierach jak najczęściej.

Spis treści

**OPEN EYES MAGAZINE –
MAGAZYN OTWARTYCH OCZU**

WYDAWCA
Fundacja Gospodarki i Administracji
Publicznej, www.fundacjagap.pl

REDAKTOR NACZELNY
Mateusz Zmysłony

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY
Weird Gentlemen (Łukasz Podolak)

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTU
Anna Papiernik

REDAKCJA JĘZYKOWA I KOREKTA
Paulina Bieniek, Barbara Leśniak,
Alicja Pietrzyk, Anatol Witkowski

KOORDYNACJA WYDANIA
Anna Papiernik

KONTAKT
ul. ks. bp. W. Bandurskiego 58/11,
Kraków, tel.: 12 423 76 05,
e-mail: magazine@oees.pl

TWITTER
@OpenEyesEconomy

FACEBOOK
@OpenEyesEconomy

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE
Mikołaj Gospodarek

Partnerem wydania jest firma Antalis.
Magazyn wydrukowano na papierze
Cocoon silk.



CZŁOWIEK – PRACA

4 — 15



PLACE

4 — 5
Poziom zatrudnienia

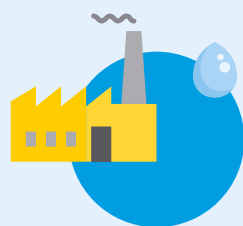
WOMEN POWER

6 — 11
Kobiecość

12 — 15
Tabu polskiej edukacji

FIRMA-IDEA

16 — 37



WODA

16 — 17
Woda

18 — 23
Życ z wodą, a nie przeciwko niej

ELEKTROMOBILNOŚĆ

24 — 27
Elektryczne auta nie zmieniają
świata

28 — 30
Energia pod różnymi
postaciami

ROLNICTWO PRZYSZŁOŚCI

31 — 35
Rolnictwo miejskie, czyli o rajach
utraconym

36 — 37
Kawa w Rwandzie jak skarb
narodowy

MIASTO-IDEA

38 — 59



WSPÓŁCZESNE MIASTA

38 — 39
Gęstość zaludnienia

40 — 42
Zbudować nowe miasta bez
burzenia

43 — 45
Miasto wszystkich i dla
wszystkich

46 — 49
Strategie rozwoju miast

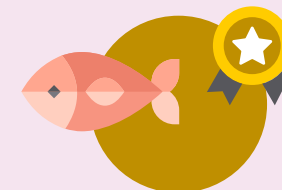
50 — 55
O symbiozie handlu
i przestrzeni publicznej

56 — 57
„Wirtualny urzędnik”,
czyli miasto przyjazne
mieszkańcom

58 — 59
Potencjał ekonomiczny oraz
atrakcyjność inwestycyjna
Małopolski

MARKA – KULTURA

60 — 87



CERTYFIKATY

60 — 61
Certyfikaty: papier, żywność,
odzież

62 — 63
Kraina kredy odchodzi

KULTURA

64 — 69
David Černý, czyli jak artysta
zmienia świat

ŻYWNOSĆ

70 — 74
Ekologiczne nie zawsze znaczy
uczciwe

75 — 79
Mięso w menu to tylko nasze
przyzwyczajenie

78 — 79
Ile żywności marnujemy

80 — 87
Jemy bezpiecznie, a teraz,
jedząc, możemy uratować świat

ŁAD MIĘDZYNARODOWY

88 — 95



MIGRACJE

88 — 89
Migracje do Europy

90 — 93
Mig...racje

94 — 95
Fairtrade jest fair, czy o tym
wiesz, czy nie

Poziom zatrudnienia

CZŁOWIEK – PRACA

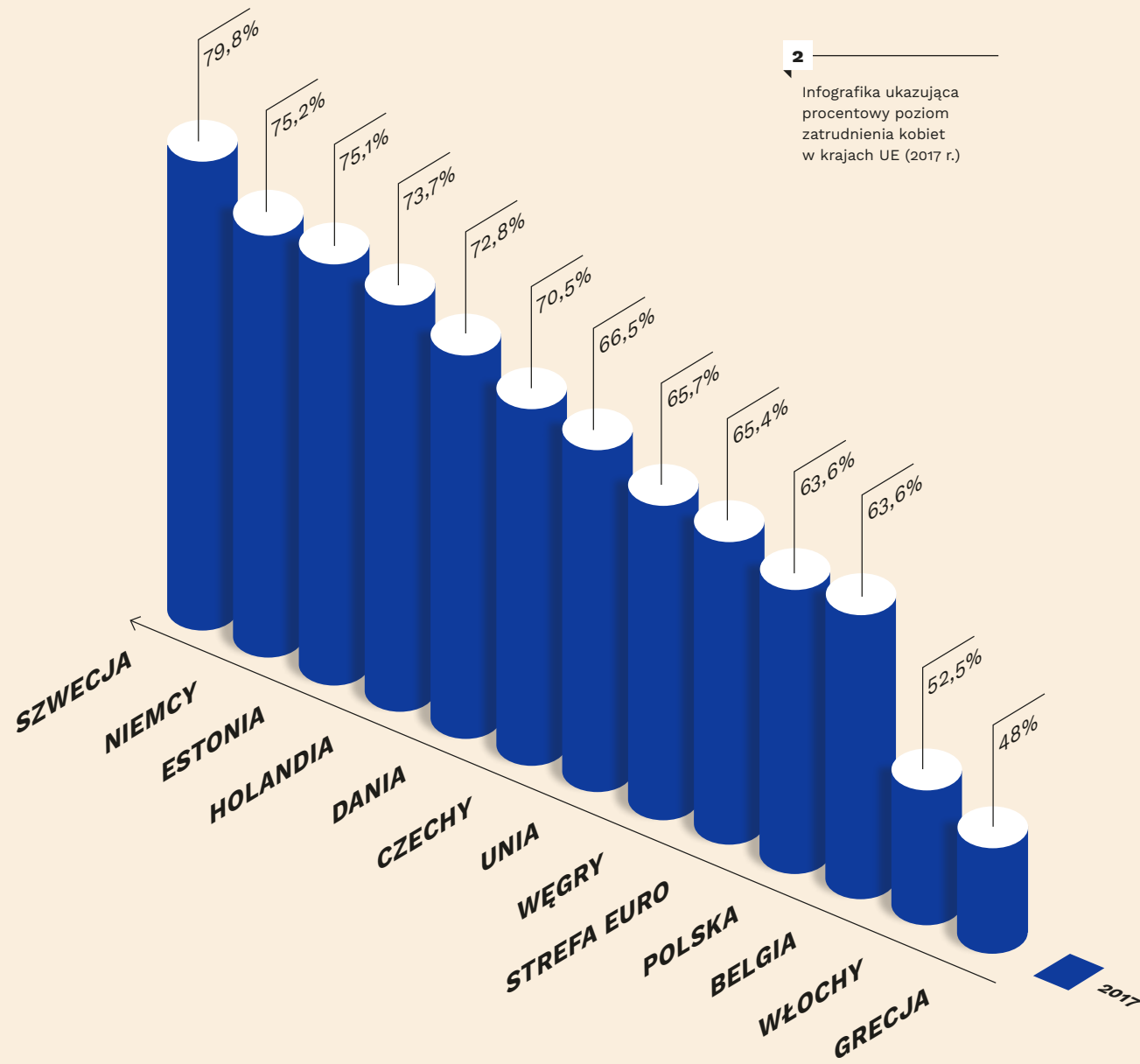
1

Poziom zatrudnienia (liczony dla grupy wiekowej 20–64 lata, dane Eurostatu) ogólny

ROK	Unia Europejska	Nowe państwa UE	Finlandia	Dania	Węgry	Włochy	Niemcy	Francja	Czechy	Belgia	Hiszpania	Polska	Włochy	Węgry
2007	69,8%	69,9%	80,1%	79%	77,8%	76,9%	72,9%	72%	67,7%	65,8%	62,7%	62,7%	62,3%	62,3%
2017	72,2%	71%	81,8%	78%	78%	78,7%	79,2%	78,5%	68,5%	57,8%	70,9%	62,3%	73,3%	73,3%
2007	77,7%	78,2%	83,1%	83,2%	84,8%	81,4%	79,1%	81,5%	75%	80,1%	70,2%	75,7%	69,8%	69,8%
2017	78%	76,6%	83,8%	80,2%	83,3%	82,4%	83,1%	86,3%	73,4%	67,7%	78,2%	72,3%	81%	81%
2007	62,1%	61,7%	77,1%	74,7%	70,7%	72,6%	66,7%	62,4%	60%	60,3%	55,5%	49,9%	55,2%	55,2%
2017	66,5%	65,4%	79,8%	73,7%	72,8%	75,1%	75,2%	70,5%	63,6%	48%	63,6%	52,5%	65,7%	65,7%

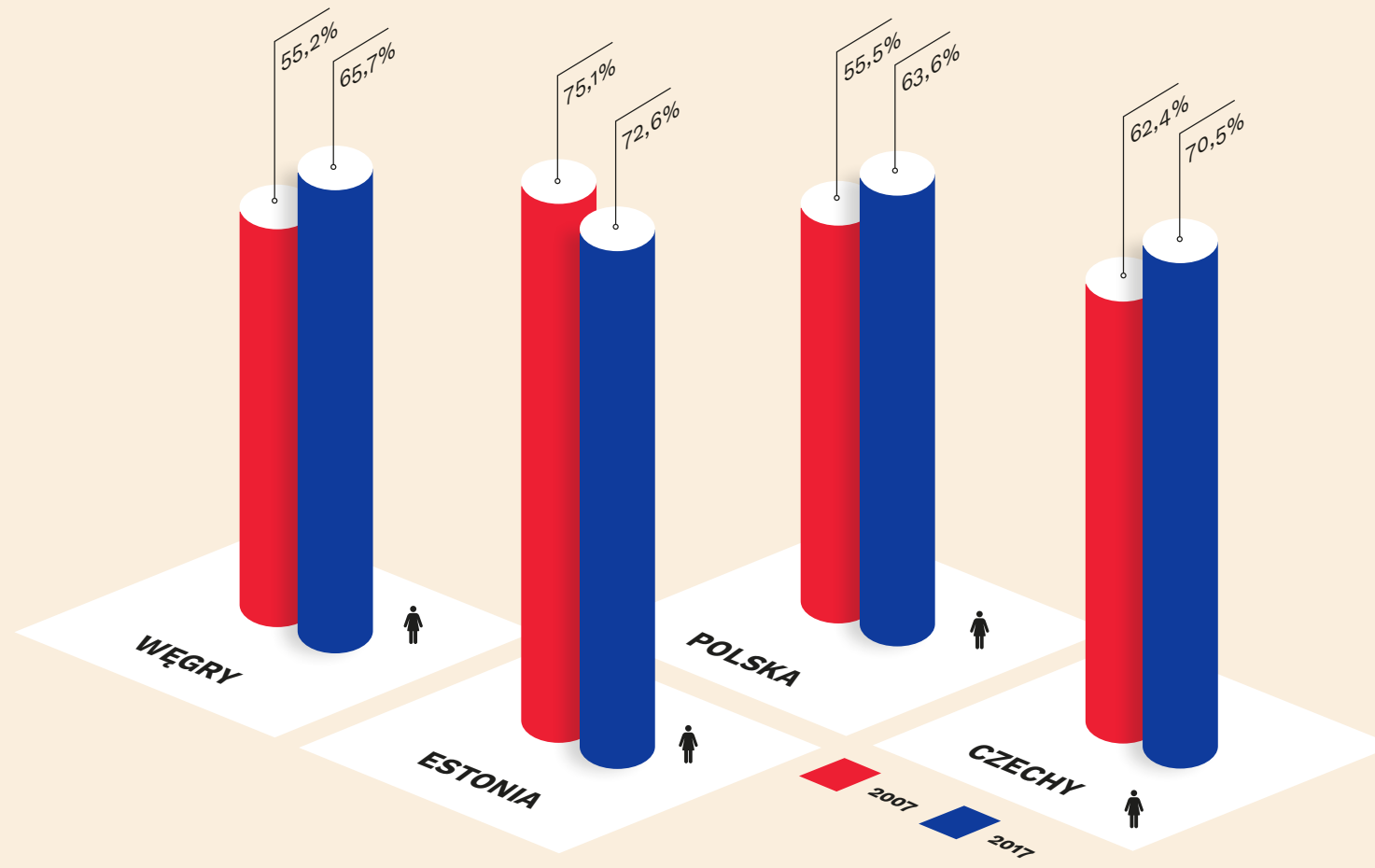
2

Infografika ukazująca procentowy poziom zatrudnienia kobiet w krajach UE (2017 r.)



3

Infografika przedstawiająca procentowy poziom zatrudnienia kobiet w nowych krajach UE (2017 r.)



Kobiecość



AGNIESZKA HOLLAND
W ROZMOWIE
Z MATEUSZEM ZMYŚLONYM

Mateusz Zmyślony: Czym jest dla pani kobiecość?

Agnieszka Holland: To jest trudne pytanie, bo kobiecość można definiować w bardzo wielu wymiarach. Jest to przede wszystkim pewna kondycja fizjologiczna. Z nielicznymi wyjątkami obojnaczej płci człowiek rodzi się kobietą (lub mężczyzną), z określonymi cechami płciowymi, w określonym otoczeniu kulturowym, i w zależności od tego, jakie jest to otoczenie kulturowe, kobiecość manifestuje się w taki czy inny sposób. Jest to także zespół pewnych cech oraz pewnych ról, częściowo naturalnie określonych przez fizjologię, a bardzo często określonych przez kulturę. I tym się zajmuje gender – ta straszna rzecz, której tak boją się polscy biskupi czy politycy prawicowcy i która polega właśnie na tym, żeby określić, co jest kulturą, a co jest naturą, i czy to jest dynamiczne, czy to się zmienia.

MZ: I co się dzieje?

AH: To się zmienia. Widzimy, jak rola kobiety zmienia się w społeczeństwie, jak szalenie szybko i dynamicznie ten proces się toczy przez ostatnie 100 lat. Tak naprawdę zaczęło się podczas rewolucji przemysłowej, a potem wojny światowe doprowadziły do tego, że kobiety musiały przejąć wiele „męskich” ról społecznych i ekonomicznych, dlatego że mężczyźni zajmowali się innymi sprawami (wojowaniem), a potem ich nie było, bo wielu zginęło.

MZ: Czym jest dla pani emancypacja?

AH: Moim zdaniem emancypacja jest jednym z tych wielkich problemów współczesności, który doprowadza do kontrrewolucji. W mojej opinii poza rewolucją informatyczną, falą globalizacji i migracjami jednym z głównych powodów kontrrewolucji konserwatywno-prawicowej (czy populistycznej, a czasami wręcz faszystowskiej) jest sprawa równouprawnienia kobiet. Chodzi o to, że kobiety nagle w dużym stopniu uniezależniły się od mężczyzn. To oczywiście ciągle jeszcze jest mniejszość, ale rosnąca w siłę. Kobiety uniezależniły się



AGNIESZKA HOLLAND

(ur. 28 listopada 1948 r. w Warszawie) – polska reżyserka filmowa i teatralna, scenarzystka filmowa i aktorka, od 1981 r. mieszka za granicą, od 2008 r. we Francji.

ekonomicznie od mężczyzn i nagle zmieniły się ich aspiracje. Aspiracją kobiety nie jest już prokreacja i zależność od myśliwego, który przynosi pożywienie. Aspiracją kobiety jest podmiotowość i samorealizacja oraz szczęście czy konsumpcja. W każdym razie coś, co nie zatrzymuje jej w domu, kościele, pokoju dziecięcym i w kuchni. I to jest straszliwy szok. Dla kobiet, ponieważ nagle muszą wziąć na siebie różnego rodzaju odpowiedzialność, choć wcześniej nie musiały tego robić, i dla mężczyzn, którzy tracą te resztki władzy, które mężczyzna jeszcze w naszym świecie ma.

MZ: Dla facetów to chyba większy szok.

AH: Tak, w świecie kapitalizmu korporacyjnego mężczyźni właściwie stracili władzę myśliwych. Są zależni od najróżniejszych koniunktur i nigdy nie mają pewności, czy nie trafią na margines, na przykład z powodu bezrobocia.

MZ: Rozmył się tradycyjny podział ról?

AH: Wcześniej w domu rodzinnym mężczyzna, według tych konserwatywnych, czy raczej tradycyjnych, podziałów ról, był panem; nagle jednak usłyszał: „Nie, już nie jesteś tu panem”. No i to jest potworny szok. Myślę, że na przykład na zwycięstwo Trumpa w większym stopniu niż globalizacja z jej drugą falą wpłynął właśnie lęk – poczucie białych mężczyzn, że tracą ostatnie pole, na którym mają jeszcze jakąś władzę.

MZ: A czy ten strach nie jest irracjonalny?

AH: Nie, ponieważ wiąże się z demografią. Kobieta rzeczywiście wyzwolona czy wyemancypowana nie chce prokreować w takim stopniu jak kobieta, dla której bycie matką było główną rolą



foto: Jacek Poremba

życiową. A ponieważ dotyczy to przede wszystkim społeczeństw rozwiniętych, zwłaszcza białych (poza Japończykami), to nagle okazuje się, że ta biała rasa się kurczy. Myślę, że genetyczny strach demograficzny jest niezwykle potężnym motorem zachęcającym do tego, żeby zmianę roli kobiety cofnąć. I to się czuje, prawda?

MZ: Rzeczywiście, wiele się ostatnio dzieje w tej sferze.

AH: Właśnie, choćby Trump i jego Ameryka czy Polska Kaczyńskiego. Kobiety bardzo mocno odczuwają to na własnej skórze, mają poczucie zagrożenia, bo trudno pogodzić się z tym, że się traci coś, co się już zyskało. Jeżeli się tego nigdy nie miało, to się nie ma takich aspiracji, ale jeżeli się coś miało, to te aspiracje rosną. A tutaj nagle słyszymy: „Nie, nie, kochane, wróćcie sobie tam, gdzie byłyście. My będziemy kontrolować wasze brzuchy, macice i wasze możliwości samorealizacji”. No i w tym momencie kobiety się po prostu wkurwiają. Uważam, że to bardzo przyspieszy rozwój tego ruchu. Innym przykładem jest #metoo – coś podobnego było kiedyś nie do pomyślenia. Nagle doszliśmy do punktu krytycznego, zawładnęło nami poczucie, że odbiorą nam to, co mamy, i dlatego kobiety się wysforowały i zaczęły, czasem w agresywny sposób, domagać się zadośćuczynienia czy poszerzenia praw. To wywołuje tzw. *clash* – reakcja mężczyzn musi być jeszcze silniejsza. Trochę przypomina to przepychanki typu „kto kogo”.

MZ: Jak w walkach klasowych.

AH: Tak, bo przecież w pewnym sensie od walki klas i walki ras przeszliśmy



Aspiracją kobiety nie jest już prokreacja i zależność od myśliwego, który przynosi pożywienie, ale podmiotowość i samorealizacja.

do walki płci. I teraz mężczyźni, którzy są świadomi, że ta zmiana ról jest korzystna dla ludzkości, a nawet samych mężczyzn (na szczęście jest takich coraz więcej), wspierają kobiety, ale jest to bardzo trudne, przede wszystkim dlatego że narusza się pewne tabu i wchodzi się w sferę seksualną. Wróćmy do #metoo – niektóre kobiety zwróciły uwagę na zagrożenia, jakie ten ruch może ze sobą nieść, na przykład Francuzki, które napisały [w liście otwartym opublikowanym w „Le Monde diplomatique” – przyp. red.], że trzeba się w pewnym momencie zatrzymać, bo nagle się okaże, że to, co jest istotą gry miłosnej, co jest istotą pewnego seksualnego przyciągania się, zostanie zablokowane przez strach.

MZ: Otóż to.

AH: Pojawia się więc cała masa różnych problemów. Ja uważam, generalnie rzecz biorąc, że świat rządzony przez kobiety byłby lepszy od świata rządzonego przez mężczyzn.

MZ: Zgadzam się. Podoba mi się taka wizja.

AH: Chociaż bardzo często okazuje się, że kobiety będące u władzy są jeszcze gorsze od mężczyzn. Ale głównie dlatego, że przejmują ich funkcję – próbują grać swoją rolę tak, jakby chciały udowodnić, że są mężczyznami. To jest nieautentyczne, więc jeszcze mocniej

dociskają pedał pewnej agresji czy kłamstwa niż mężczyźni.

MZ: Ale w Islandii albo Nowej Zelandii, gdzie takie podejście spokojnie sobie dojrzewało, jest dobrze, prawda?

AH: Tak, w momencie, kiedy to się dzieje w środowisku, które to akceptuje i w którym jest to naturalny etap rozwojowy. Jest tak też nawet w Niemczech. Co prawda niektórzy uważają, że Merkel jest tak naprawdę facetem, ale jednocześnie widzimy, że nie, że ona działa w zupełnie inny sposób, stosuje *soft power*.

MZ: Jest koncyliacyjna.

AH: Jest koncyliacyjna, już nie mówiąc o tym, że w odruchu serca wpuściła do Niemiec uchodźców. Niektórzy pocztują jej to za słabość, a jednak jest w tym pewna racjonalność, ponieważ Merkel wyczuła, że w Europie może dojść do wybuchu, jeżeli uchodźców zaczopuje się na Węgrzech i w Austrii. Tak czy inaczej, widać, że to jest lepszy sposób rządzenia niż to, co mamy w Polsce.

MZ: Patriarchalny świat jest historyczny i związany z wojnami, które ciągle regulowały to, co było nieuregulowane. To się chyba powoli kończy albo już się skończyło?

AH: Widzę to też sama, współpracując z kobietami. Taka współpraca jest o wiele łatwiejsza, dlatego że jesteśmy

pewnym klanem kobiet reżyserek – bo ja jestem reżyserką, moja siostra jest reżyserką, moja córka jest reżyserką...

MZ: Używacie słowa „reżyserka”?

AH: Ja używam, a na przykład Olga [Chajdas – przyp. red.], partnerka Kasi [Adamik, córki Agnieszki Holland – przyp. red.], już nie. Ona chce być reżyserem. Zdarza mi się powiedzieć „reżyser”, bo mój stosunek do sprawy nie jest dogmatyczny, ale generalnie jesteśmy reżyserkami.

MZ: Dużo się teraz o tym dyskutuje – wiadomo, jak to w polszczyźnie wygląda.

AH: Oczywiście budzi to sprzeciw, bo trzeba się poniekąd nauczyć pewnych słów.

MZ: Przyzwyczajenia, a czasami także drwina.

AH: Tak, ale słowa z kolei tworzą rzeczywistość. Jeśli chodzi o „reżyserkę”, to mówiło się, że to takie pomieszczenie w telewizji, gdzie stał stół montażowy, gdzie się miksowało kamery, ale ponieważ dzisiaj już tego właściwie nie ma, to „zwolniło się” znaczenie słowa, więc ja spokojnie je przejmuję do opisanego mojego zawodu. Zresztą konserwatyści bronią się trochę fałszywie przed feminizacją słów określających zawody. Na przykład mówią, że „pilotka” to przecież czapka, ale już im nie przeszkadza, że „pilot” to sterownik programów telewizora. Słowa wpływają na postrzeganie rzeczywistości, a rzeczywistość zmienia język.

MZ: Zawód reżyserki czy reżysera ma trochę wojskowy charakter, bo w końcu reżyser panuje nad wielkim chaosem.

AH: Andrzej Wajda mówił, że to jak gdyby połączenie kaprała i poety. I rzeczywiście trzeba być twórczym i wrażliwym, a z drugiej strony trzeba być bardzo asertywnym i bardzo...

MZ: Zorganizowanym?

AH: Zorganizowanym i umieć szybko podejmować decyzje.

MZ: I potrafić sporo ryzykować.

AH: I jeszcze zarządzać dużą grupą ludzi i dużymi pieniędzmi. Moim zdaniem jest to zawód, w którym kobiety bardzo dobrze się odnajdują. Zresztą widać to teraz w Polsce: mamy wysyp świetnych młodych bardzo zdolnych i bardzo oryginalnych twórczo kobiet, również reżyserek. Długo miały zadowolone, że dziewczynce nie wypada się chwalić albo za bardzo o coś zabiegać. Zawsze powtarzałam, że trzeba się nauczyć pewnej asertywności i wydożyć swoje naturalne poczucie własnej wartości. Na przykład kiedy dostaje się nagrodę i wychodzi się na scenę, żeby ją odebrać, nie trzeba mową ciała przekazywać komunikatu: „Bardzo przepraszam, że tu jestem, bo właściwie nie należy mi się”. To też wymaga pewnego treningu. U nas, w Polsce, nikt czegoś takiego nie prowadzi. Może troszkę Kongres Kobiet.

MZ: Już to robimy, właśnie na Open Eyes. Nie mamy problemu z parytetami, bo to dla nas całkowicie naturalne, że szukamy kobiet i mężczyzn do wypowiedania się na jakiś temat. Ale zdarzało mi się obserwować sytuacje, kiedy koledzy odruchowo doprowadzali do tego, że obok siebie siedziało sześciu starszych panów.

AH: To jest sprawa generacyjna. Mentalność bardzo powoli się zmienia.

Zresztą czasem coś takiego ujawnia się w pojedynczych wypowiedziach, na przykład Władka Frasyniuka czy innych ludzi, którzy są absolutnie prodemokratyczni i przecież otwarci, ale nagle wychodzi z nich tradycyjny mizoginizm jako coś zupełnie naturalnego. Dopiero niedawno zaczęło się to w Polsce zmieniać.

MZ: Bardzo niedawno, ale też bardzo przyspiesza.

AH: Tak, właściwie do zmiany tak naprawdę doprowadził Kaczyński. Przedtem feminizm raczej się snuł, był trochę imitacyjny. Wyglądało to tak, że inteligentne kobiety naczytały się książek amerykańskich czy brytyjskich feministek, miały to wszystko poukładane. Wokół wybitnej intelektualistki prof. Marii Janion zbierała się grupa takich kobiet, głównie z kręgów uniwersyteckich plus kilka młodych lewicujących dziewczyn, ale to w ogóle nie szło dalej.

MZ: Grzęzło, prawda? Taka Basia Nowacka itd. to zawsze jakaś grupa, która – czy w rzeczywistości, czy w internecie – osiągnie pewną masę krytyczną, ale to wciąż nie jest wielka liczba.

AH: Tak. Czarny protest wywołał, powiedziałałabym, fałę.

MZ: Wręcz tsunami.

AH: Tak.

MZ: Fascynuje mnie to – nie ten aspekt, jak wystrzeliły aspiracje kobiet, bo to oczywiście jest wspaniałe i wszyscy się powinni z tego cieszyć, ponieważ nagle ludzkość robi się dwa razy silniejsza. To trochę tak jak – nie wiem, na ile to prawda – pomysł

angielskich przemysłowców z XIX w. Kiedy w Anglii zaczęło brakować ludzi do pracy w fabrykach, wpadli na pomysł wprowadzenia obowiązkowego szkolnictwa powszechnego, żeby kobiety poszły do pracy i było gdzie przetrzymać dzieci przez 8 godzin dziennie. Wymyślili, jak zwiększyć siłę roboczą o 50%. A teraz mamy intelektualny *soft power*, który się uwalnia. Zgadzam się z panią, bardzo lubię pracować z kobietami, wszędzie widzę przykłady, wręcz spektakularne, w czym górują nad facetami. Sam wychowuję dwunastoletnią córkę, jestem z niej bardzo dumny, widzę, jak rośnie i się rozwija. Żałuję, że jej z nami dzisiaj nie ma, bo marzy o tym, żeby pisać scenariusze i zostać reżyserką. Zmierzam do tego, że jeszcze bardziej fascynuje mnie, już w mniej pozytywny sposób, redefinicja roli mężczyzny w naszej rzeczywistości. Patrę na facetów i postrzegam ich trochę tak jak w piosence Mai Koman *Babcia mówi*: „Gdzie ci mężczyźni – prawdziwi tacy” – i jest mi ich trochę żal. Próbują się odnaleźć i wielu po prostu to nie wychodzi. Jak przy każdej wielkiej zmianie trzeba też pomyśleć o tych, którzy właśnie tracą.

AH: Oczywiście, tę utratę widać choćby w takich substytutach poczucia siły i władzy, jak marsze ONR-owskie itp. – to jest powiązane. Zaczęłam panu mówić o tym, że jesteśmy reżyserkami i często współpracujemy ze sobą w różny sposób, bardzo synergicznie. Zrobiłyśmy z moją córką parę rzeczy razem, teraz jej partnerka, Olga, pomaga mi, reżyserując sceny, na które mnie nie starczyłoby czasu w napiętym produkcyjnym kalendarzu. Znacznie łatwiej się z nimi współpracuje,

nie tylko dlatego że mamy rodzinne powiązania, ale dlatego że męskie ego zupełnie inaczej funkcjonuje. Nie jest tak, że nie mamy ego czy nie wyrażamy twardo swoich opinii albo że nie mamy potrzeby ich narzucenia, ale nie obstawiamy przy swoim tylko po to, żeby udowodnić swoją rację. Dążymy do tego, żeby produkt – to nasze dziecko – był jak najlepszy.

MZ: Czyli umiejętność współpracy, pewnie lepiej rozwinięta empatia.

AH: Tak. Używam metafory dziecka, bo kiedy rodzi się dziecko, nie chodzi o to, żeby matka udowodniła, że jest najlepsza, tylko o to, żeby to dziecko było jak najszczęśliwsze i jak najbardziej udane, prawda? Można wyjść ze swoimi aspiracjami poza własne narcystyczne ego. Chodzi o wspólny projekt, a nie o odbicie w lustrze swojej wielkości.

MZ: Nie trzeba być geniuszem, żeby odkryć, że świat facetów jest światem testosteronu, rywalizacji, wygrywania. Im mniej wojen, tym więcej rywalizacji w rzeczywistości społecznej. Wszystko się zgadza, robi się logiczne.

AH: Wejście większej liczby kobiet w życie społeczno-gospodarcze z pewnością zmieniło paradygmaty.

Bo niektóre kobiety w tym męskim otoczeniu przez mimikrę starają się do nich upodobnić, są nieautentyczne, i przez to zaczynają być nawet groźniejsze niż mężczyźni na tych samych stanowiskach. Ale kiedy przekracza się pewną masę krytyczną obecności kobiet, zmienia się cały system priorytetów.

MZ: Pani najnowszy film, *Gareth Jones*, będzie opowiadał historię dziennikarza, który jako pierwszy

opisywał głód na Ukrainie. Co sądzi pani o roli dziennikarstwa w kontekście opisywania świata, obnażania dokonań polityków czy kształtowania opinii publicznej?

AH: To, o czym pan mówi, jest jednym z powodów, dla których zdecydowałam się zrobić ten film. Chciałam nie tylko opowiedzieć o tym wciąż jeszcze mało znanym wydarzeniu w historii ludzkości, które było swego rodzaju prefiguracją Holokaustu jako zorganizowanej i zaplanowanej przez człowieka masowej eksterminacji ogromnej grupy ludzi. Oczywiście to było mniej planowane i mniej świadome niż to, co zrobił Hitler z Żydami, ale skala była porównywalna, bo zginęło wtedy parę milionów ludzi. Nie wiadomo dokładnie ile, niektórzy mówią o 3 mln, niektórzy o 7 mln, nikt dokładnie ich nie policzył, ale są to przerażające liczby. Scenariusz przekonał mnie dlatego, że mówił o roli dziennikarza, fake newsach, postprawdzie, manipulowaniu opinią publiczną, znieczulicy, anestezji opinii publicznej wywołanej rozcieńczeniem prawdy w morzu półprawd i kłamstw. Nic, nawet jeśli jest drastyczne i mocne, już ludzi nie porusza.

MZ: Oglądając kręcone przez panią odcinki serialu *House of Cards*, w pewnym momencie stwierdziłem, że on może być szkodliwy społecznie.

AH: Uświadomiłam to sobie podczas pracy nad odcinkami z trzeciego sezonu.

MZ: Mówiącymi o tym, że jeśli mam za dużo do czynienia z polityką, to już nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

AH: Tak. Amerykanie – choć nie tylko – jeszcze dość naiwnie przyjmują, że

świat przedstawiony w serialach jest równoważny z rzeczywistością.

MZ: Takie dziennikarstwo śledcze?

AH: Pokazanie świata polityki, który jest przeżarty korupcją, okrucieństwem i cynizmem, jako czegoś rzeczywistego wpłynęło na ogólne odczucie populizmu w taki sposób, że może nawet troszeczkę przyczyniło się do zwycięstwa Trumpa.

MZ: Czyli ze sztuką, która ma ogromny zasięg, trzeba ostrożnie. I pewnie do głosu dochodzi tu kwestia odpowiedzialności?

AH: Nie można było tego przewidywać, w pewnym momencie po prostu zaczęło się to dziać. Początkowo była to szekspirowska, popowa dystopia, a kiedy ją robiłam parę odcinków do piątego sezonu i akurat odbywały się ostatnie wybory prezydenckie w USA, właściwie kręciliśmy już *reality show*, z tym, że bohater serialowy był sympatyczniejszy czy inteligentniejszy i bardziej nadawał się na prezydenta – przynajmniej pod względem intelektualnym – niż rzeczywista postać.

MZ: (śmiech) W tym kontekście to może mało zabawne, ale jednak trudno się nie zaśmiać.

AH: Nie można jednak powiedzieć, że gdyby nie było *House of Cards*, to nie byłoby Trumpa, prawda? Połączyły się różne tendencje. Amerykańscy twórcy są nie tylko utalentowani, ale i wrażliwi na rzeczywistość na tyle, że często ją wyprzedzają. Też mi się ostatnio zdarzało antycypować jakieś sprawy – podświadomie przeczuwa się nadchodzące zagrożenia czy trendy. To nie znaczy, że się je tworzy do końca. Taki profetyzm zwykle spro-

wadza się do paru ruchów do przodu. Można odczuwać pewną satysfakcję, że się coś przewidziało, ale z drugiej strony wpływa się troszkę na fakty dokonane.

MZ: Tak, ale dochodzi do tego na polu twórcy i tworzywo oraz przeplatających się ze sobą elementów rzeczywistości. Jaki tytuł nosi najnowszy serial dla Netflix'a?

AH: 1983.

MZ: Czyli pewnie wtedy następuje załamanie się historii?

AH: W pewnym sensie tak. To dzieje się w Polsce.

MZ: Tutaj profetyzm jest niemożliwy. „Dzieje się w Polsce” – dorastałem w tych czasach.

AH: Dzieje się w Polsce w 1983 r., i ten rok jest zbliżony do rzeczywistości historycznej, nie padają konkretne nazwiska czy symbole, ale jest jasne, że to poniekąd rzeczywistość stanu wojennego, komunistycznego. Natomiast gros akcji ma miejsce 20 lat później, czyli w 2003 r. To jednak inny 2003 r. niż ten, który znamy z autopsji – nie było transformacji, nie podniosła się żelazna kurtyna, a w 1983 r. miała miejsce seria zamachów terrorystycznych w Polsce, które spowodowały, że rzeczywistość potoczyła się inaczej.

MZ: Chyba nie będziemy zatem przewidywali przyszłości, tylko zobaczymy alternatywną wersję historii – taką, w której w Polsce wciąż króluje komunizm. Co to oznacza dla bohaterów?

AH: To nie jest taki komunizm, jaki znamy z PRL; jest to mieszanka Chin, Dubaju, Rumunii i jeszcze czegoś.

Pewna rzeczywistość – dystopijna. Co z tego wynika dla bohaterów? To, co wynika dla nich zawsze, kiedy znajdują się w sytuacji ukonstytuowanego kłamstwa, z którym w dodatku jest im dobrze. Przesłanką tego serialu jest to, że większość ludzi akceptuje zastaną sytuację.

MZ: To tak jak za Gierka.

AH: Nawet bardziej, ponieważ jednocześnie ta rzeczywistość, władza jest bardziej, w pewnym sensie, totalitarna, ale w sposób *soft*.

MZ: Czyli nie aż tak biednie?

AH: Ludzie nie są biedni. Władza zaspokaja ich potrzeby konsumpcyjne do pewnego stopnia, izoluje ich od świata, ale zapewnia im bezpieczeństwo, pewien dobrobyt i poczucie godności mówiące, że jesteście suwerenni i że nie potrzebujemy świata. Ta żelazna kurtyna, która nas odgradza od świata, nie jest przeszkodą, tylko... ochroną.

MZ: Czyli też może to być jakaś przepowiednia i analogia.

AH: W pewnym sensie tak. Pisał to Amerykanin, który mieszka w Polsce od ok. 8 lat, więc on prawdopodobnie wy-czuł pewne rzeczy, których my byśmy tak nie odczytali, ponieważ odbieramy świat jako nasz świat realny, a dla niego to rodzaj dystopii. Ciekawa wizja.

MZ: Z jednej strony Amerykanin zupełnie inaczej odbiera Polskę – zobaczenie takiej alternatywy będzie dla nas niezmiernie ciekawe. Z drugiej to kultura *Człowieka z Wysokiego Zamku* Philipa K. Dicka. Tam eksperymenty na tych alternatywnych rzeczywistościach były niesamowite. Dziękuję za rozmowę. ☺

Tabu polskiej edukacji

Minęło ponad 100 lat od działań pierwszych edukatorów, a dyskusja na temat formy edukacji seksualnej wciąż jest zaciepła. Już wtedy odczuwano konieczność kształcenia – zarówno młodzieży, jak i dorosłych – oraz poszukiwano odpowiedniej metody. Mogłoby się wydawać, że we współczesnym świecie tabu przestało istnieć, tymczasem problem stał się jeszcze bardziej palący.

Urbanizacja a popęd seksualny

Idea seksualnej oświaty narodziła się w XIX w., w okresie znaczących przemian obyczajowych związanych z prężnie postępującą industrializacją. Eksplozje demograficzne wywołane przełomami w zakresie medycyny i higieny, a tym samym wydłużeniem długości ludzkiego życia, przyniosły także negatywne skutki społeczne – ogromne bezrobocie oraz skrajne ubóstwo. Jako remedium postrzegano kontrolę liczby urodzeń i popularyzację wiedzy o rozmnażaniu.

W Polsce pierwszą poradnię seksualną otworzył Tadeusz Boy-Żeleński w 1931 r. Szybko nazwano ją Poradnią Świadomego Macierzyństwa i nauczano w niej kobiety, jak zapobiegać niechcianej ciąży. Wiedza na temat stosunków, porodu

czy choćby anatomii człowieka była znikoma. Na wsiach i w miastach okazja do zdobywania przez młodych ludzi w miarę rzetelnych informacji o „tych sprawach” nadarzała się dopiero po ślubie, ewentualnie przed nim, ale to narażało ich na rozmaite nieprzyjemności. Zasadniczo reforma obyczajowa zmierzała do propagowania wiedzy na temat ludzkiej seksualności, ale przede wszystkim świadomego planowania rozrodu. Wszystko to na przestrzeni lat naruszało silne dotychczas tabu – kulturowe i religijne.

Planowanie rodziny vs. wychowanie seksualne

Dobór treści, ich układ oraz wartościowanie dzieli pedagogów, seksuologów, teologów, etyków i polityków – a w rzeczywistości wszystkich, których problem dotyczy, więc także rodziców i ich dzieci. Zwykle propozycje programu zajęć rozbijają się o ideologie – konserwatywne, liberalne, a czasem nawet radykalne, co prowadzi do uzależnienia formy edukacji seksualnej od tego, kto akurat stoi u władzy, a nie od realnych potrzeb społecznych. Bez względu na to, czy położymy nacisk na kształtowanie prawidłowych relacji mających na celu założenie rodziny, czy na uświadamianie młodzieży w sprawach seksu, nie można lekceważyć zaleceń ONZ dotyczących promowania znajomości ludzkiej seksualności i wiedzy medycznej (ze szczególnym uwzględnieniem chorób przenoszonych drogą płciową).

Zajęcia z wychowania seksualnego wprowadzono w polskiej szkole w 1969 r. Początkowo odbywały się one w ramach lekcji biologii, języka polskiego czy godziny wychowawczej. Dopiero od pierwszej połowy lat 70. stały się odrębnym przedmiotem. Nie oznacza to wcale, że pozbawiono je propagandowej otoczki, kształtującej pożądane postawy młodych ludzi. „Przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej” funkcjonowało do 1981 r., kiedy to powierzono ten przedmiot wychowawcom klas. Ustawy i regulacje na przestrzeni lat zobowiązywały polskie szkoły do oświaty seksualnej, ale wybór programów i podręczników leżał w gestii nauczycieli.

Choć mogłoby się wydawać, że od co najmniej 1989 r. propaganda dotycząca sfery seksualności nie dociera do polskich szkół, mimo wielu reform i zmiany nazwy edukacja seksualna – lub jej brak – pozostawia wiele do życzenia. Istnieją wprawdzie regulacje dotyczące programu z tego zakresu, ale nauczyciele mają właściwie wolną rękę w kwestii doboru podręczników i metod dydaktycznych. W rezultacie uczniowie albo na zajęcia nie chodzą, albo narzekają na to, jak są prowadzone. Raporty Grupy Edukatorów Seksualnych



Programy zajęć rozbijają się o ideologie – konserwatywne, liberalne, a czasem radykalne, co prowadzi do uzależnienia formy edukacji seksualnej od tego, kto akurat stoi u władzy, a nie od realnych potrzeb społecznych.

Ponton z 2009 r., a później 2014 r. bynajmniej nie nastrojały optymistycznie. Ankietowani brali udział w wychowaniu do życia w rodzinie najczęściej na życzenie rodziców. Uczniowie skarżyli się na nudę, brak kompetencji prowadzącego i wpłatanie w wykład treści ideologicznych. Mimo licznych apeli do Ministerstwa Edukacji Narodowej wydaje się, że problem wciąż jest bagatelizowany. Posłowie odrzucili projekt wprowadzenia do szkół obowiązkowej edukacji seksualnej, powołując się na potencjalne zagrożenie demoralizacji młodzieży. Aktualny program zakłada 14 godzin lekcyjnych w ciągu roku (z czego 5 to zajęcia w grupach, osobno dla dziewcząt i chłopców) poświęconych planowaniu rodziny. Autorzy podstawy programowej przyznają, że tworzyli ją, opierając się na encyklikach kościelnych.

Seksualna alternatywa

Jesienią 2017 r. wystartowała akcja społeczna #SEXEDPL, której inicjatorką jest modelka Anja Rubik. Tym samym znowu rozpętała się medialna burza dotycząca edukacji seksualnej w Polsce. Wszystko za sprawą krótkich filmików, w których znane osoby i artyści zaproszeni do współpracy mówią o fundamentalnych sprawach związanych z seksualnością. Kampania szturmem zdobyła internet, a jej popularność jest najlepszym dowodem na to, że zapotrzebowanie na rozmowy o „tych sprawach” jest ogromne.

Nie chodzi tylko o antykoncepcję, wiedzę na temat chorób przenoszonych drogą płciową czy regularne badania. To wszystko jest oczywiście bardzo ważne, a stan wiedzy – czy może raczej niewiedzy, jak zauważa Rubik – wśród młodych

ludzi jest zatrważający. Celem kampanii jest również uwrażliwienie młodzieży na to, że o naszej orientacji seksualnej w dużej mierze decydują geny – nie mamy na to wpływu, a emocje, które odczuwamy, są naturalne. Osobom zaangażowanym w akcję zależy na tym, by wchodzący w dorosłość wiedzieli, że wszelkie decyzje, także te w sferze intymnej, powinno się podejmować w zgodzie ze sobą, nigdy pod presją rówieśników czy partnera, a empatia wobec drugiego człowieka i szacunek dla niego są kwestią elementarną.

Problem jest poważny, ponieważ brak rzetelnej edukacji seksualnej prowadzi do szerzenia się mitów o chorobach i wątpliwych metodach zapobiegania ciąży, a tabuizowanie tematu wzmacnia strach i opory przed otwartym mówieniem o seksie. Dotyczy to nie tylko dzieci, ale i dorosłych, w tym rodziców, na których dodatkowo spoczywa odpowiedzialność za przekazanie dziecku niezbędnej wiedzy. Dzięki rzetelnej edukacji seksualnej będziemy mogli zadbać o bezpieczeństwo, zdrowie i komfort – zarówno swoje, jak i innych.

Anja Rubik nie spoczęła na laurach i postanowiła pójść krok dalej. We wrześniu w księgarniach pojawiła się książka #SEXEDPL. *Rozmowy Anji Rubik o dojrzewaniu, miłości i seksie*. Publikacja jest skierowana nie tylko do młodych ludzi, którym potrzebne jest wiarygodne źródło informacji, ale do każdego, kto chciałby dowiedzieć się więcej na tematy dotyczące sfery intymnej. Może też stanowić bazę dla rodziców, którzy nie czują się do końca pewnie, a chcieliby pomówić o życiu erotycznym i seksualności ze swoimi dziećmi. Rubik rozmawiała z 13 ekspertami w dziedzinie edukacji seksualnej, zadając im pytania, na które młodzież poszukuje odpowiedzi.

Publikacja, którą sama autorka określa mianem podręcznika, jest projektem non profit. Zarówno Rubik, jak i wydawnictwo W.A.B., którego nakładem ukazała się ta pozycja, zrzekli się dochodów ze sprzedaży, dzięki czemu książka dostępna jest w księgarniach w przystępnej cenie. Autorka planuje rozstać ją do polskich szkół, choć ma poważne wątpliwości, czy nauczyciele będą z niej korzystał. Oprócz książki planowana jest wystawa fotograficzna na ten sam temat, powstaje także piosenka z gościnnym udziałem raperów. Wszystkie działania mają na celu propagowanie postawy otwartości, tolerancji i akceptacji, a tym samym doprowadzenie do wzrostu poczucia bezpieczeństwa wśród Polaków. ☺

**Barbara Leśniak
Alicja Pietrzyk**



Katarzyna Babis

(RYSOWNICZKA)

Czym jest dla Ciebie seksualność?

Seksualność to dla mnie znajomość własnego ciała, ale też własnej psychiki w kontekście seksu. To także zachowania i preferencje kształtujące ten aspekt mojego życia. Mogą wiązać się z moimi doświadczeniami, z osobami, z którymi je dzielę, lub po prostu z budową mojego ciała. Traktuję seksualność raczej jako spektrum, pole do eksploracji.

Czym jest kobiecość? Jak ją postrzegasz?

Kobiecość, podobnie jak seksualność, nie ma dla mnie ściśle określonych ram; to raczej poszukiwanie i odkrywanie. Kobiecość jako koncept w kulturze kształtuje się od początków cywilizacji i ciągle się redefiniuje. Lubię bawić się tą ideą. Sposób ubierania się, mówienia i chodzenia, makijaż, ton głosu – to wszystko bywa modyfikowane w zależności od czasu i miejsca. Zawsze jednak występuje w pewnej konfiguracji, tworząc spektakl kobiecości całkowicie odległy od tego, który stworzyła natura. Czasami trudno zauważyć, jak wiele elementów zachowania i wyglądu, które postrzegamy jako „naturalnie” kobiece, to w rzeczywistości wyjątkowo skomplikowany twór kulturowy, któremu się podporządkowujemy. Nie widzę zresztą

w tych kulturowych schematach kobiecości niczego złego, wręcz przeciwnie – o ile podchodzi się do nich świadomie i nieco krytycznie, tak żeby móc się nimi bawić, przekształcać je, analizować i czerpać z nich przyjemność, ale nie utknąć w narzuconych rolach kojarzonych z płcią.

Czy twoim zdaniem tabu istnieje? (Czy w ogóle powinno istnieć, czym jest współczesność?)

Tak jak płęć tabu jest pewnym konstruktorem kulturowym, ma swoje funkcje – zmienne w zależności od czasu i miejsca. Niektóre z nich wciąż mają zastosowanie, inne utrudniają, a nie ułatwiają funkcjonowanie współczesnego społeczeństwa. Tabu wokół seksualności, masturbacji czy funkcjonowania ludzkiego ciała stopniowo słabnie, co daje nam coraz większą swobodę i bezpieczeństwo. Również o negatywnych zjawiskach, takich jak przemoc domowa, mówimy coraz otwarciej, łamiąc zakaz „publicznego prania brudów”. To także krok w dobrą stronę.



Marta Frej

(ILUSTRATORKA, ANIMATORKA KULTURY)

Czym dla Ciebie jest seksualność?

Seksualność jest dla mnie źródłem wielkiej radości, energii i siły. Naomi

Wolf w książce *Wagina. Nowa biografia* dowodzi, że seksualność jest bezpośrednio związana z kreatywnością, odwagą, chęcią do życia, i ja podpisuję się pod tym całkowicie. Dla mnie to napęd, który działa do końca życia i nigdy się nie wyczerpuje, choć seksualność ludzi starszych jest tematem tabu w naszej kulturze, nad czym bardzo ubolewam. Zamierzam to zmienić! Seksualność ma też ciemną stronę – niewynikającą z jej natury, ale z kultury. W tak katolickim kraju, gdzie patriarchy ma się świetnie, stosunek do seksualności jest często narzędziem ograniczającym i dyscyplinującym kobiety. Od dziecka usiłuję się im wpoić poczucie winy i wstydu. Przez wiele lat nie mogłam zrozumieć, dlaczego mają mnie obowiązować zupełnie inne zasady niż moich kolegów, dlaczego moje potrzeby i chęć poznawania własnej seksualności tak często są potępiane. Na szczęście odkryłam feminizm i teraz mam jasność. I dużo frajdy.

Czym jest kobiecość? Jak ją postrzegasz?

Spotkałam w życiu wiele wspaniałych kobiet, które były tak różne od siebie, że nawet nie próbuję stworzyć jednego modelu kobiecości, zespołu cech, który miałby opisać kobiecość. Zresztą nie rozumiem, do czego miałyby to służyć. W obecnej sytuacji społeczno-politycznej wolę słowo „siostrzeństwo”, które rozumiem jako wspólną pracę na rzecz lepszej przyszłości. Przyszłości, w której będziemy traktowane jako równoprawne obywatelki, mające wyłączne prawo do decydowania o swoim ciele, równe szanse w pracy zawodowej i partnerskie stosunki w życiu osobistym.

Czy tabu istnieje? (Czy w ogóle powinno istnieć?)

Tabu istnieje w każdym społeczeństwie. W naszym temacie tabu chyba nawet przybywa, co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę to, jak skostniała, zhierarchizowana i konserwatywna instytucją jest polski Kościół. Sfera seksualności jest mocno stabuizowana. Życie seksualne kleru, brak edukacji seksualnej, skala niezgłaszanej przemocy domowej, przemoc i wysysk towarzyszące prostytucji czy aborcyjnym podziemiom to tematy, których jako społeczeństwo unikamy. Nie wróży to dobrze na przyszłość, bo te problemy będą się nasilać. Wiele antropologów i wielu antropologów uważa, że współcześnie funkcję rozładowywania i kanalizowania napięć wynikających z istnienia tabu pełni sztuka. Jestem gorącą zwolenniczką takiej teorii.



Robert Biedroń

(POLITYK)

Czym jest dla Ciebie seksualność?

Ważną częścią życia i tożsamości człowieka. Moim zdaniem seksualności nie da się zdefiniować. Dla mnie jest to coś, co każdy z nas odkrywa samodzielnie, obserwując swoje zachowania, uczucia i reakcje. Seksualność to coś, co dojrzeła razem z nami i towarzyszy nam potem przez całe życie.



Mimo wielu reform i zmiany nazwy edukacja seksualna – lub jej brak – pozostawia wiele do życzenia.

Czym jest kobiecość? Jak ją postrzegasz?

Uważam, że formułowanie jasnych definicji kobiecości i męskości jest szkodliwe. Według współczesnych definicji każdy jest trochę kobiecy, a trochę męski. Nie chciałbym, żeby jakkolwiek człowiek był przez to ograniczany. Zbyt często dzieci słyszą, że dziewczynki

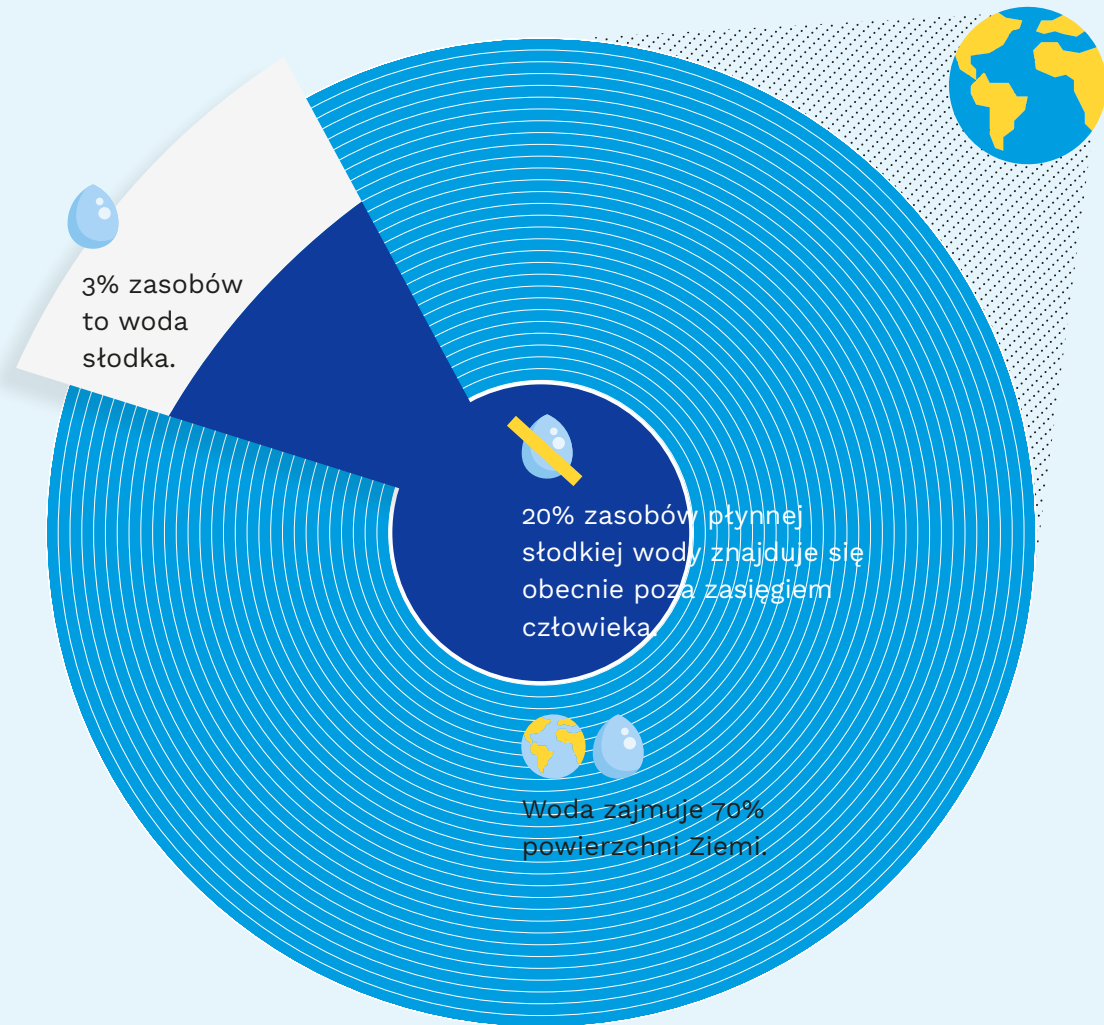
mają ładnie wyglądać, a chłopcy mają być mądrzy. Zbyt często słyszą, że „rzucają” albo „biegają jak dziewczyna”. Tracimy na tym jako społeczeństwo, bo wmawiamy dziewczynom, że nie mogą osiągnąć wielu rzeczy, które mogą osiągnąć ich koledzy. Pomyślmy, ile geniuszek zniechęciliśmy w ten sposób do zaangażowania się w naukę, biznes czy politykę.

Czy twoim zdaniem tabu istnieje? (Czy w ogóle powinno istnieć, czym jest współczesność tabu?)

Moim zdaniem tabu tworzy się wtedy, kiedy unikamy rozmów na dany temat. Współcześnie tematy tabu wciąż istnieją, co pokazała m.in. kampania Anji Rubik. Boimy się mówić o tym, że ktoś nam się podoba, otwarcie rozmawiać o zabezpieczeniach czy zapytać o coś seksuologa. Takie działania jak akcja #SEXEDPL uświadamiają, że tabuizujemy pewne tematy w naszym społeczeństwie i musimy jeszcze popracować nad tą kwestią. ☺

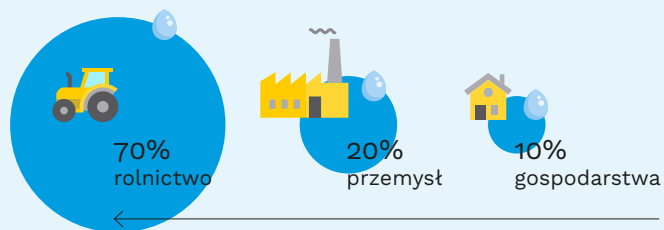
1

Powierzchnia wody



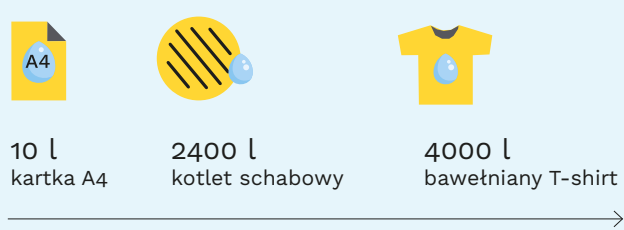
2

Zużycie światowych zasobów wody:



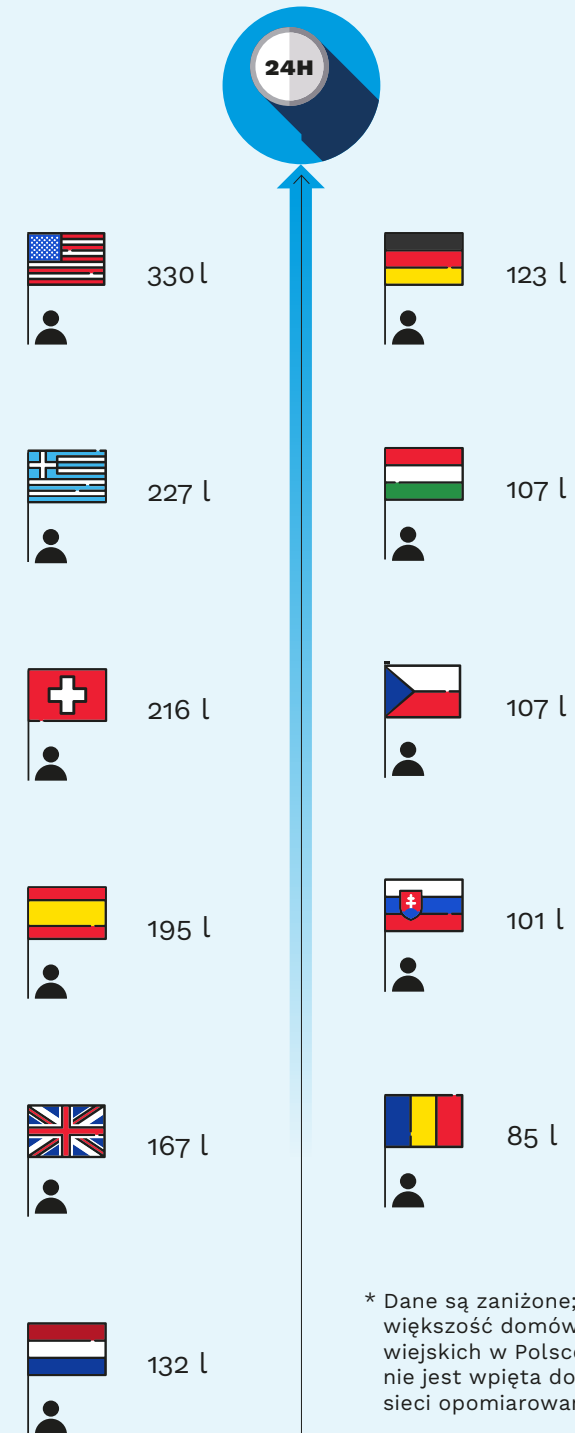
3

Zużycie wody do produkcji:



4

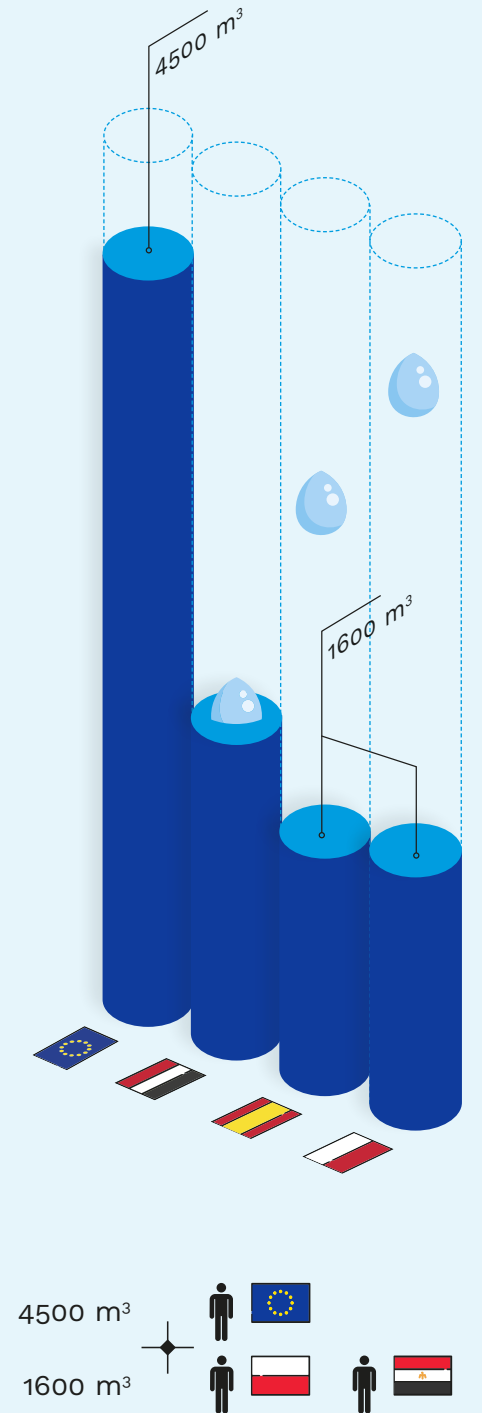
Z danych GUS* wynika, że jeden Polak zużywa ok. 100 l wody na dobę (drugie miejsce pod względem najmniejszego zużycia w UE).



* Dane są zaniżone; większość domów wiejskich w Polsce nie jest wpięta do sieci opomiarowanej.

5

Polska jest na przedostatnim miejscu w Europie pod względem posiadanych zasobów wody.



Żyć z wodą, nie przeciwko niej

Podczas powodzi wychodzi na jaw wiele mankamentów przyjętych półtora wieku temu metod ochrony przed tym żywiołem – na przykład fakt, że wały i zapory nie chronią. Im są mocniejsze, tym większe są straty, kiedy przeleją się przez nie wody po wyjątkowo silnych opadach.

Potwierdza to każda kolejna powódź. Heroiczna obrona i ewakuacja gminy Wilków w Lubelskiem czy Sandomierza podczas powodzi w 2010 r. stanowią dostateczny przykład. Zakłady szklarskie w Sandomierzu udało się ocalić – wielkim kosztem i ogromnym wysiłkiem ludzkim. Czy można było zrobić coś, by nie doszło do takiej sytuacji? Wsie w gminie Wilków, położone nad Wisłą, leżą na zbyt dużym obszarze, by ułożone na sobie worki z piaskiem stanowiły wystarczającą ochronę. Setki domów zostały zalane. Ludzie stracili dziesiątki milionów złotych prywatnego majątku (ruchomego i nieruchomego). Czy można było uniknąć tych strat?

Za powodzie płaci państwo – czyli wszyscy
Legendarne już stały się słowa premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Zrozpaczonym powodziom, którzy w 1997 r. stracili dorobek życia, powiedział on, że powinni byli się ubezpieczyć. Po cichu lub wprost wszyscy przyznawali politykowi rację, ale nikt nie miałby odwagi powtórzyć jego słów. Dlaczego? Powody są przynajmniej dwa. Po pierwsze, przyzwyczailiśmy się, że Polacy są dość roszczeniowi wobec państwa (wy tłumaczenie tego zjawiska to osobny temat – dość powiedzieć, że taka postawa ma swoje korzenie zarówno w późnym porzuceniu stosunków pańszczyźnianych, jak

”
Nowe budowle powinny powstawać tylko na terenach niezagrażonych kataklizmem. Czasem zaś zamiast inwestować w odbudowę lub tworzenie obwałowań, bardziej opłaca się wybudować nowe domy na wyżej położonym terenie.

i w centralizacji zarządzania krajem w okresie PRL). Po drugie – co najważniejsze w tym tekście – przywykliśmy do tego, że państwo pokrywa straty poniesione w wyniku kataklizmów (powodzi, huraganów, pożarów itp.). Pokrywa je zaś m.in. dlatego, że samo ponosi winę za powodzie – realizowanie programu obwałowań stanowi hipotetyczną obietnicę, że to uchroni obywateli przed powodziami. Oczywiście do takich sytuacji dochodzi nie tylko w Polsce, ale właściwie w całym obszarze kultury zachodnioeuropejskiej. Wszędzie kończy się tak samo: wielkimi wydatkami na obwałowania i wielkimi stratami w czasie powodzi.

W trzech powodziach – z 1997, 2001 i 2010 r. – zalana została łącznie jedna trzecia powierzchni Polski – co ciekawe, głównie na obszarach południowych, a więc w górnych biegnach polskich rzek, gdzie stan cieków i zbiorników wodnych rośnie szybciej, zaś kataklizmy trwają krócej.

W 2010 r. zalane zostało tylko 2 proc. powierzchni Polski. Mimo to szkody były ogromne: zniszczonych zostało ponad 800 szkół, 18 tys. budynków prywatnych, 1,3 tys. firm poniosło straty, zaś samorzady i państwo zmuszone zostały do odbudowania blisko 1,2 tys. km dróg. Większość tych strat ponieśliśmy na obszarze Małopolski, Podkarpacia i województwa świętokrzyskiego – a więc na terenach górnego dorzecza Wisły.

Powodzie, jak wynika z danych zgromadzonych przez ONZ, odpowiadają za ok. jedną trzecią szkód powstałych w wyniku kataklizmów. W Polsce w 1997 r. w czasie jednej z największych powodzi w historii kraju wydatki związane z odbudową infrastruktury zniszczonej przez wodę wyniosły 2,2 mld zł (ok. 22 mld zł, jeśli liczyć według obecnych cen). Natomiast wysokość strat spowodowanych przez żywioł w 2010 r. opiewała aż na 12,8 mld zł. W okresie między tymi powodziami z powodu mniejszych wodnych katastrof wydano 4,6 mld zł. I tak co roku.

Nie budować – najlepsza ochrona

To nie przypadek, że najbardziej poszkodowana Małopolska jest jednym z najgęściej zaludnionych obszarów Polski. Kiedy więc zaczęto przygotowywać program ochrony górnego dorzecza Wisły, po paru latach prac naukowców przed dziennikarzami stanął kolejny polityk.

Wojewoda Małopolski Jerzy Miller oświadczył, że receptą na ochronę przed powodziami i skuteczne obniżenie strat powodziowych jest zaprzestanie prowadzenia inwestycji budowlanych na terenach narażonych na zalewanie. Oczywiście nie chodziło mu o to, by masowo burzyć tysiące domów, a mieszkańców przesiedlać. Wskazał jednak kierunek: nowe budowle powinny powstawać tylko na terenach niezagrażonych kataklizmem. Czasem zaś zamiast inwestować w odbudowę lub tworzenie obwałowań mających chronić istniejące siedliska, bardziej opłaca się wybudować nowe domy na wyżej położonym terenie i w ten sposób zapewnić mieszkańcom niemal stuprocentowe bezpieczeństwo. Ta wypowiedź zszokowała wiele osób – program i zalecenia Millera nie zostały zresztą zrealizowane, wstrzymano bowiem finansowanie z budżetu wspólnoty unijnej.

Komunikat Millera był jednak zgodny z kierunkiem działań w zachodniej części Europy. Wiele rzek się renaturalizuje, w wielu miejscach burzy się obwałowania – naturalne powodzie są bowiem mniej kosztowne niż kataklizmy wywołane przerwaniami wału. Co ciekawe, słowa wojewody Małopolski, tak samo zresztą jak słowa premiera Cimoszewicza, nie są uznawane za bzdurę. Wszyscy wiedzą, że diagnoza jest słuszna. A mimo to co roku na terenach zagrożonych powodzią powstają nowe budynki, co zwiększa ryzyko potencjalnych strat.

Bzdury ekologów? Niekoniecznie. Szkody w zalanej w 2010 r. gminie Wilków były ogromne. Sto lat wcześniej, w 1910 r., wały wiślane nie istniały, a straty poniesione w wyniku powodzi tamtego lata były niemal żadne. Rok później

także, mimo że wsie i zabudowania znajdowały się w tych samych miejscach. Jak to możliwe? To proste. Domy były niepodpiwniczone, wiele z nich stało na sztucznych wzniesieniach lub wręcz na palach. Były też prostymi konstrukcjami, które w razie zniszczenia można było odtworzyć bez ponoszenia wysokich kosztów. W razie powodzi większej niż zwykle mieszkańcy wnosili dobytek na poddasze, a nawet stawiali na parapetach i wiszących półkach, świadomi, że tak wysoko woda nie sięgnie. Opuszczali wtedy swoje domy na dwa, trzy dni, a po powrocie niewielkim wysiłkiem naprawiali szkody i wracali do normalnego życia. Wszystko to odbywało się bez opieki państwa.

Zgodnie z rytmem natury żyło się do lat 60. XX w. Co jakiś czas (najczęściej wiosną) Wisła wylewała, nanosiła na pola muły i osady, użyźniała je, z rzadka niszcząc plony. Czasem niektórzy mieszkańcy musieli na parę dni opuścić swoje domy. W końcu pojawili się inżynierowie, którzy obiecali, że zbudują wały i dotkliwie coroczne powodzie przestaną nękać ludzi.

Obietnica bezpieczeństwa wymusiła zmianę trybu życia. Budynki zalane w 2010 r. nie były więc już przygotowane na powódź, a ich odbudowa wymagała pomocy państwa.

Powódź to nie tylko straty materialne

Powódź wiąże się z zagrożeniami dla życia. Spora grupa ofiar powodzi to ludzie starsi – a więc ci mniej mobilni. Wielu z nich umiera też po powodzi w wyniku komplikacji zdrowotnych wywołanych kataklizmem.

Kłęska żywiołowa oznacza też duże straty dla gospodarki – szczególnie dotyczy to małych przedsiębiorstw, które bywają podstawą lokalnego rynku pracy. W Polsce nie ma na razie badań dotyczących tego, jak małe firmy radzą sobie po powodzi, ale z danych zbieranych na świecie wyłania się dość zaskakujący obraz – w USA 25 proc. małych przedsiębiorstw, które ucierpiały wskutek kataklizmu, nie wraca na rynek lub krótko po powodzi upada. Wyniki badań brytyjskich są jeszcze brutalniejsze – aż 40 proc. małych firm upada w konsekwencji powodzi. Przyczyną są nie tyle straty materialne ponoszone przez przedsiębiorców, ile utrata ciągłości współpracy z dotychczasowymi stałymi klientami, dostawcami itp. To m.in. dlatego we Włoszech po trzęsieniu ziemi wzywano do solidarności z przedsiębiorcami z poszkodowanych rejonów i zachęcano do kupowania produktów właśnie stamtąd, jak również namawiano do podtrzymywania kontraktów mimo przejściowych trudności.



fot. Mikołaj Gospodarek



Miasta pokryte są kilometrami betonowych chodników, asfaltowych ulic i hektarami dachów. Budowanie kanałów mieszczących spadającą na nie deszczówkę się nie opłaca.

Powodzie mają także negatywne skutki dla środowiska. Tym większe, im bardziej uregulowany był bieg rzeki. W naturalnych dolinach rzecznych znajduje się mnóstwo różnych siedlisk, poczynając od koryta rzecznego, przez znajdujące się w dolinie rzeki stojące zbiorniki wodne, lasy łąkowe, po podmokłe tereny otwarte. Czynnikiem, który pozwala utrzymać tak dużą bioróżnorodność, są dynamicznie zmieniające się warunki wywołane przez okresowe lub losowe powodzie – ale tylko te, które występują na obszarach naturalnych. Tam, gdzie dochodzi do kataklizmu, bogactwo przyrody jest mniejsze, bo tereny zmeliorowane nie są już tak atrakcyjne dla zwierząt, a na dodatek mniej różnorodna przyroda jest narażona na dotkliwsze straty.

Miasta – nie tak prosto

Co jednak począć z miastami? Życie ludzkie zawsze koncentrowało się w dolinach, przy rzekach. Dostęp do wody miał przecież wielkie znaczenie – była potrzebna do życia i transportu. Dziś wielkie skupiska społeczne, po wiekach systematycznej zabudowy, są w większości obszarami zagrożonymi powodzią, w dodatku ich system bezpieczeństwa opiera się na obwałowaniach i innej infrastrukturze przeciwpowodziowej, od kanałów burzowych poczynając.

Problemy wywołane przez opady powtarzają się każdego roku. Jedna wielka burza z intensywnym deszczem zamienia ulice niejednego miasta w rwący potok. Woda dostaje



się do piwnic, garaży, zalewa samochody, wstrzymuje działanie komunikacji miejskiej. Niby nic, niby niewiele kosztuje, ale te kilkaset tysięcy złotych, czasem parę milionów, które są potrzebne do zniwelowania strat, można by wydać na coś innego. Opady i burze istnieją od zawsze (choć teraz, w wyniku ocieplenia klimatu, będą jeszcze częstsze), lecz jeszcze 100, może nawet 50 lat temu, woda deszczowa miała gdzie wsiąkać. Dziś miasta pokryte są kilometrami betonowych chodników, asfaltowych ulic i hektarami dachów. Na wodę, która na nie spada, czekają tylko kratki i kanały burzowe – od ich wydolności zależy bezpieczeństwo miasta. A budowanie takich kanałów, by zmieściła się w nich woda z każdego opadu, się nie opłaca – nawet lotniska rezygnują z takich

inwestycji, bo mniej kosztuje wypłacenie odszkodowania za odwołane loty. Na dodatek tak zabudowane miasta są bardziej zagrożone gwałtownymi burzami, ponieważ unosi się nad nimi czapa ciepłego powietrza, nagrzanego od asfaltowych i betonowych powierzchni.

Czy coś z tym można zrobić? W Kopenhadze parę lat temu rozpoczęto realizację programu tzw. zielonych ulic. Zielonych, bo zamiast betonowych chodników albo asfaltowych parkingów nawierzchnie są żwirowe lub utworzone z kratki betonowej. Deszczówka ma gdzie wsiąkać. Nie płynie kanałem, ale przenika do ziemi.

Tego rodzaju podejście prezentuje też Rotterdam, który z obwałowań zrezygnować jednak nie może. Jest w większości



położony poniżej poziomu morza. Na jednym z tamtejszych skwerów zrealizowano innowacyjny projekt: dziurę w ziemi. Na co dzień spełnia ona rolę miejskiego placu. Znajduje się tam boisko, można pojeździć na rolkach. Stopnie prowadzące na dno placu pełnią też funkcję amfiteatru na okoliczność wydarzeń teatralnych organizowanych przez pobliską szkołę. Tak jest przez większość czasu, jednak na kilkanaście dni w roku plac zamienia się w zbiornik. Dzieje się tak wtedy, gdy opady są tak intensywne, że system przepompowni nie jest w stanie usunąć opadów z miasta. Rotterdam postanowił już się nie spierać z naturą, ale żyć zgodnie z jej rytmem. 🌊

Bartosz Piłat

Elektryczne auta nie zmienią świata

O elektromobilności mówi większość polityków na świecie, rozmawia się o tym także w Polsce. Najczęściej wspomina się po prostu o przesiadce z aut spalinowych na elektryczne. Jednak nie to jest sednem sprawy. Zmiana silników to tylko jeden element właśnie zachodzącej wielkiej zmiany.

Polska ma swój program elektromobilności dotyczący samochodów, choć sami nie produkujemy pojazdów osobowych własnego projektu. To działanie ma przyciągnąć uwagę społeczeństwa i podkreślać, że rząd premiera Mateusza Morawieckiego myśli o rozwoju w kategoriach nowoczesności. Elektromobilność to chwytliwe hasło – ekologiczne środki lokomocji od paru lat cieszą się zainteresowaniem czytelników czasopism branżowych i popularnych, a kolejne targi samochodowe to okazja dla firm motoryzacyjnych do pochwalenia się nowinkami technologicznymi.

Trudno mieć rządowi za złe, że skupia się na tego rodzaju skoku technologicznym (odstawmy na bok osiągalność tego wyzwania). Niemal każdy chce mieć udział w zmianach na rynku nowych napędów. Przewodzą w tym Chiny. Ze względu na rozmiary swojego kraju, liczebność społeczeństwa oraz olbrzymie zasoby gotówkowe sprzedaje i produkuje się tam najwięcej elektrycznych samochodów i autobusów. W ubiegłym roku Chińczycy kupili ponad 400 tys. takich aut. Szacuje się, że do 2020 r. na tamtejszych drogach pojawi się ich ponad

5 mln (w Polsce ambitnym celem jest 1 mln). Władze w Pekinie wcieliły też w życie wielki program budowy fabryk baterii do samochodów.

Dlaczego auto elektryczne to trudny wybór

Zanim zaczniemy się zastanawiać, jak ten pęd do elektryczności w motoryzacji przełoży się na nasze życie, cofnijmy się o krok i zobaczmy, jak wyglądało wdrażanie technologii produkcji energii ze źródeł odnawialnych. Warto to zrobić, bo – w przeciwieństwie do urządzeń wykorzystujących OZE – samochody elektryczne nie mają tak istotnego wsparcia ze strony państwa. Owszem, dostępne są różnego rodzaju dopłaty dla konsumentów decydujących się na zakup pojazdu niespalinowego, ale poza tym nie otrzymują oni prawie żadnych gratyfikacji finansowych. Nawet w Polsce ładowanie auta z publicznego gniazdka już niedługo przestanie być darmowe. Tymczasem prosumenci, czyli osoby korzystające z prądu i zarazem produkujące go na małą skalę za pomocą paneli fotowoltaicznych umieszczonych na dachu czy niedużego wiatraka, przez lata otrzymywali wsparcie finansowe (inwestorzy) i obietnicę sprzedaży prądu po gwarantowanej cenie minimalnej. Taka polityka stymulowała rozwój technologii. Wmiki instalowane na początku XXI w. zwracały się po 70 latach (bez dopłat), ale dzisiejsze przynoszą zyski już po kilkunastu. Wszystko dzięki technologicznemu rozwojowi systemów w ciągu ostatnich 20 lat.

Użytkownicy aut elektrycznych nie otrzymują takiego wsparcia, przez co wciąż są one niezbyt opłacalną ciekawostką motoryzacyjną. Można to łatwo sprawdzić, porównując koszty zakupu i użytkowania. Samochody elektryczne są droższe od benzynowych z tego samego segmentu o 40–70 tys. zł. To ogromna różnica, ale przecież jeszcze niedawno droższe o kilkanaście tysięcy zł wersje z silnikami diesla szybko zwracały się każdemu kierowcy jeżdżącemu dużo i często. Prąd jest jeszcze tańszy od oleju napędowego, a czasem nawet darmowy (w Polsce w punktach publicz-

nych prąd do samochodu wciąż pobieramy bez opłat, choć, jak wspomnieliśmy, niedługo ma wejść w życie ustawa regulująca zasady sprzedaży). „Tankując” prąd, można zaoszczędzić nawet 3 tys. zł w ciągu roku (jeśli przejeżdżamy więcej niż 20 tys. km rocznie). Zatem w obecnych warunkach najtańszy samochód elektryczny zacznie przynosić oszczędności dopiero po 12 latach. Dzisiaj prawie nikt nie jeździ tak długo jednym samochodem. Jeśli dołożyć do tego wyższe koszty serwisowania niż w przypadku napędu na paliwa płynne oraz niewielką liczbę stacji ładowania, śmiało można stwierdzić, że kupno auta na prąd to na razie wariant dla osób zamożnych.

Kolejny fakt świadczący na niekorzyść nowej technologii to to, że spalinowe jednostki napędowe wcale nie osiągnęły kresu swoich możliwości. Firma Bosch wiosną 2018 r. poinformowała o zakończeniu prac nad nowoczesnym systemem, który umożliwi obniżenie emisji tlenków azotu przez silniki diesla do poziomów wielokrotnie niższych, niż wymaga surowa norma Euro 6. Przekreślone przez wielu napędy wysokoprężne wcale nie zostaną wycofane z produkcji tak szybko, jak mogło się wydawać, choć zapewne nadal będą montowane głównie w pojazdach towarowych czy autobusach.

Samochodów elektrycznych będzie przybywać

Te prognozy oparte są jednak na szczytkowych danych i założeniach, które ostatecznie mogą się okazać nieprawdziwe (jak choćby to, że rozwój pojazdów na prąd jest uzależniony od możliwości baterii). Już w 2025 r. sytuacja może ulec radykalnej zmianie. Agencja Bloomberg szacuje, że właśnie wtedy zrównają się koszty produkcji aut spalinowych i elektrycznych. Z kolei w 2040 r. jedna trzecia pojazdów na świecie ma być zasilana z gniazdka.

Przypomina to nieco odtwarzanie piramidy w oparciu o ziarnka piasku – analizy zawierają wiele obostrzeń. Konieczne jest np. zbudowanie infrastruktury pozwalającej podróżować na duże odległości. Najlepszy samochód osobowy na prąd (Tesla) przejeżdża na jednym ładowaniu 400 km – dwa razy mniej niż przeciętny pojazd spalinowy. Bez odpowiedniej sieci obsługi auta elektryczne pozostaną wyłącznie miejskim środkiem lokomocji.

Konieczne jest także zapewnienie zapasów energii na potrzeby nowego transportu. Te obecne zużywamy w całości. Albo elektrownie muszą być wydajniejsze, albo musi ich powstać więcej. Gdyby wszyscy mieszkańcy Berlina przesiedli się na samochody elektryczne, miasto potrzebowałoby dwa



fol. Mikołaj Gospodarek

razy więcej prądu, niż zużywa obecnie. Nie dość, że nie ma gdzie go wytworzyć, to nie ma też jak dostarczyć go do miasta. Z podobnymi problemami będzie się borykać każdy kraj, który planuje rozwijać elektrotransport.

Rachunek ekologiczny wciąż na minusie

O ile samochód elektryczny może być opłacalny dla pojedynczego kierowcy, to przyrodzie nadal szkodzi on o wiele bardziej niż pojazd spalinowy. Unia Europejska systematycznie zaostrza normy maksymalnej dopuszczalnej ilości emitowanych tlenków węgla, dwutlenku siarki czy węgłowodorów. Nic więc dziwnego, że jeszcze niedawno (zgodnie z raportem szwajcarskich Laboratoriów Inżynierii Materiałowej i Technologii) wpływ na środowisko aut z konwencjonalnymi silnikami był mniejszy niż tych z napędem alternatywnym. Do podobnych wniosków doszli też naukowcy z Argonne National Laboratory w Chicago. Wszystko dlatego, że sama eksploatacja pojazdu to jedno, ale należy uwzględnić również koszty produkcji (zużycie surowców i energii, emisja zanieczyszczeń) oraz utylizacji – w tej kwestii problemów nastroją przede wszystkim wyczerpane baterie.

Skutki produkcji samochodów elektrycznych i spalinowych są dla przyrody porównywalne. Dlatego też trwają prace nad tym, by jak najdłużej wykorzystywać akumulatory tych pierwszych. To główny czynnik zmniejszający korzyści płynące dla przyrody z wykorzystywania silników nieemitujących spalin. Przykładowo Mercedes inwestuje w banki energii wykorzystujące baterie, które nie spełniają już swojej roli w pojazdach, ale przez wiele lat mogą być jeszcze wykorzystywane do magazynowania energii. Aby elektromobilność była skuteczna, musi być powiązana z całą gospodarką energetyczną.



Osiągnięcia Chin czy plany Polski wzbudzają raczej politowanie. Nie bez powodu, bo przesiadka na samochody elektryczne w obu tych krajach paradoksalnie oznacza zwiększenie emisji dwutlenków węgla. Wszystko dlatego, że prąd produkują przede wszystkim w tradycyjnych elektrowniach węglowych.

W przypadku naszego kraju całkowita wymiana sposobu zasilania pojazdów przyniosłaby jednak inną ogromną korzyść: uniezależnienie od ropy naftowej. Obecnie musimy ją kupować przede wszystkim od Rosji. Energię elektryczną możemy produkować sami, wykorzystując własne surowce. To już poważniejszy argument – trzeba się tylko postarać, by nowe zasoby nie były produkowane przy użyciu węgla.

Auto na prąd to tylko nowy koń, ale wciąż koń

Kwestie opłacalności produkcji i używania samochodów elektrycznych cały czas odnoszone są do tradycyjnej roli tych pojazdów. Przyszłość motoryzacji rozważa się jako rozwój obecnego modelu napędzania bez analizy zmian w sposobie podróżowania, które zaszły w ostatnich dwóch dekadach.

Natomiast większy wpływ na gospodarkę może mieć zmiana sposobu wykorzystywania aut, a nie ich zasilania.

Często przywołuje się – jako anegdotę – jeden z XIX-wiecznych numerów nowojorskiej gazety i artykuł, którego autor przeliczył ilość odpadów końskich koniecznych do zutylizowania, jeśli liczba tych zwierząt będzie rosła w stałym tempie. Wszyscy śmieją się dziś z tego dziennikarza, bo nie brał pod uwagę gwałtownego rozwoju motoryzacji. Historia ta ma być analogią do zachowania ludzi widzących w autach elektrycznych rozwiązanie problemów z ogromnym zużyciem ropy naftowej czy zanieczyszczeniami emitowanymi przez środki transportu.

Kiedy jednak zastanowić się nad tym głębiej, opisywane rodzaje samochodów nie różnią się prawie niczym. Mają tylko inny silnik – to po prostu nowe konie, które wytwarzają odpady innego rodzaju. Te elektryczne zajmują tyle samo miejsca na ulicy i parkingu, uwalniają do powietrza tyle samo zanieczyszczeń ze ścierających się opon i trochę mniej z klocków hamulcowych (bo hamuje się także silnikiem działającym jak prądnica). Jak wspomnieliśmy, koszty produkcji

takiej maszyny są dla przyrody porównywalne z produkcją pojazdu elektrycznego. Zatem na czym polega ta elektrowolucja?

Smog, hałas, przestrzeń

Większość miast zachodniej Europy boryka się z zanieczyszczeniami powietrza. Pojazdy elektryczne wydają się rozwiązaniem tych problemów – umożliwiają zmniejszenie emisji niechcianych gazów nawet o połowę, a jednocześnie pozwalają zachować obecny model zarządzania transportem. Do tego są cichsze, a hałas jest kolejną bolączką dzisiejszych metropolii.

Jednak auto – elektryczne czy nie – ma poważny mankament – zajmuje sporą powierzchnię. Żeby zaparkować 1 mln samochodów ciasno jeden obok drugiego, bez możliwości dowolnego opuszczenia parkingu (a raczej trudno byłoby się nam jej wyzbyć), trzeba by wygospodarować powierzchnię 4 × 5 km. Podana liczba wehikułów może wydawać się abstrakcyjna, ale tyle (w przybliżeniu) znajduje się ich aktualnie na obszarze Krakowa, Wrocławia, Poznania, Łodzi, Trójmiasta itd. W przypadku Warszawy jest ich co najmniej dwa razy więcej.



Coraz powszechniejsze są tendencje do zamykania obszarów średniejszych dla ruchu pojazdów silnikowych, bo to tam najczęściej pojawiają się problemy. Politykę tę realizuje się albo przez wprowadzenie opłat za wjazd, albo wręcz za-

kaz wjazdu. Czasem dokonuje się selekcji aut, np. na podstawie rodzaju paliwa – jak w niemieckich miastach, do których nie wpuszcza się aut osobowych z silnikiem diesla.

Miasta, takie jak Bruksela, Kopenhaga czy Oslo, postawiły za to na *carsharing*. O sukcesie tej usługi można mówić także w polskich miastach, gdzie działają głównie wypożyczalnie samochodów spalinowych. Co prawda to rozwiązanie nie sprawia, że auta przejeżdżają mniej kilometrów (a to właśnie ma wpływ na poziom emisji zanieczyszczeń). Zajmowanych jest jednak mniej miejsc postojowych, choć tyle samo osób podróżuje samochodami. Oszacowano, że aby zaspokoić zapotrzebowanie na samochody mieszkańców Brukseli, wystarczyłaby sieć licząca ich jedynie 25 tys. W ten sposób w stolicy Belgii chce się zastąpić ok. 100 tys. aut, których posiadaczami są jej mieszkańcy i drugie tyle należących do dojeżdżających. Oznaczałoby to o 75 proc. mniejsze niż obecnie wykorzystanie powierzchni parkingowej.

Nie ma prostych rozwiązań

Jednocześnie rozwija się branża pojazdów autonomicznych i wielu producentów rozważa wynajem swoich samochodów oraz świadczenie usług przewozowych (np. Volvo współpracujące z Uberem). Biorąc to pod uwagę, możemy mówić o głębokiej przemianie naszego podejścia do podróżowania i posiadania aut, która nie ogranicza się do elektromobilności. Zmiana ta jest najbardziej widoczna w miastach. To tam silniki na prąd radzą sobie najlepiej, *carsharing* może być testowany przy stosunkowo małych nakładach finansowych i niskim poziomie ryzyka biznesowego i wyraźnie widać tam wszystkie wady i zalety motoryzacji.

Skupianie się w dyskusji o motoryzacji na źródle energii nie ma sensu. Staramy się rozbudowywać sieć ładowania aut, a tymczasem Szwedzi opracowują systemy ich zasilania w biegu. Priorytetem są ciężarówki, które zużywają najwięcej energii. Eksperymenty obejmują zastosowanie trakcji rozwieszanej nad autostradą (TIR poruszałyby się jak trolejbusy) i gumowe szyny w jezdni z przewodami przekazującymi prąd do pantografu opuszczanego na jezdnię.

Przewidywanie rozwoju transportu nie jest dziś proste. Nawet uniezależnienie światowej gospodarki od krajów posiadających złoża ropy nie zmieni całkowicie światowego porządku. Znaczenie zyskałyby wtedy surowce niezbędne do produkcji silników i baterii – równie rzadkie jak ropa. ☉

Bartosz Piłat

Energia pod różnymi postaciami

Ostatnie 250 lat to czas coraz większego uzależnienia się społeczeństwa od energii. Więcej produkujemy, konsumujemy i podróżujemy, więc potrzebujemy jej dobrego źródła.

Pierwsza rewolucja przemysłowa oznaczała odejście od odnawialnych źródeł energii (OZE) – drewna, wody, wiatru czy słońca. Wcześniej masowo wykorzystywane i stanowiące podstawę gospodarki, coraz silniej zastępowane były przez węgiel potrzebny do napędzania maszyn parowych. Miało to swój wymiar praktyczny – węgiel, który musiał zabierać w drogę pociąg parowy, był 2-3 razy lżejszy od drewna, które zapewniłoby tyle samo energii. To zaś oznaczało, że zastąpienie drewna węglem umożliwiało przyniesienie większych zysków – można było przewieźć więcej towarów szybciej i na większe odległości.

Dwie rewolucje przemysłowe, a później dwie wojny światowe nie mogłyby się dokonać, gdyby maszyny nie zastąpiły koni. Druga wojna światowa była także wojną o dostęp do zasobów nowego globalnego paliwa nieodnawialnego gospodarki – ropy naftowej. Coraz większe uzależnienie rozwiniętych społeczeństw od tego paliwa doprowadziło w latach 70. do poważnego globalnego kryzysu gospodarczego – cena ropy okazała się piętą achillesową całego zachodniego pomysłu na dobrobyt.

Konsekwencją szoku naftowego był technologiczny wyścig. W drugiej połowie XX w. zaczęła go jednak wygrywać nie energia odnawialna, ale jądrowa. Nie pomogły 32 kolektory słoneczne, które prezydent USA Jimmy Carter z Partii Demokratycznej zainstalował na dachu Białego Domu. W 1981 r. republikanin Ronald Reagan kazał je zdjąć.

Słońce przegrało z atomem nie tylko z powodów cywilno-energetycznych. Najpoważniejszym konfliktem, z którym zmagali się wówczas świat, była tzw. zimna wojna. Przez cały

okres jej trwania zbrojono się na wyścigi – co ostatecznie oznaczało bój o liczbę głowic atomowych i jak najwydajniejszy jądrowy napęd łodzi podwodnych. Ta rywalizacja doprowadziła w połowie lat 80. do jednej z dwóch największych w historii świata katastrof jądrowych – do wybuchu w elektrowni w Czarnobylu, która, oprócz energii elektrycznej, produkowała pluton do celów militarnych. Katastrofa stała się jednym z symboli upadku ZSRR. Druga katastrofa jądrowa o porównywalnej skali miała miejsce w japońskiej elektrowni jądrowej w Fukushima w 2011 r. i przyczyniła się m.in. do zamknięcia wszystkich 50 reaktorów w Japonii i podjęcia ostatecznej decyzji o odejściu od energii atomowej w Niemczech do końca 2022 r. Atom przestaje się liczyć w globalnym wyścigu energetycznym. Dziś niespełna 400 elektrowni jądrowych na świecie wytwarza niecałe 4,5 proc. całej zużywanej przez 7,6 mld ludzi energii.

Konflikty, katastrofy, ubóstwo

Coraz większe uzależnienie ludzkości od wyczerpywalnych kopalnych źródeł energii wpływa na eskalację konfliktów oraz na degradację innych zasobów przyrody – często tych najważniejszych, jak zasoby wody czy powietrza. Mamy już pewność, że prowadzenie takiej polityki energetycznej sprawia, że szybciej podnosi się średnia temperatura na Ziemi, a to z kolei prowadzi do częstszego występowania naturalnych katastrof.

Konwencjonalna energetyka stała się też polem dla rozrastających się ponadnarodowych korporacji oraz polityczno-gospodarczych oligarchii. Kontrola nad zgromadzonymi

przez miliardy lat na Ziemi zasobami węgla, ropy, gazu oraz uranu w coraz większym stopniu rozszerzana jest na kanały przesyłu surowców, a jednocześnie pozwala oddziaływać na instytucje i procedury demokratycznego świata. Ruchy obywatelskie nie mają w starciu z taką siłą większych szans. Dowodem na to są historia Indian Lakota, którzy 2 lata temu wszczęli protest przeciw budowie rurociągu przez cenne pod względem przyrodniczym i ważne dla nich w wymiarze symbolicznym tereny, jak i obecne sprzeciw rolników w Wielkopolsce, którym brakuje wody do produkcji żywności, bo pochłaniają ją odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego.

Rozwiązanie tego rodzaju konfliktów mogłoby przynieść obszar zielonej rewolucji technologicznej – dynamiczny rozwój odnawialnych źródeł energii może sprzyjać nie tylko bardziej przyjaznej energii, ale też polepszaniu kondycji społeczeństwa.

Rozpoczęła się globalna era zielonej energii

Od czasów, gdy Jimmy Carter umieścił kolektory słoneczne (podgrzewające wodę) na dachu Białego Domu, spokrewnione z nimi panele fotowoltaiczne (wykorzystujące energię słoneczną do produkcji prądu) staniały 200 razy! Pojawiły się też nowoczesne konstrukcje wiatraków, pompy ciepła, elektrownie wykorzystujące prądy morskie – energetyka odnawialna po 2010 r. w sensie technologicznym rozwinęła się na tyle, że przestała być domeną tylko eksperymentatorów i entuzjastów. Jest dziś pełnowartościowym i opłacalnym ekonomicznie źródłem energii.

Pod koniec 2017 r. po raz pierwszy w historii Unii Europejskiej łącznie OZE (głównie biomasa, wiatr i słońce) zapewniły więcej megawatogodzin prądu niż połączone elektrownie na węgiel brunatny i kamienny. W ten sposób aż 30 proc. energii elektrycznej w UE pochodziło już z zielonej energii, z węgla – 20,6 proc., z atomu – 25,6 proc. Unia Europejska weszła w epokę energii odnawialnej. Na zawsze.

I choć każdy rok przynosi kolejne światowe zielone rekordy energetyczne, to jeśli nowa energetyka ma pozytywnie zmienić losy świata, należy się zastanowić, jak może wpływać na społeczeństwa i ich kulturę. Dynamicznie zachodzące zmiany w sferze technologicznej zapewniają narzędzia do tworzenia nowej demokracji – demokracji energetycznej.

Energia w rękach ludzi, czyli władza niżej

Rozproszenie wytwarzania energii dzięki znacznie mniejszym (aż do poziomu domowego) instalacjom OZE daje

szansę na poważną zmianę – odzyskanie własności, kontroli i władzy nad krwiobiegiem cywilizacji XXI w., jakim jest energetyka. Już dziś w Polsce wiele firm oferuje leasing tego rodzaju urządzeń, wysiłek finansowy biorąc na siebie. Dlaczego? Bo prosument, który dokona inwestycji samodzielnie, staje się całkowicie niezależny.

Miliony prosumentów energii odnawialnej (producentów i konsumentów zarazem) stają się obywatelami napędzającymi lokalną gospodarkę i tworzącymi nowy patriotyzm na podstawie globalnych (globalnych i lokalnych zarazem) zasobów. Generując energię odnawialną, wytwarzają także inne dobra publiczne: czystą wodę i powietrze, zapobiegają degradacji środowiska i nie wpływają na ocieplanie się globalnego klimatu; zwiększając lokalną samowystarczalność energetyczną, zmniejszają napięcia i konflikty międzynarodowe. Przesyłanie energii lub transportowanie paliw na duże odległości będzie mieć coraz mniejszy wpływ na geopolitykę.

Ta zmiana stawia prosumentów na zupełnie nowej pozycji – stają się niezależni od scentralizowanej energetyki, ale jednocześnie ich bezpieczeństwo energetyczne jest nietrwałe. Wprawdzie magazynowanie energii jest coraz silniej obecne na globalnym rynku, ale prosumenci nadal będą uzależnieni od nasłonecznienia czy siły wiatrów, od awarii domowych elektrowni.

Z tego względu ci, którzy w najbliższych latach naprawdę będą się chcieli uniezależnić pod względem energetycznym, będą skłonni zrzec się w lokalnych sieciach energetycznych, tworzyć efektywne i odnawialne wspólnoty energetyczne. Jeden dom jest narażony na niedobór energii, ale jeśli w jakiejś miejscowości np. 20 prosumentek i prosumentów postanowi wspólnie zasilać gniazdko w swoich domach, nawet awaria w jednym miejscu nie skaże na brak prądu całej wspólnoty. Budowa takiej lokalnej sieci wymagać będzie kilku ważnych ruchów: najpierw woli współpracy i zgody na kompromis, ustalenia zasad rozliczania, a wreszcie zmusi ich do wspólnego podejmowania decyzji o rozbudowie instalacji lub wspólnoty, jeśli pojawią się nowe członkinie i nowi członkowie.

Rozliczanie się z produkcji i zużycia energii będzie możliwe na dwa sposoby – albo za pomocą krajowych dystrybutorów, przy wykorzystaniu ich narzędzi, albo na własną rękę. To drugie rozwiązanie daje pole do rozwoju idei *blockchain*, czyli niezależnego od scentralizowanych systemów kanału rozliczeń między uczestnikami – na podstawie własnych

współczynników, własnej energetycznej „waluty”, własnego systemu zabezpieczeń. W ten sposób powstaje wirtualna elektrownia, w której blok węglowy czy atomowy zastępują tysiące połączonych inteligentną siecią prosumentów energii odnawialnej.

Takie zdecentralizowane, lokalne wspólnoty energetyczne zapewniają nie tylko wolność i niezależność, ale przede wszystkim pozwalają uczestniczyć w życiu publicznym w innym aspekcie, zachęca do współuczestnictwa w tworzeniu dobrobytu w nowym wymiarze, a w efekcie także współrządzenia dobrami wspólnymi. Tworzenie demokracji energetycznej jest po prostu budowaniem bądź odbudowywaniem demokracji w bardzo praktyczny sposób i przynosi wymierne indywidualne i zbiorowe, szybko i łatwo odczuwalne korzyści.

Dzięki współpracy m.in. z IKEA i Danfoss w Polsce taką wspólnotę budujemy obecnie w Słupsku w ramach unijnego projektu badawczo-rozwojowego Horyzont 2020 „Supporting Consumer Ownership in Renewable Energies”. Działania na rzecz efektywności energetycznej (np. wymiana oświetlenia na LED, starego i energochłonnego sprzętu AGD) i własnych instalacji OZE (m.in. fotowoltaika, kolektory słoneczne, pompy ciepła) podejmują różne podmioty miejskiej polityki energetycznej, m.in.: Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta, komunalna spółka Wodociągi Słupsk czy Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej, doprowadzając do zaoszczędzenia megawatów prądu i megadżuli ciepła oraz rozbudowując, za sprawą środków zaoszczędzonych dzięki niższym rachunkom, własne odnawialne zasoby energetyczne.

Z badań opinii publicznej w Polsce wynika, że ludzie są dobrze nastawieni do efektywności energetycznej oraz że chcą zacząć produkować własną energię na dachu czy w ogródku ze źródeł odnawialnych. Co stoi na przeszkodzie?

Węglowo-atomowe państwo kontra efektywny i odnawialny obywatel prosument

W Polsce borykamy się z podobnymi problemami jak społeczeństwa innych krajów. Różnica jest taka, że my mierzymy się z tym dwie dekady później. Podobnie jak np. w Niemczech w Polsce energetyka jest zmonopolizowana przez kilka koncernów, a prawo chroni ich interesy. Rząd i koncerny też starają się zadbać o swój *status quo*. Interes koncernów jest oczywisty: hamowanie demokratyzacji energetyki sprawia, że spośród 20 największych przedsiębiorstw w Polsce

połowa nadal reprezentuje sektor energetyczno-paliwowy. Jak w XIX i XX w., choć na świecie od kilku lat kopalniane dinozaury są wyprzedzane w rankingach gospodarczych przez firmy technologiczne stawiające na efektywną, rozproszoną, inteligentną energetykę pochodzącą ze źródeł odnawialnych.

Tymczasem w Polsce podczas fali upałów tego lata energetyczny dinozaur emitujący najwięcej gazów cieplarnianych do atmosfery – Polska Grupa Energetyczna – promował zakup... klimatyzatorów na prąd z węgla, którego spalanie przecież w największym stopniu przyczynia się do zmian klimatu w Polsce i na świecie. Dlaczego mamy płacić krocie monopolistycznie, i to podwójnie: za węglowy prąd i za skutki jego spalania? Co ze społeczną i ekologiczną odpowiedzialnością biznesu?

Demokratyzacja energetyki, szczególnie w Unii Europejskiej, wydaje się dziś nieunikniona. Na naszych oczach kończy się epoka surowców nieodnawialnych (węgiel w Polsce zacznie brakować za 30–40 lat) i scentralizowanych systemów energetycznych. Wkraczamy w epokę prosumeryzmu, także dzięki unijnemu „pakietowi zimowemu”: pakietowi regulacji, które w centrum polityki energetycznej i klimatycznej stawiają prosumentki i prosumentów. Nowoczesne społeczeństwo ery informacyjnej rozciągnęło już zasoby danych, a teraz skupia się na rozproszonej energetyce, w o wiele mniejszym stopniu grożącej katastrofami. Dziś stawką nie jest to, czy energię będziemy produkowali z OZE – codziennie słyszymy o kolejnych rekordach produkcji zielonej energii w różnych krajach. Obecnie ważą się losy tego, czy energią tą będą rozporządzały wymierające dinozaury epoki węgla, ropy i atomu, czy pojedynczy obywatele i lokalne wspólnoty energii odnawialnej. 🌱

Dariusz Szwed

Rolnictwo miejskie, czyli o rajach utraconym. Je-dze-nie?

Realizowanie idei „wiem, co jem” to nie tylko kupowanie produktów opatrzonych symbolem „bio” lub „eko”, ale też „fairtrade”. To uważne czytanie etykiet i wiedza na temat tego, co oznaczają poszczególne słowa i symbole. To otwarte klatki i dyskusja o etyce hodowania zwierząt, branie pod uwagę ich dobrostanu. To sprawa wpływu pestycydów i nawozów sztucznych na rośliny i środowisko naturalne w skali makro. To wreszcie kwestia zaufania.

Etykietkę na opakowaniu łosia norweskiego, który wydał mi się zdrowym pożywieniem, czytam teraz ze zrozumieniem. Ten łosień pochodzi z hodowli, która spełnia normy unijne. Ale normy unijne to niekoniecznie moje normy. Czuję się niekomfortowo, jedząc rybę, która nigdy nie zaznała wolności, nie pływała w otwartym akwenu, całe życie tłoczyła się z innymi rybami w zanurzonej w wodach fiordu klatce i którą karmiono z wiadra czy z rury jakąś przemysłowo przetworzoną paszą z dodatkiem leków i najprawdopodobniej innych ulepszcaczy. To, że można je stosować, bo pozwalają na to przepisy, niczego nie zmienia, ponieważ są używane na skalę przemysłową i nie mają nic wspólnego z etyką. Co więcej, ich stosowanie opiera się na przepisach, które mogą być niewystarczająco precyzyjne i przemysłane.

Zdaję sobie sprawę, że etykietka „bio” czy „eko” może być nadużywana, a nawet może być efektem manipulacji i nieuczciwego działania producenta. Uważam też jednak, że stosowaniu ich przyświeca szczytny cel.

Nie jestem ekspertem, po prostu chcę wiedzieć na ten temat jak najwięcej i podejmować świadome decyzje. Jeśli tylko mam możliwość, w najgorszym razie kupuję łosia

z hodowli ekologicznej (cokolwiek to znaczy, bo trudno uznać nawet najbardziej ekologiczne hodowle za kierujące się etycznymi pobudkami). W najlepszym razie kupuję łosiosa złowionego w oceanie, mimo że i ten „szczęśliwszy” łosioś zawiera mikroplastiki. Przynajmniej popływał sobie na wolności...

Zastanawiam się także, na ile wolne łosiosie zawdzięczają swoją wolność tym hodowlanym i jaki wpływ na siebie mają te dwie gałęzie przemysłu rybnego. Chciałbym, by obie zmierzały w kierunku gospodarki zrównoważonej.

Zasadniczo trend „wiem, co jem” jest pewną ideą, którą można interpretować na różne sposoby. W tym tekście skoncentrujemy się na jego podstawowych elementach: zdrowiu i etyce.

Wpływ żywności na zdrowie można badać, konfrontować z wieloma punktami widzenia, sprawdzać normy jakości i oczekiwanie konsumentów. Na ten temat mogą się wypowiedzieć naukowcy zajmujący się rolnictwem, dietetycy, chemicy, biolodzy, szefowie kuchni, degustatorzy. Jako konsument może o tym mówić każdy z nas. Suma tych perspektyw pozwoli nam lepiej zrozumieć to zagadnienie i podejmować świadome decyzje żywieniowe.

Drugim elementem „wiem, co jem” jest etyka. Ta wartość może wydawać się mniej namacalna, raczej umowna, ale przy odpowiednim podejściu może okazać się prostsza do zastosowania w praktyce.

Rewersem zdrowej żywności niekoniecznie jest odpowiedzialność. Odpowiedzialność w produkcji takiej żywności to złożony problem. Obejmuje sposób traktowania ludzi zaangażowanych w jej powstawanie (np. biednych rolników z plantacji bananów w Ekwadorze) i zwierząt, których mięso się wykorzystuje (np. stosowanie metod przemysłowych w hodowli krów, kur czy świń). W „wiem, co jem” powinno chodzić o to, by rolnicy byli godnie opłaceni, mieli zapewnione dobre i bezpieczne warunki pracy, by dzięki temu lepiej się im żyło. Można to nazwać dobrostanem ludzi (*wellness*).

W odniesieniu do zwierząt problem jest poważniejszy. Etyka w hodowli zwierząt to zagadnienie, które dopiero zaczyna być poruszane we współczesnej dyskusji społecznej. Najprostszym rozwiązaniem jest zrezygnowanie z jedzenia mięsa. Daleki jednak jestem od twierdzenia, że to jedyna właściwa droga. Sądzę, że da się hodować zwierzęta zgodnie z zasadami etyki, jak i pozyskiwać mięso w etyczny sposób – jak w przywołanym wyżej przykładzie wyboru między łosiosiem ze zwykłej hodowli, hodowli ekologicznej i złowionego

w oceanie. Ten złowiony w oceanie żył w warunkach naturalnych i padł ofiarą drapieżnika. To drugorzędna sprawa, czy drapieżnikiem był rekin, czy człowiek. Jeśli zgodzimy się, że pozyskanie mięsa w wyniku polowania na dzikie stworzenie nie jest niczym złym, to możemy zacząć się zastanawiać, jak takie polowanie powinno wyglądać. Istotna okaże się kwestia równowagi i metod połowu. Jestem przekonany, że zawsze możliwe jest ustalenie najbardziej humanitarnych metod zabicia stworzenia oraz utrzymania równowagi w ekosystemie. Ludzkość do tego dąży – mniej lub bardziej skutecznie – wprowadzając przepisy o ochronie gatunków fauny i flory oraz narzucając regulacje dotyczące częstotliwości polowań czy połowów i liczebności zabitych zwierząt.

Wyznaję zasadę, że stosowanie jak najbardziej naturalnych rozwiązań jest najlepsze. Człowiek jako gatunek od zawsze polował na różne zwierzęta. Jest to zgodne z jego naturą. Ważne, żeby polujący nie przekraczali ograniczeń ilościowych i potrafili się zdobyć na refleksję nad humanitarnym odebraniem życia – bez zadawania zbędnego bólu.

Etyka w „wiem, co jem” to również wzięcie odpowiedzialności za los braci mniejszych. Skoro przejęliśmy panowanie nad całą planetą, musimy wziąć za nią pełną odpowiedzialność. Dlatego ochrona przyrody powinna być priorytetem człowieka Open Eyes.

Człowiek, któremu przyswiecają takie zasady, nie powinien interesować się tylko tym, co je, egoistycznie odnosząc to wyłącznie do swojego zdrowia. Nie powinno być mu obojętne to, jak wyglądał proces hodowli i uboju zwierzęcia, który trafił na jego talerz. Jeśli zwierzę się męczyło, było trzymane w ciasnej klatce, nie spacerowało po zielonej trawie w promieniach słońca, to zakup towarów wyprodukowanych w taki sposób jest nieetyczny. Jeśli zwierzęciu zapewniono naturalne warunki, było ono traktowane z szacunkiem i zakończyło żywot zabite w sposób możliwie najbardziej humanitarny, to taki proces może być etyczny. W pełni czy tylko do pewnego stopnia? To już zależy od naszego osobistego stosunku do sprawy.

Zawiłości w etycznym aspekcie trendu „wiem, co jem” będzie sporo. Jeśli żał mi idących na rzeź ssaków, to czy ta troska nie powinna dotyczyć również ptaków? Gadów? Może także płazów i owadów? Ryb i innych stworzeń morskich?

Radykalny stosunek do sprawy mają weganie decydujący się na dietę wyłącznie roślinną. Jarosz czy też wegetarianin zrezygnuje z mięsa, pescowegetarianin pozostanie przy owocach morza i produktach odzwierzęcych. Warto znowu

odwołać się do etyki: jajka od wolnych kur są lepsze niż od tych przetrzymywanych w klatkach, i bynajmniej nie chodzi tu o smak. Mieliśmy kiedyś z kolegami koguta, przejechał z nami setki kilometrów samochodem z Etiopii aż do Polski. Ta znajomość wywróciła do góry nogami moje postrzeganie podmiotowości kur. Są mądre i miłe, więc choćby z tego względu trudno im życzyć takiego losu, jaki jest im gotowany na przemysłowych fermach w chowie klatkowym.

Jako dziecko jeździłem, jak całe moje pokolenie (roczniki 70.), na wakacje na wieś, na żniwa. Pomagałem babci, wujkowi i cioci w gospodarstwie. W tamtych czasach krowy pasły się na łąkach, kury swobodnie spacerowały, a świny mogły wylegiwać się w błocie. To były szczęśliwe zwierzęta, hodowane z szacunkiem. Miały imiona, swoje przygody, niektóre nawet bardzo długo żyły. Kontakt z nimi i ciężka praca sprawiały, że naturalnie stosowano zasady etyczne. Przypominało mi to trochę zachowanie Indian z książek przygodowych, którzy odprawiali nabożeństwo nad zabitym z łuku jeleniem, dziękując Manitou, wyrażając szacunek dla duszy zwierzęcia, zapewniając, że zabicie go było koniecznością.

Oczywiście mimo wszystko na wsi nie ma miejsca na przesadne sentymenty. Kiedy trzeba było zabić kurę na obiad, to brało się toporek i łąpało kurę w wiadomym celu. Pozbawione głowy zwierzę biegło jeszcze chwilę po podwórku, a potem lądowało w garnku. Z dzisiejszego punktu widzenia były to brutalne czasy. Patrzyły na to dzieci. Jednak człowiek te zwierzęta wykarmił, wyhodował, opiekował się nimi, ciężko przy tym pracując. Ten sam człowiek na końcu odbierał im życie jednym szybkim cięciem. Taki los, takie prawo natury. A dzieci? Skoro jadły, to patrzyły.

Najgorzej było ze świnia. Wujek mnie zmusił do patrzenia, jak się ją zabija. Powiedział, że jeśli chcę jeść później kotlety, to muszę być w pełni świadomy, skąd się biorą. Płakałem, miałem 7 lat. Świnia to duże zwierzę, więc bardzo trudno ogłuszyć ją obuchem siekiery. Jeśli już się uda i zwierzę straci przytomność po potężnym uderzeniu w głowę, dalej wszystko odbywa się humanitarnie. Podwiesza się ją za tylne nogi – w tamtej sytuacji użyto do tego traktora z podnośnikiem, który uniósł świnie wysoko do góry – i podrzyna jej gardło, po czym spuszcza się krew do wanny. Potem zaczyna się ciężka rzeźnicza praca nad jej oprawieniem. Trauma dla dziecka? Z pewnością tak, do dziś dobrze wszystko pamiętam.

Ale to uczciwa cena za to, że potem wspólnie z całą rodziną zjadłem tę świnie jako kiełbasę, szynkę i wiele innych wyrobów. Wcześniej pomagałem tę świnie karmić, sprzątać w jej



Żyjemy w społeczeństwie, które nie ma pojęcia o skali dramatu miliardów zwierząt stłoczonych w fabrykach mięsa.

chlewie i – o zgrozo – miałem uciechę z kopania bucikiem w ryjek wystający zza prętów ogrodzenia. Wszystkie dzieci tak robiły. Czy to rzeczywiście były okrutne czasy? Dziś żyjemy w społeczeństwie, które nie ma pojęcia o skali dramatu miliardów zwierząt stłoczonych w fabrykach produkujących mięso. Większość nawet nie chce oglądać w internecie filmów dokumentujących współczesny farmagedon. Są one drastyczne, mogą zepsuć nastrój. W żaden sposób nie uczestniczymy już w procesie hodowli. Nie ponosimy odpowiedzialności ani nie mamy faktycznej świadomości, do czego dochodzi. Mało kto przeczytał wartościową książkę pod znamienym tytułem. *Farmagedon. Rzeczywisty koszt taniego mięsa* autorstwa Philipa Lymbery’ego. Pokazuje ona różnicę między dawną wsią, z natury etyczną, a dzisiejszym przemysłowym bezdusznym chowem zwierząt. Trudno po takiej lekturze przełknąć kęs mięsa.

Ci, którzy nie chcą rezygnować z mięsa, powinni ją przeczytać albo obejrzeć film *Okja*. To otwiera oczy, a my się przecież właśnie tym tutaj zajmujemy.

Sam do niedawna byłem mięsożercą. Pałaszowałem mięso. Starłem się wybierać, w miarę możliwości, steki od wolno chodzących po łąkach zwierząt.

Zawodowo zajmowałem się komunikacją społeczną w zakresie dobrostanu świń, kur i krów. Zwłaszcza w Unii Europejskiej możemy zaobserwować w tej kwestii wielki postęp. Powiększają się minimalne powierzchnie, na których mogą być hodowane zwierzęta, wprowadzane są liczne normy, niewątpliwie polepszające egzystencję zwierząt hodowlanych. Są one coraz lepiej karmione, żyją w bardziej higienicznych warunkach, kontrolowane są formy ich uboju. Niezaprzeczalnie takie zwierzęta już trochę mniej cierpią. Rośnie popularność rolnictwa ekologicznego. Wszystko powoli zmierza może nie w do-

brym, ale przynajmniej w odrobinę lepszym kierunku. Tyle że może zmierzać w jeszcze lepszym, i to znacznie szybciej.

Właśnie dlatego, w duchu Open Eyes Economy, postanowiliśmy w mojej firmie (która była do niedawna agencją reklamową, a stopniowo staje się firmą-idea, świadomie kształtującą swój model biznesowy tak, żeby zasadał się na ekologicznej i społecznej odpowiedzialności) wybudować MGR, czyli miejskie gospodarstwo rolne.

Podobnie jak w ubiegłym roku przeprowadziliśmy wspólnie (i z dużym sukcesem) z Mazda Polska eksperyment empiryczny, który nazywa się Slow Road (więcej na www.slowroad.pl i facebookowym profilu tego projektu). MGR jest próbą całościowego zmierzenia się z trendem „wielki, co jem” i wszystkim, co on ze sobą niesie.

Jeśli mamy zdobyć jak najpełniejszą wiedzę na temat całego łańcucha dostaw, etyki i dobrostanu zwierząt hodowlanych, tego, czy i jak zdrowe są rośliny, jajka, mleko, miód, uzyskiwane w dodatku w centrum dużego miasta, to najlepiej zrobić to samemu, od początku do końca.

Tak się składa, że obok siedziby firmy mamy ponad 20 a zieleń, dotąd niewykorzystanej. Właśnie trwa tam budowa. Dzięki mozolnej pracy koparki, ludzi i ciężarówek przyszła owczarnia-koziarnia, kurnik, szklarnia, warzywniak, króliczy wybieg, pasieka i ochronka dla rannych jeży nabierają realnego kształtu.

Podczas Open Eyes Economy Summit 2018 z dumą opowiem o pierwszych efektach naszej pracy. Dzięki współpracy z krakowskim Uniwersytem Rolniczym, Targiem Piętruskowym, Ogrodami Społecznymi, Pasieką Miejską i Krakowskim Zarządem Zieleni Miejskiej powstaje u nas jedyne w swoim rodzaju centrum badawczo-rozwojowe. Osobiście będziemy się opiekować naszymi kurami, owcami, pszczołami, jeżami i królikami, uprawiać warzywa. Pieczę nad tym będzie sprawował owczarek Misiek.

Budujemy (być może pierwsze w Polsce) antysmogowe: szklarnię, owczarnię i kurnik. Zaopatrzone w czujniki smogu, wentylację z filtrami HEPA, oczyszczacze powietrza, szelne kubatury, a także zdrową, specjalnie przywiezioną, przebadaną glebę. MGR współtworzą z nami m.in.: IKEA Polska, która dostarcza fotowoltaikę, Drewniany Market, z którym budujemy wszystko, co z drewna, rozmawiamy też o szklarni z firmą Oknoplast, a o zamkniętych obiegach wody – z Geberitem. Zamierzamy zainstalować wiele czujników, systemów monitoringu, prowadzić badania jakości produkowanej żywności. Dowiemy się wszystkiego, czego chcemy się

fot. Kornelia Tenerowicz



„
Jeśli mamy zdobyć wiedzę na temat dobrostanu zwierząt hodowlanych, tego, czy i jak zdrowe są rośliny, jajka, mleko, miód, uzyskiwane w dodatku w centrum dużego miasta, to najlepiej zrobić to samemu.

dowiedzieć. Sami będziemy jedli to, co uda nam się wyhodować, żeby móc wyciągać wnioski. Wiemy na pewno, że nie będziemy potrafili zjeść żadnego ze zwierzątek, którymi chcemy się opiekować. Opracujemy doświadczalny system, który pozwoli nam znaleźć odpowiedzi na wiele trudnych pytań. Powstanie program edukacyjny dla dzieci i młodzieży, w którym wezmą udział przedszkola i szkoły. Będzie można u nas prowadzić ciekawe lekcje biologii i etyki. Pracownicy, przyjaciele firmy i sąsiedzi będą mogli adoptować kury, owce i inne zwierzątka, mieć własne jajka, miód i marchewki.

Jakie będą efekty? Zapewniam już dzisiaj – wspaniale. Wiele się dowiemy, nieraz zmienimy zdanie, na pewno dużo się nauczymy i wiedzę tę prześlemy dalej.

Jaki jest cel takiego działania? Chcemy wyciągać właściwe wnioski i pomagać sieciom handlowym w tym, jak i od kogo kupować, konsumentom – jak lepiej realizować trend „wielki, co jem”, ludziom w ogóle – jak przywrócić naturalne relacje między człowiekiem a zwierzętami i roślinami, urzędom i instytucjom – jak przygotowywać przepisy i przestrzeń publiczną, uczelniom – jak badać i uczyć. Chcemy, by dzieci znów zaczęły czerpać radość z obcowania z naturą i rolnictwem. Samym sobie natomiast chcemy przywrócić godność zatraconą gdzieś w bezmyślnej konsumpcji.

Mateusz Zmysłony, miejski gospodarz rolny

O swoim rozumieniu trendu „wielki, co jem” mówi Dobrosława Gogłóża:

„Wielki, co jem” jest hasłem bardzo ważnym w kontekście ochrony zwierząt przed cierpieniem, ponieważ większość z nich jest zabijana właśnie dla celów konsumpcyjnych. Zła wiadomość jest taka, że to są naprawdę olbrzymie liczby – w Polsce co roku zabijamy na mięso więcej kurczaków, niż wynosi cała populacja mieszkańców Europy. Dobra wiadomość za to jest taka, że każdy z nas może się przyczynić do zmiany losu tych zwierząt. Można ograniczyć spożycie mięsa albo całkowicie z niego zrezygnować. Można włączać się w kampanie, które mają na celu poprawę dobrostanu zwierząt w hodowli. Można zacząć działać w organizacjach pracujących na rzecz zwierząt albo – jeśli nie mamy na to czasu – zostać ich darczyńcą. Jesteśmy odpowiedzialni za to, co oswoiliśmy, i najwyższy czas stawić tej odpowiedzialności czoła. ☺

**Dobrosława Gogłóża,
prezeska Stowarzyszenia Otwarte Kłatki**



fot. Kzysztof Trela

Kawa w Rwandzie jak skarb narodowy

Rwandyjczycy piją stosunkowo mało kawy. Robotnicy, którzy ją zbierają, często nawet nie wiedzą, jak smakuje jej ziarna. Mimo to kawa staje się jednym z symboli rozwoju kraju podnoszącego się po katastrofie sprzed 25 lat.

– Rozmawialiśmy z ludźmi pracującymi na każdym etapie produkcji kawy w Rwandzie – od robotników, przez właścicieli małych plantacji, pracowników *washing stations* (punkty skupu ziarna), po reprezentantów National Agricultural Export Development Board odpowiedzialnych za jej promocję – mówi Karol Kowalski, reżyser filmu dokumentującego sytuację producentów kawy w środkowoafrykańskim kraju. Ideą było pokazanie, skąd pochodzą i w jakich okolicznościach zbierane są ziarna, z których Europejczycy parzą kawę.

Rwanda jest górzystym krajem – jej część leży powyżej 1000 m n.p.m. Uczestnicy wyjazdu dokumentalnego odwiedzili w trakcie wyprawy wiele miejsc związanych z kawą, a wśród nich Muhondo Center w górach i Kopakamę nad jeziorem Kiwu. Gospodarstwa zwykle tworzą członkowie rodziny wraz z kilkoma robotnikami najemnymi. W Rwandzie wciąż panuje bieda. Ludzie zarabiają tam średnio 2 dol. dziennie.

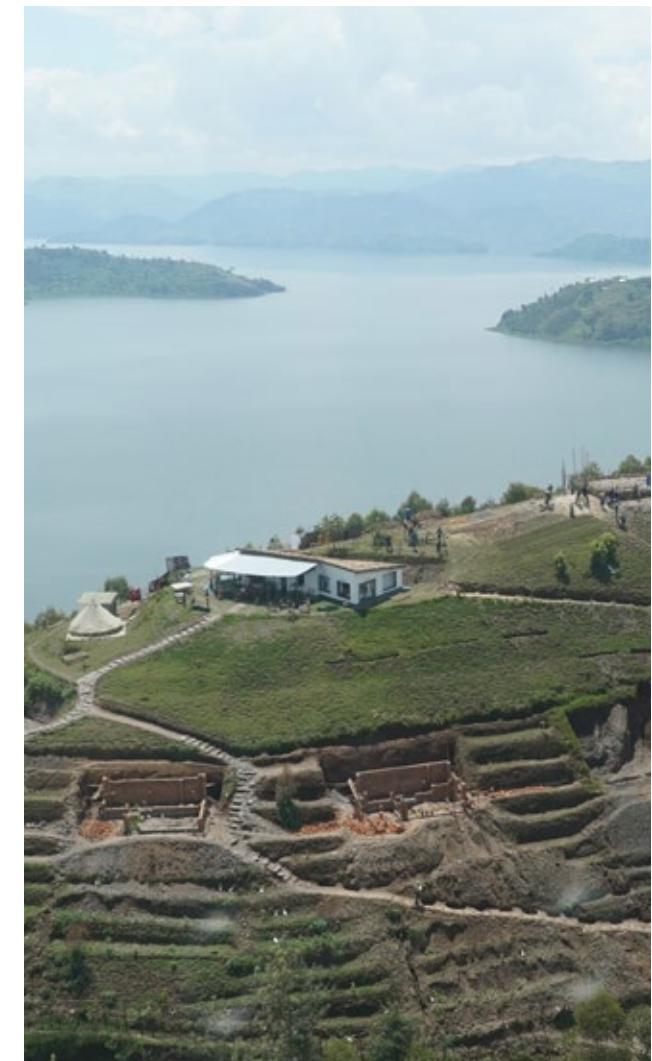
fot. Kzysztof Trela



Oprócz plantacji indywidualnych na terenie kraju działają też spółdzielnie rolnicze. Jedną z nich jest Better Tomorrow, założona przez wdowy po zabitych w masakrze w 1994 r. oraz skazanych na więzienie za udział w ludobójstwie. Aby wrócić do normalnego życia, kobiety musiały znaleźć źródło utrzymania. Spółdzielnia kawiarska, licząca dziś ponad 3 tys. drzewek, okazała się dla nich rozwiązaniem.

Jedną z osób, która wprowadziła polską ekipę filmową w zakamarki rwandyjskiego przemysłu kawowego, był Ivan Shema, współzałożyciel 1000 Hills Products. Od trzech lat on i jego partnerzy zajmują się promocją i importem kawy do Polski. Kończyli tu studia, znają Polskę, a przede wszystkim – znają się na kawie. Firma dba o uczciwe ceny dla producentów ziaren, więc oprócz sprzedaży zajmuje się również edukacją klientów. To właśnie Shema pomógł dokumentalistom lepiej zrozumieć Rwandę. – Przed wyjazdem lubiłem kawę. Po powrocie nie wypiję już chyba innej niż taka, co do której pochodzenia mam pewność. Tylko to daje szansę, że rolnicy dostali godną zapłatę – zapewnia reżyser.

Rwandyjczycy zajmujący się eksportem kawy dbają o jej najwyższą jakość. Zebrane ziarna przechodzą aż 7 etapów selekcji. Najgorsze odrzuca się podczas przygotowań do sprzedaży w punktach skupu, gdzie wielokrotnie się je płucze. Eliminowane są ziarna niedojrzałe lub zainfekowane. W National Agricultural Export Development Board testuje się ziarna z niemal każdego skupu i starannie je certyfikuje. Mają być dumą narodu i towarem kupowanym ze względu na swoją renomę, a nie jako wyraz wsparcia dla rozwijającego się biednego kraju. – Podobnie myśli wielu producentów



fot. Karol Kowalski

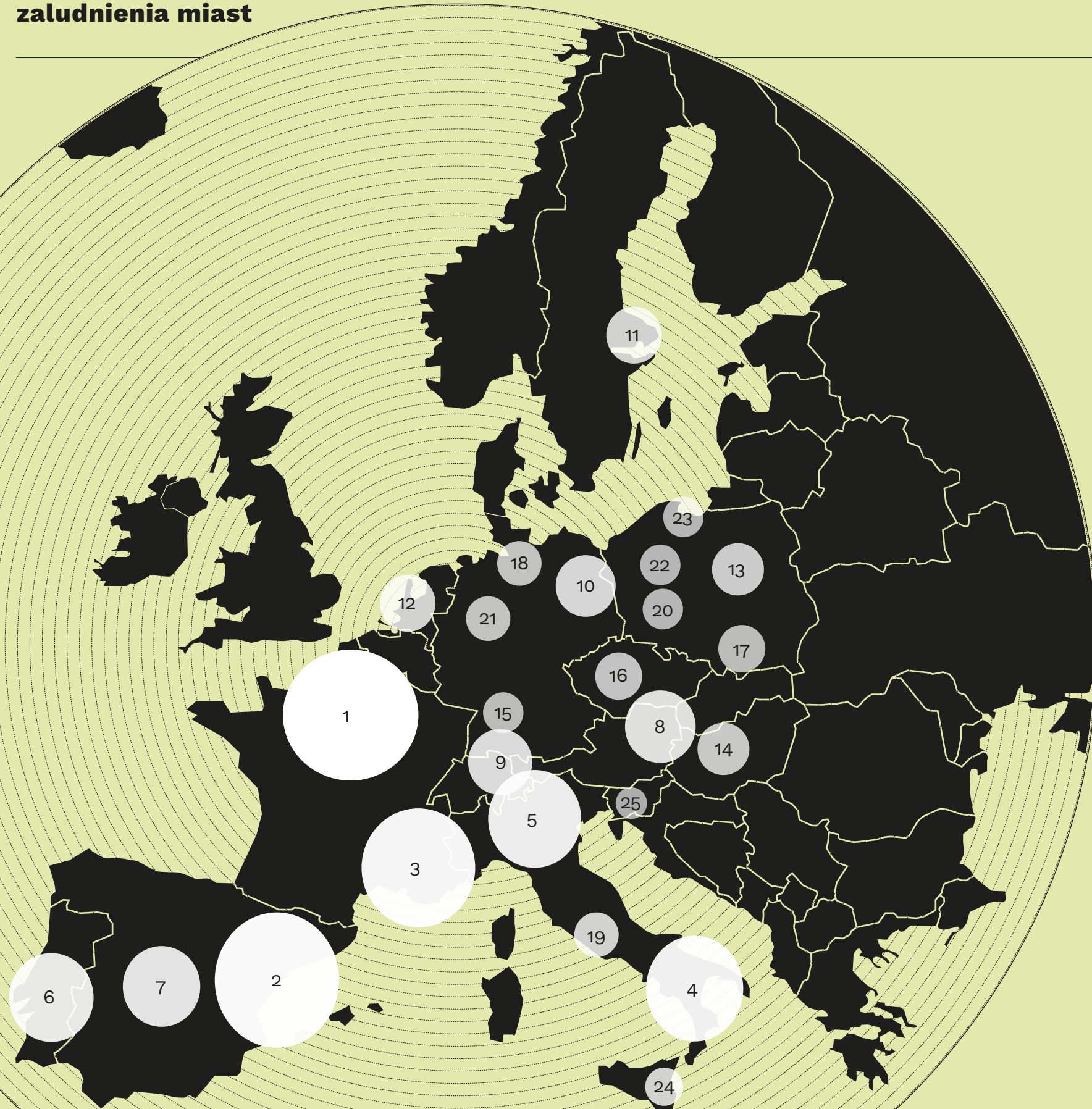
kawy, którzy marzą, aby ich wyroby zyskały popularność dzięki temu, że są najlepsze na świecie. Dlatego też startują w konkursach degustatorskich, w których oceniana jest jakość – dodaje reżyser.

Mimo jej ogromnego znaczenia dla kraju, kawy w Rwandzie na co dzień się nie pija. Robotnicy z odwiedzanych plantacji często po raz pierwszy spróbowali napoju z zebranych ziaren, gdy wypalił je przy nich Bartek Kozina, któremu ekipa filmowa towarzyszyła w wyprawie do miejsc, gdzie kupuje kawę do swojej krakowskiej palarni. Rwandyjczycy piją mało kawy, a czas wolny spędzają raczej w domu. Nawet wyjście do najtańszego lokalu to spory wydatek dla ludzi zarabiających 2 dol. dziennie. ☺

Bartosz Piłat

Gęstość zaludnienia miast

MIASTO-IDEA



MAX

1		PARYŻ	21 288 os./km ² 2,243 mln / 105 km ²	14		BUDAPESZT	3348 os./km ² 1,752 mln / 525 km ²
2		BARCELONA	15 992 os./km ² 1,620 mln / 101 km ²	15		STUTTGART	2914 os./km ² 604 tys. / 207 km ²
3		LYON	10 100 os./km ² 484 tys. / 48 km ²	16		PRAGA	2408 os./km ² 1,280 mln / 496 km ²
4		NEAPOL	8 236 os./km ² 964 tys. / 117 km ²	17		KRAKÓW	2347 os./km ² 767 tys. / 327 km ²
5		MEDIOLAN	7 311 os./km ² 1,359 tys. / 182 km ²	18		HAMBURG	2307 os./km ² 1,746 mln / 755 km ²
6		LIZBONA	6 473 os./km ² 548 tys. / 85 km ²	19		RZYM	2230 os./km ² 2,869 mln / 1287 km ²
7		MADRYT	5 297 os./km ² 3,215 tys. / 607 km ²	20		WROCŁAW	2182 os./km ² 638 tys. / 293 km ²
8		WIEDEŃ	4 326 os./km ² 1,840 tys. / 414 km ²	21		DORTMUND	2090 os./km ² 586 tys. / 280 km ²
9		ZURYCH	4 167 os./km ² 388 tys. / 92 km ²	22		POZNAŃ	2056 os./km ² 538 tys. / 262 km ²
10		BERLIN	4 039 os./km ² 3,601 mln / 892 km ²	23		GDAŃSK	1772 os./km ² 464 tys. / 261 km ²
11		SZTOKHOLM	3 659 os./km ² 1,515 mln / 414 km ²	24		KATANIA	1 702 os./km ² 306 tys. / 180 km ²
12		AMSTERDAM	3 653 os./km ² 801 tys. / 219 km ²	25		LUBLANA	908 os./km ² 249 tys. / 275 km ²
13		WARSZAWA	3 412 os./km ² 1,764 mln / 517 km ²				

Zbudować nowe miasta bez burzenia

Od przełomu roku 1989 w Polsce powstało ok. 4 mln mieszkań i domów. Mniej więcej połowa z tego na obszarach miejsko-wiejskich, reszta w miastach. Największe piętno na tym, co widzimy za oknami i jak nam się żyje, odcisnęła pierwsza dekada XXI w. – to wtedy za sprawą przyśpieszenia gospodarczego, wzrostu zamożności Polaków i dzięki ogromnym ułatwieniom prawnym doszło do gwałtownego zwiększenia tempa zabudowy.

Dziś, po dekadach rozwoju i dotrzymywania kroku – pod wieloma względami – zachodniej części Europy, widzimy wyraźnie, że owszem, dogoniliśmy ją, ale tylko w niektórych dziedzinach. Inne kwestie, jak na przykład ład przestrzenny, zostały pozostawione ślepemu losowi i wolnemu rynkowi. Efekt? Zatomizowane społeczeństwo, zatomizowane miasta, zatomizowana przestrzeń publiczna, coraz kosztowniejsza w utrzymaniu, coraz mniej przyjazna dla swoich mieszkańców.

Czy coś da się z tym zrobić? Bo o burzeniu i budowaniu na nowo nie ma mowy. Nie stać na to nikogo, a co dopiero Polski.

– Niedawno zacząłem się zastanawiać, co się takiego stało w Krakowie w tych ostatnich kilkunastu latach, dwu dekadach. Zrobiłem sobie coś w rodzaju podsumowania wszystkich grzechów krakowskiej urbanistyki. Zorientowałem się, że nie zbudowaliśmy przez ten czas ani jednej nowej prawdziwej miejskiej ulicy – mówi Piotr Lewicki, jeden z najbardziej znanych krakowskich architektów, który swoją karierę zaczynał w momencie przełomu politycznego w Polsce. – Miejskiej, czyli takiej, która nie jest trasą tranzytową, bo takie powstały. Nowej, czyli niebędącej przedłużeniem istniejącej. Okazuje się, że nie zbudowaliśmy takich ulic, które spełniałyby wszystkie miejskie funkcje: mieszkalne, usługowe, przestrzeni publicznej.

Źle pomyślane osiedla, chaotyczna zabudowa pozbawiona jakichkolwiek funkcji społecznych to zjawisko charakterystyczne nie tylko dla Krakowa. Przyczyny takiego stanu rzeczy łatwo wskazać, choć są one złożone. Być może, w innych miastach takie nowe ulice powstały, ale ogólna diagnoza jest taka sama.

Brak planów przestrzennych, decyzja samorządu o wycofaniu się z obszaru kształtowania przestrzeni, dyktat rachunku ekonomicznego nad pozostałymi elementami urbanistyki i architektury – mieszanka tych trzech czynników to najważniejsze przyczyny chaosu panującego w polskich miastach i wypaczenia funkcji nowych osiedli, często sprowadzonych do roli sypialni. Brak planów to efekt decyzji politycznych podjętych w pierwszych latach XXI w. przez rząd Leszka Millera. By ułatwić deweloperom budowę nowych osiedli, zdecydowano – upraszczając – o odrzuceniu istniejących w Polsce planów przestrzennych jako nienadających się za potrzebami i o zastąpieniu ich decyzjami dotyczącymi „warunków zabudowy i zagospodarowania terenu”, czyli tzw. wuzetkami. O tym, co i gdzie może powstać, decydowali urzędnicy na podstawie ogólnikowych dokumentów przestrzennych lub tego, co znajdowało się w sąsiedztwie.

Miasta zabudowywały się więc działka po działce, bez uwzględniania dalekowzrocznych, obszernych planów – konsekwencje tego ponosimy dziś: osiedla ciągnące się kilometrami, a jednocześnie pozbawione sklepów, szkół, przedszkoli,

parków, często nawet dróg potrzebnych mieszkańcom, żeby mogli dotrzeć do pracy czy do szkoły, o transporcie publicznym nawet nie wspominając. Deweloperzy inwestowali, ograniczając jednocześnie swoje projekty do wykupionych przestrzeni, zaś samorządom wiele lat zajęło odnalezienie się w nowej rzeczywistości prawnej (np. musieli znaleźć sposób, jak zmusić inwestora do pokrycia kosztów budowy drogi dojazdowej do osiedla – wcześniej koszt ten spadał na gminę, która m.in. w ten sposób dotowała inwestycję).

Dwie dekady minęły, zanim samorządy w jakikolwiek sposób znów zaczęły panować nad przestrzenią. – Dziś można śmiało powiedzieć, że jest źle. A najgorsze, że sami przyłożyliśmy do tego rękę, jako branża – komentuje Lewicki. – Mimo okresu rozliczeń z błędami nie widzę, by dochodziło do jakiejś dynamicznej zmiany na lepsze. Nadal architekci są gotowi zaprojektować wszystko, czego życzy sobie inwestor.

Gęsto zabudowane nowe osiedla nie są problemem samym w sobie. Bliskość bloków i kamienic oraz duże zaludnienie na niewielkiej powierzchni to rzecz normalna i bardzo korzystna w dużych miastach. Polskie miasta w większości są zresztą dużo słabiej zaludnione niż porównywalne miasta zachodniej Europy. Niska gęstość zaludnienia to tak naprawdę konsekwencja złego planowania. Inwestorzy budowali nie tam, gdzie przewidziano i zaplanowano, ale tam, gdzie było tańiej – zwykle na terenach bardziej oddalonych od centrum. – Rzecz w tym, że za zabudową mieszkaniową nie idą inwestycje w przestrzeń publiczną. Przez lata za przykład katastrofy urbanistycznej w Krakowie uchodziła południowo-zachodnia część miasta, osiedle Ruczaj. Ten problem był utożsamiany z gęstością zabudowy – mówi Paweł Wieczorek, wiceprezes krakowskiego SARP. – Tymczasem największym problemem tam nie jest bliskość budynków. Kiedy udało się wreszcie na tych osiedlach umieścić kilka restauracji, sklepów i punktów usługowych, przestrzeń ta od razu zyskała. Wyzwaniem jest teraz wprowadzenie tam pozostałych ważniejszych elementów miasta – ocenia.

Sztuką będzie więc dzisiaj „naprawienie” miast przez jeszcze większe ich dogęszczenie – nie tylko większą liczbą mieszkańców, ale także użytkowników, czyli ludzi, którzy odwiedzają wybrane części miasta. Muszą mieć jednak powód do odwiedzin.

Wprowadzenie potrzebnych elementów miasta, o jakich wspominał Wieczorek, jest jedną z recept na poprawę

sytuacji polskich miast. Są takie osiedla, które będą wymagały inwestycji również w infrastrukturę, ale w większości przypadków chodzi o stworzenie przestrzeni, którą można by przeznaczyć na szkoły i przedszkola, przychodnię, a nawet na sklepy i działalność usługową. Prawie żadne nowe osiedle nie dysponuje budynkami, w których te elementy miejskości mogłyby funkcjonować. Część z nich pozbawiona jest nawet chodników. – Kilkukrotnie docierały do nas listy od mieszkańców ze skargami lub z żądaniem likwidacji chodników, lub zmniejszenia ograniczeń w parkowaniu samochodów. Jechaliśmy na miejsce i okazywało się, że chodniki już teraz nie spełniają podstawowych wymogów prawa, nie wspominając o wygodzie pieszych – komentuje Jan Jakiel z warszawskiego Zarządu Dróg Miejskich.

Jak na takich osiedlach myśleć o dogęszczaniu? W Krakowie jego próbę w dość spektakularny sposób podjął Zarząd Zieleni Miejskiej – eksperymentujący na zaniedbanej do niedawna działce. W przywoływanej już dzielnicy Ruczaj w sierpniu 2018 r. oddano do użytku mieszkańców nowy park. Nie było dla niego miejsca, bo cała dzielnica została szczerze zabudowana – jedynymi terenami zielonymi są małe skwerki wewnątrz kwartałów zabudowy. Zarząd Zieleni Miejskiej zdecydował więc, że zrealizuje lokalną wersję parku linearnego. Cała przestrzeń wzdłuż dwupasmowej szosy biegnącej równoległe do osiedla i oddzielonej od niego ekranami dźwiękochłonnymi została zamieniona w wąską i długi park. Czasem ma on szerokość paru metrów, czasem jest to nieco ponad 20 m. Tylko w taki sposób można było stworzyć przestrzeń publiczną pełniącą funkcję parku.

Gdzie tu mowa o dogęszczaniu? Podniesienie atrakcyjności dzielnicy będzie sprzyjało utrzymaniu, jeśli nie zwiększeniu liczby jej mieszkańców. Oczywiście jeden nietypowy park to o wiele za mało. Nie bez powodu jednak obecność zieleni w polskich miastach jest jednym z najważniejszych postulatów ruchów miejskich i aktywistów wywierających presję na samorządy. Brakuje jej niemal na każdym nowym osiedlu, a ludzie, którzy kilka lub kilkanaście lat temu zdecydowali się zaciągnąć kredyt, by w tych miejscach zamieszkać, dziś próbują skłonić władze swych miast, by zadbały wreszcie o to, o czym zapomniały, gdy osiedla powstawały. Te starania to nic innego niż walka o utrzymanie gęstości zaludnienia.

– Zieleni jest dziś drugim po cenie czynnikiem, który wpływa na decyzję o zakupie mieszkania – mówi Marek Bolek, prezes Stowarzyszenia Budowniczych Domów i Mieszkań z Krakowa, zrzeszającego drobnych deweloperów. – Rzecz

w tym, że ta cena ma kluczowe znaczenie, bo większość ludzi zaciąga dziś kredyty na granicy swoich możliwości finansowych. Kiedy więc mają do wyboru dodatkowy pokój dla dziecka albo zieleń, wybierają to pierwsze.

* * *

Głód mieszkań, własnego dachu nad głową jest dziś najpoważniejszym utrudnieniem w naprawianiu polskich miast. – Nie wprowadzenie odpowiednich przepisów, ale nakłonienie ludzi do udziału w przestrzeni wspólnej jest obecnie wyzwaniem, jeśli chcemy naprawiać miasta – ocenia Paweł Wieczorek. – Kłopotem jest samo zainteresowanie ludzi tym, co dzieje się w przestrzeni wspólnej. Ostatnie biennale architektury poświęciliśmy podwórku, czyli przestrzeni wspólnej najbliższej każdemu. Zainteresowanie wystawą prezentującą rozwiązania dla trzech wybranych przez nas podwórek było nikłe. Ograniczyło się do grupki ekspertów i mieszkańców miasta, których, być może, udałoby się policzyć na palcach dwóch dłoni.

Zabudowywanie pojedynczych działek sprzyjało utrzymywaniu podziałów w polskim społeczeństwie. Przestrzeń wspólna, postrzegana jako taka jak na osiedlach powstających w czasach PRL, utożsamiana jest często z bylejąkością i przeciwstawiana paradygmatowi rozwoju i kariery, który usankcjonował się w Polsce w latach 90. Człowiek sukcesu – zgodnie z tym paradygmatem – nie zamieszkuje przestrzeni wspólnej. Ma dom lub mieszkanie za płotem, jest wyraźnie odgradzony od „niebezpiecznej” przestrzeni wspólnej – od ulicy.

Połączenie skromnych oczekiwań wobec jakości przestrzeni wspólnej, związanych z możliwościami finansowymi, z dość wysokim poziomem indywidualizmu czy wręcz egoizmu społecznego sprzyjało rozbiciu nowych dzielnic na małe, nie w pełni funkcjonalne kwartały odseparowane od reszty miasta. Mieszkańcy tych kwartałów jednocześnie wysuwają żądania wobec władz miasta, nie czując się zarazem w obowiązku uczestniczyć we wspólnej przestrzeni. Kiedy w ich rejonie powstaje plac zabaw, dzieci z sąsiednich osiedli nie mogą się na nim bawić. I odwrotnie: kiedy drzewo przeszkadza im w stworzeniu dodatkowego miejsca postojowego na osiedlu, wycinają je, ale jednocześnie domagają się, by władze miasta zadbały o stworzenie przestrzeni zielonej. Urzędowa likwidacja płotów – władze wielu miast od dłuższego czasu przysięgają się do stosowania takich rozwiązań – nie przyczyni się więc do naprawy

polskich miast, jeśli razem z płotami nie znikną bariery między ludźmi. A tych jest wiele. Nawet prosty praktyczny cel, jakim jest ograniczenie hałasu wywołanego przez śmieciarzy, nie jest w stanie przekonać mieszkańców do współpracy. To problem obecny głównie na obszarach starej zabudowy. Podwórka zamknięte w kwadracie kamienic bardzo często podzielone są płotami – każda kamienica ma swoje, osobne, podwórko. Śmieciarze właściwie codziennie stukają więc kubłami na odpady o schodki podwórek i klatek schodowych każdej z kamienic, każda ma bowiem osobny śmietnik. Tymczasem jeden wspólny, umieszczony przy bramie którejs z kamienic pozwoliłby wyeliminować hałasy. Żeby miało to sens, konieczna jest jednak likwidacja płotów, a na to zgody nie ma.

* * *

Na końcu może się okazać, że ostatecznym argumentem, który trafi do Polaków, będzie ten finansowy; koszty utrzymania miast przekładają się na ich atrakcyjność i tempo rozwoju. Im droższe w utrzymaniu miasto, tym mniej środków na inwestycje w szkoły na nowych osiedlach, drogi, obiekty użytkowe. Nie powinno zaskakiwać to, że gęściej zabudowane miasta są tańsze w utrzymaniu. Mniej kosztują rurociągi na wodę, mniej kilometrów asfaltu trzeba łątać, mniej płacić za kilometry użytkowane przez środki komunikacji zbiorowej. Skoro mniej wydamy na infrastrukturę, to w budżecie miasta więcej zostanie na wydatki na to, co podnosi komfort życia: dodatkowe zajęcia dla dzieci w szkołach, wykupy tak pożądaných terenów, które można przeznaczyć na parki czy na organizowanie imprez kulturalnych.

Rozwiązaniem dla polskich miast, rozwleczonych po rogatkach osiedli, metropolii o niekończących się przedmieściach, jest więc dogęszczanie. Jednak nie to polegające na prostym zwiększeniu liczby mieszkańców, ale na równoczesnym uzupełnianiu elementów miejskich. Idealne osiedle to takie, z którego w ogóle nie trzeba wychodzić (pieszo), aby zrealizować większość potrzeb. Im szerszy wachlarz tych potrzeb, tym lepiej. Jeśli idzie się po zakupy, do szkoły czy do lekarza i wystarczą do tego własne nogi, to jest dobrze. Jeśli w dodatku pieszo można dotrzeć do kina, teatru albo biblioteki, jest świetnie. Gdyby jakimś cudem pieszo dało się chodzić do pracy, to o tak dogęszczonej dzielnicy nikt nie powie złego słowa. ☺

Bartosz Piłat

Miasto wszystkim i dla wszystkich



ROBERT BIEDROŃ
W ROZMOWIE Z JOANNĄ KOWIESKĄ



Robert Biedroń – absolwent politologii i nauk społecznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Ukończył również Szkołę Liderów Politycznych i Społecznych oraz Szkołę Praw Człowieka przy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Przez wiele lat współpracował jako konsultant kilkunastu organizacji praw człowieka w Polsce i za granicą. Był członkiem Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. W latach 2008–2016 był członkiem Rady Doradczej Praw Człowieka przy Open Society Foundation. W trakcie kadencji był wiceprzewodniczącym Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka oraz członkiem Komisji Spraw Zagranicznych. Od 2015 r. jest członkiem Kongresu Władz Lokalnych i Regionalnych Rady Europy. Od 2016 r. uczestniczy w pracach grupy doradczej ds. równouprawnienia płci, przymusowych wysiedleń i ochrony powołanej przez Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców. Od 2014 r. był prezydentem Słupska, który przejmował jako jedno z najbardziej zadłużonych miast w Polsce. Po 4 latach kadencji miasto ma rekordowy budżet i poziom inwestycji unijnych.

Joanna Kowieska: Jak stworzyć miasto szczęśliwe?

Robert Biedroń: Najpierw trzeba wiedzieć, co to znaczy szczęśliwe miasto. A nikt nie wie tego lepiej od mieszkanki i mieszkańców. Żeby się tego dowiedzieć, wyszedłem ze swojego gabinetu, wystawiłem na ulice Słupska czerwoną kanapę, na której każdy mógł usiąść i ze mną porozmawiać. Odbylem godziny inspirujących rozmów o mieście. Poznałem problemy i oczekiwania ludzi, których nigdy nie dostrzegłbym zza biurka w ratuszu. Pomogło mi to dopasować naszą strategię do stojących przed nami potrzeb i wyzwań.

By stworzyć miasto szczęśliwe, trzeba pamiętać, że szczęście to nie tylko kwestia pieniędzy, choć to istotny składnik. To też szereg innych rzeczy – poczucie wpływu na otoczenie i sprawy publiczne, zaufanie, jakim darzymy naszą społeczność, środowisko, które nas otacza, powietrze, którym oddychamy, wygoda i zadowolenie ludzi wokół nas. O to wszystko staram się dbać w Słupsku i chyba mi się udaje, bo zdecydowana większość mieszkanki i mieszkańców deklaruje zadowolenie z tego, gdzie mieszkają.

JK: Jako prezydent wniosłeś do Słupska nową jakość, świeżość, energię i otwartość względem mieszkańców.

Pokazuje to, że rozbicie skostniałych struktur jest możliwe. Jak to się robi?

RB: Polki i Polacy są już naprawdę zmęczeni duopolem, który rządzi Polską od prawie 13 lat. Chcą zagłosować na kogoś innego, ale trzeba dać im tę szansę. W Słupsku głosowało na mnie przecież ponad 30 proc. wyborców PiS, mimo że na pierwszy rzut oka zupełnie nie jestem kandydatem, jakiego by chcieli. Wierzę, że to, co dajesz otoczeniu, jakoś do ciebie wraca. Jeśli zaoferujesz uczciwość i troskę o dobro wspólne, to ludzie na ciebie zagłosują. Obecnie 63 proc. osób w Polsce nie wierzy, że ich zdanie jest istotne dla polityków. Jeśli chcemy naprawić polską sferę publiczną, to musimy im udowodnić, że dla nas jest istotne. Oczywiście nie będzie łatwo. PO i PiS często ręka w rękę zwalczają każdą alternatywę dla ich dwuwładzy. Ostatnio tak było w Słupsku, gdy wspólnie nie udzielili mi absolutorium.

JK: Czy każde miasto może być fajne?

RB: Tak, choć to, jak bardzo może być fajne i ile zajmie osiągnięcie tego, zależy od punktu, z którego startuje. Słupskowi było trudno. Gdy rozpoczynałem kadencję, zastałem olbrzymi dług zostawiony przez poprzedników. Słupsk był jednym z najbardziej zadłużonych miast w Polsce. Teraz wychodzimy na prostą – spłaciliśmy blisko 50 mln zł,

jednocześnie zwiększając inwestycje. Gdyby nie te trudne początki, to warunki życia w naszym mieście poprawiałyby się jeszcze szybciej.

JK: Zapewniasz w Słupsku transparentność swoich działań, spotkań, finansów miasta. Nie jest to zbyt popularna forma rządzenia. Co to zmienia dla obywateli?

RB: To zasady, które wprowadzałem jako jeden z pierwszych w Polsce, a które od dawna powinny być normą. Jawność i transparentność są przecież nieodłącznym elementem demokracji i standardem w wielu zachodnich państwach. W Polsce ludzie są do tego tak nieprzyzwyczajeni, że gdy zacząłem umieszczać w Biuletynie Informacji Publicznej rejestr wszystkich umów i wydatków miasta, słyszałem, że to zbędny bajer. Kiedy zobowiązałem do tego wszystkie jednostki i spółki miejskie, okazało się, że mieszkańcy mają skuteczną możliwość kontrolowania i rozliczania rządzących. Podobnie było z moim kalendarzem spotkań, dostępnym w internecie, lub cotygodniowymi konferencjami prasowymi. Jeżeli chcemy zyskać zaufanie społeczeństwa, musimy sobie na nie zasłużyć. To my, samorządowcy, jesteśmy dla mieszkańców, a nie mieszkańcy dla nas – mają prawo wiedzieć, co robimy i jak wydajemy wspólne pieniądze. Mieszkańcy, którzy czują, że są traktowani uczciwie, są bardziej skłonni zaangażować się społecznie, brać odpowiedzialność za miasto.

JK: Zadawoleni obywatele to znaczy jacy?

RB: To tacy, którzy czują się słuchani, sprawiedliwie traktowani i ważni. Te elementy są dla mnie podstawą



Mieszkańcy, którzy czują, że są traktowani uczciwie, są bardziej skłonni zaangażować się społecznie, brać odpowiedzialność za miasto.

w codziennym działaniu, dlatego wszystkie ważne decyzje konsultujemy z mieszkańcami, powołaliśmy różnorodne rady konsultacyjne, które zabierają głos w sprawach najistotniejszych dla danej grupy, m.in. w kwestii seniorów czy równouprawnienia kobiet i mężczyzn.

JK: Jakie są dziś polskie miasta? Czym się różnią wojewódzkie od tych „podwojewódzkich”?

RB: Bardzo różne, czasem wręcz nieporównywalne. Bezrobocie może wahać się od niecałych 4 proc., tak jak w Słupsku, do nawet 14 proc. w innych częściach Polski. Poziom życia jest gdzieś indziej porównywalny do średniej UE, ale gdzie indziej jest prawie dwukrotnie gorszy. To był jeden z największych politycznych błędów ostatnich 30 lat w Polsce – nie dbano o to, by wszystkie regiony Polski rozwijały się równomiernie. Koncentrowano się na rozwoju dużych ośrodków, żywiąc niczym nieopartą nadzieję, że te pociągną za sobą resztę. Była to specjalność Platformy Obywatelskiej. Miała nawet swoją nazwę – model polaryzacyjno-dyfuzyjny. Za rządów PiS właściwie nic się nie zmienia. Środki unijne, choć pomogły wielu regionom,

również nie zmieniły wiele w kwestii tych dysproporcji. Niestety, system ich rozdziału jest zbyt konkurencyjny – zgarniają je te miasta, które mają sprawniejszych, lepiej wykształconych ekspertów i ekspertki od ich pozyskiwania. A ci, naturalnie, są raczej w większych miastach. W Słupsku na szczęście udało nam się odwrócić ten trend. Ściągnęliśmy specjalistów i pozyskaliśmy aż 170 mln zł na inwestycje z pieniędzy UE. Jesteśmy liderem regionu. Ale nie wszystkim miastom to się udaje.

JK: Czym Słupsk wyróżnia się spośród innych polskich miast?

RB: Tu można wymieniać bez końca! Jest jedynym miastem w Polsce, które spełnia unijne normy powietrza! Nigdzie indziej nie oddycha się tak jak u nas, wszędzie indziej w powietrzu wisi smog, który co roku kosztuje życie i zdrowie dziesiątki tysięcy ludzi w całej Polsce. To zasługa m.in. jednej z najbardziej zielonych polityk w Polsce. Poza tym jesteśmy liderem transparentności – każda mieszkanka i każdy mieszkaniec zawsze bez problemu dowiedzą się, co, jak i za ile robimy w mieście. Słupsk to miasto, które wyciąga rękę – kazałem

np. zlikwidować w urzędach szyby oddzielające urzędników od ludzi, którzy przyszli coś załatwić. Chcę, żeby traktowano ich jak obywatelki i obywateli, nie petentki i petentów. Poza tym mamy dobrą kulturę, szpitale i szkolnictwo wyższe. Trochę tego jest.

JK: Jak ważna jest świadomość swojego miasta, miłość do niego? Czy można się tego nauczyć?

RB: Oczywiście! Sam nie jestem przecież rodowitym słupszczaninem. Urodziłem się i dorastałem w Krośnie, małym miasteczku na Podkarpaciu. A mimo to gdy przyjechałem do Słupska, zakochałem się w nim do szaleństwa! To kluczowa sprawa. Bez tego uczucia nie byłbym w stanie tak dobrze wykonywać swojej pracy, odnosić tylu sukcesów. To ono mnie napędza, sprawia, że zrobię niemal wszystko, by w mieście działało się jak najlepiej. Podobnie jest z mieszkańcami – w mieście jest lepiej zawsze, gdy w jego życie bardziej angażują się mieszkańcy. Ale to działa w dwie strony. Jeśli mieszkanki i mieszkańcy mają swoje miasto kochać, to miasto powinno ich do tego zachęcać, a nie zniechęcać. Na przykład prospołeczną, inkluzywną polityką.

JK: Czy kultura to dla miasta potrzeba wyższa, o której można mówić dopiero wtedy, gdy te podstawowe zostaną zaspokojone, czy może wręcz przeciwnie, jest człowiekowi potrzebna bez względu na wszystko?

RB: Bez kultury ani rusz. Zadaniem każdego samorządowca jest zapewnić łatwy dostęp do kultury wszystkim mieszkankom i mieszkańcom, niezależnie od wieku i zasobności portfela. Dlatego w Słupsku w nią inwestujemy – wspieramy finansowo festiwale i budujemy nową siedzibę teatru. To nie powinien być towar luksusowy. Z badań jednoznacznie wynika, że dzieci i młodzież mające większy dostęp do kultury osiągają w przyszłości lepsze rezultaty w szkole i na rynku pracy. Ograniczać niektórym dostęp do kultury to tworzyć społeczeństwo nierównych szans.

JK: W Polsce coraz większą popularnością cieszy się swoista moda na lokalność. Z czego to wynika i do czego zmierza?

RB: Ludzie są zmęczeni rządami centralnymi. Polityka w Polsce od 13 lat sprowadza się do sporu dawnych kolegów. Ludzie czują, że nie mają żadnego wpływu na to, co dzieje się na Wiojskiej. Czują za to, że mogą wpływać na sprawy lokalne. To tu bowiem zapadają decyzje dotyczące ich najbliższego otoczenia. To tu realizowane są postulaty mieszkańców, których nikt nie chce słuchać w Warszawie.

JK: Czy miasto może być samowystarczalne?

RB: W sensie energetycznym tak. W Słupsku inwestujemy w energię odnawialną i dokładamy starań, żeby jak najwięcej energii pochodziło z lo-

kalnych źródeł. Promujemy prokonsumentność, czyli staramy się, by mieszkańcy nie byli tylko konsumentami w naszej lokalnej gospodarce, ale także jej wytwórcami, producentami. Wtedy czerpią z niej większe korzyści. Jeśli chodzi o samowystarczalność polityczną, to wręcz przeciwnie. Żadne miasto nie jest samotną wyspą, musimy ze sobą współpracować. Dlatego jestem zwolennikiem zintegrowania usług publicznych na jak największą skalę.

JK: Miasto jest też przestrzenią inicjatyw oddolnych, obywatelskich, jak zatem zachęcać mieszkańców do większego zaangażowania?

RB: O tym sporo już powiedziałem. Trzeba dać ludziom odczuć, że to ich miasto – wtedy sami chętnie się zaangażują. Wierzę, że ludzie mają naturalną potrzebę angażowania się. W Polsce są jednak do tego konsekwentnie zniechęceni przez polityków.

JK: Wymień swoje ulubione miasta, uzasadniając krótko, za co szczególnie je cenisz.

RB: Tu chyba decydują kwestie sentymentalne – to miasta, z którymi związane jest moje życie. Krosno, gdzie się urodziłem, Ustrzyki Dolne i Olsztyn, gdzie się uczyłem, Warszawa i Gdynia, gdzie mieszkałem i angażowałem się politycznie. No i oczywiście Słupsk, mój obecny dom. ☺

Strategie rozwoju miast

Miasto-idea, czyli którędy do nowego domu

Długookresowe planowanie i myślenie o tym, jak zarządzać rozwojem miast, to temat na całą serię książek. Celem tego artykułu jest próba stworzenia możliwie prostej syntezy, podsumowującej polskie doświadczenia w tej dziedzinie z ostatnich 20 lat.

Dlaczego „polskiej”? Nie chodzi tu tylko o naszą lokalną perspektywę. Obiektywnie patrząc na rozwój naszych miast w ciągu ostatnich ok. 25 lat, można śmiało stwierdzić, że tworzy on wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju historię. Arcy-ciekawe studium przypadku.

Dlaczego „miast”? Jesteśmy świadkami historycznej zmiany. Na naszych oczach ludzie przestają być mieszkańcami wsi. Ludzkość ostatecznie przeprowadziła się do miasta, a miasto stało się zupełnie innym organizmem, niż było dotąd. Istnieją takie hipotezy, w których następcą systemu państw narodowych będzie sieć współpracujących ze sobą supermiast. Mówił o tym w czasie Open Eyes Economy Summit 2017 Robert Biedroń.

Nie ma na świecie dwóch takich samych miast. Każde z nich jest złożonym organizmem o niepowtarzalnej historii i tożsamości, różnych zasobach i potencjałach. To sprawia, że nowa strategia rozwoju miasta jest zadaniem wyjątkowo skomplikowanym, multidyscyplinarnym, wymagającym zaawansowanych analiz i olbrzymiej odpowiedzialności.

Zła strategia lub po prostu jej brak powoduje, że miasto zmienia się chaotycznie. Rozwój wynika bardziej z bieżących spostrzeżeń, politycznych decyzji, kształtują go mniej lub bardziej spontaniczne reakcje opinii publicznej, naciski i potrzeby deweloperów czy inwestorów.

Brak strategii lub wadliwy dokument tego rodzaju oznacza rezygnację z większej spójności rozwoju miasta. Z kolei opracowany, profesjonalny plan rozwoju miasta bezpośred-

nio przyczynia się do znacznego zwiększenia tempa zmian, w dużym stopniu wpływa także na zwiększenie efektywności rozwoju, tworzy efekt synergii, spinając ze sobą różne inwestycje w sensowną całość. Dobra strategia = pomysł na miasto. Właściwa diagnoza = sukces demograficzny, kulturowy, inwestycyjny, turystyczny i marketingowy miasta.

Współczesne strategie opierają się na założeniu, jakim jest zasada zrównoważonego rozwoju – w XX w. wcale nie było to takie oczywiste. Dążenie do tworzenia obiegów zamkniętych, kładzenie nacisku na działania proekologiczne, walka o tereny zielone, przestrzenie wspólne i świadomie tworzone przestrzenie publiczne – to niektóre z wielu zjawisk kształtujących dziś strategiczne podejście do zarządzania miastami.

Spółeczności miejskie w Polsce stają się zupełnie nową generacją obywateli. Świadomość wartości wspólnych, przestrzeni publicznych, współwłasności miasta staje się powszechna. Coś, co do niedawna było „państwowe”, czyli „niczyje”, teraz staje się „nasze”, czyli „moje”. Nie wolno wyrzucić papierka na ulicę, trzeba posprzątać po swoim psie, należy dyskutować o estetyce placu i walczyć o miejską zieleni. Społeczeństwo obywatelskie aktywizuje się w obywatelskich budżetach partycypacyjnych, angażuje się w ochronę miejskiej przyrody i wchodzi w odważny dyskurs z władzą. Ma własne zdanie i potrafi walczyć o swoje priorytety. I dobrze.

Takie społeczności doceniają ideę zrównoważonego rozwoju. Po dwóch dekadach pisania strategii nastawionych na odniesienie sukcesu za wszelką cenę – bo tak samokrytycznie mógłbym to określić – nadszedł czas tworzenia dojrzalszych koncepcji. Czas na praktykę, więc zilustruję to teraz serią konkretnych przykładów.

fot. Mikołaj Gospodarek



Kołobrzeg. Ponad dekadę temu powstała tu strategia stawiająca na rozwój miasta skupiającego się na oferowaniu wysokiej jakości turystyki wellness & SPA. W tamtych czasach była to koncepcja rewolucyjna. Kołobrzeg był wtedy nieco podupadłym skupiskiem staromodnych ośrodków wczasowych i przykurzonym kurortem w stylu późnego PRL. Wskazanie wyraźnego priorytetu w połączeniu z przedsiębiorczością lokalnego biznesu okazało się strzałem w dziesiątkę: strategia zadziałała i Kołobrzeg w ciągu zaledwie kilkunastu lat całkowicie się zmienił. Dziś miasto, które liczy zaledwie 46 tys. mieszkańców, jest międzynarodową potęgą turystyczną o niewiarygodnym potencjale. Mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę z tego, że pod względem liczby wykupowanych noclegów Kołobrzeg jest **trzecim** największym graczem w Polsce, po Warszawie i Krakowie. Wyprzedza Gdańsk, Wrocław czy Poznań! Do Kołobrzegu przyjeżdża dziś klient zamożny, poszukujący wysokiej klasy oferty wypoczynkowej. Czeka na niego wiele pięcio- i czterogwiazdkowych hoteli, w których tak samo często jak język polski można usłyszeć niemiecki i szwedzki. Przekłada się to na brak deficytu w budżecie miasta, wysokie wpływy z podatków i związane z tym możliwości inwestycyjne. Strategia postawienia na konkretny i jasno określony cel sprawiła, że Kołobrzeg zyskał zupełnie nową dzielnicę hotelową, przez niektórych zwaną „Hurghadą”. Ten niewątpliwie sukces wygenerował jednak nie tylko zyski, ale i doprowadził do wniosków. W starej strategii zabrakło równowagi. Dlatego w 2017 r. powstała nowa. Jej celem jest przekucie sukcesu turystycznego w sukces społeczny i urbanistyczny oraz zapanowanie nad żywiołem, jakim okazały się (w sezonie) tłumy gości. Za kolejnych 10 lat Kołobrzeg powinien stać się miastem zadowolonych, zamożnych mieszkańców, zaludniających estetyczną przestrzeń

o wielu walorach rekreacyjnych. Kluczem do ich szczęścia ma stać się m.in. Karta Mieszkańca, zapewniająca bezpłatny dostęp do infrastruktury turystycznej i komunikacji miejskiej. Z kolei z myślą o turystach jest przygotowywana najlepsza nad Bałtykiem, całoroczna i pogodoodporna oferta czasu wolnego. Ambitny plan władz Kołobrzegu ma wielkie szanse na sukces – w końcu już raz się udało.



Kraków. Piętnaście lat temu miasto nie wiedziało, dokąd zmierza. Jak większość organizmów tego rodzaju rozwijało się na oślep. Czasy były trudne, kryzys gospodarczy dławił Europę. Do Krakowa przyjeżdżało nieco ponad 3 mln turystów rocznie, głównie wycieczki szkolne z Polski. Atrakcją turystyczną był pakiet Rynek plus Wawel oraz najlepsza w kraju oferta branży kawiarniano-restauracyjnej, czyli ponad 300 lokali skoncentrowanych w promieniu kilkuset metrów od Sukiennic. Trzy kolejne przemysłane strategie całkowicie zmieniły sytuację miasta. Odkrycie USP („The Best Walking Distance”) polegało na spostrzeżeniu, że nawet Paryż czy Londyn nie zapewniają turystom tylu atrakcji kulturalnych, historycznych i rozrywkowych podczas nieśpiesznego spaceru. Ta wskazówka, zręcznie podchwyczona przez branżę hotelarską, turystyczną, knajpianą i im pokrewne, wsparta serią kampanii reklamowych, całkowicie odmieniła



Dobra strategia zmienia wszystko. Kierunkuje, buduje tożsamość, kształtuje markę miejsca.

wizerunek Krakowa. Miasto – zgodnie z własnym planem – stało się hitem turystyki weekendowej najpierw dla Polaków, a następnie dla mieszkańców całej Europy. Każdego roku do Krakowa przyjeżdża 10 mln turystów więcej niż w 2000 r. Miasto błyskawicznie się rozwija i rośnie, i to właśnie tempo rozwoju i liczba turystów stały się, obok smogu, głównymi problemami, które dziś należy rozwiązać.

Jakie były główne składniki przepisu na sukces? Poza ideą *best walking distance*, która niezawodnie działa do dziś i oznacza ponad 1,5 tys. lokali i atrakcji turystycznych w promieniu 2 km od Rynku Głównego, największe znaczenie miało kilka strategicznych decyzji. Pierwsza – o dywersyfikacji. W jej ramach dokonana się rewitalizacja dzielnicy Kazimierz, która stała się alternatywą dla Starego Miasta i światowym hitem. Mało kto dziś pamięta Kazimierz sprzed 2003 r. – upadła wówczas dzielnica nędzy i brudu. Druga – o budowie kładki Ojca Bernatka, która połączyła ożywający Kazimierz z drugim brzegiem Wisły i „uruchomiła” całe znajdujące się tam Podgórze. Kładka stała się katalizatorem zmiany i spacer nią uzmysławia dziś, jak ważne są właśnie takie inwestycje. Trzecia – o podjęciu dwóch strategicznych inwestycji dotyczących oferty czasu wolnego. Były nimi koncepcja budowy w ścisłym centrum miasta dużego centrum kongresowego i – już poza centrum – wielkiej, całorocznej hali sportowo-rozrywkowej. Tak powstały ICE i Tauron Arena. Dzięki nim Kraków dołączył do światowej pierwszej ligi. Z jednej strony ożywiła się dochodowa turystyka kongresowa, z drugiej mieszkańcy regionu mogą uczestniczyć w prestiżowych koncertach i wydarzeniach kulturalnych i sportowych klasy premium. Dziś Kraków, w XX w. prowincjonalne, choć historyczne miasto

na uboczu głównego nurtu turystyki, stał się naprawdę europejską metropolią, zajmującą stałą, wysoką pozycję w pierwszej dziesiątce najatrakcyjniejszych turystycznie miast świata. Sukces ten miasto pracowicie wykorzystuje dziś na innych polach. Jest jednym wielkim placem budowy, pełnym inwestycji, biurowców, węzłów komunikacyjnych. Oczywiście ma swoje problemy – korki, smog i chaos urbanistyczny – ale jest tego świadome i szybko znajduje rozwiązania. Jakkolwiek krytycznie by nie podchodzić do kwestii wzmożonego ruchu turystycznego i napływu nowych mieszkańców, to właśnie te dwa kryteria są dziś podstawowymi parametrami określającymi atrakcyjność miasta i jego potencjał rozwojowy. W Krakowie jest on olbrzymi.



Warszawa. W tym samym czasie w Warszawie na półce leży napisana strategia „Stolica Nowej Europy”. Mimo braku czytelnego planu działania potencjał stołeczny Warszawy i tak okazał się na tyle duży, że miasto wykonało gigantyczny skok do przodu. Porównując jednak te dwie metody pracy nad rozwojem miasta, łatwo dostrzeżemy istotną różnicę. Jest nią np. brak kluczowych inwestycji w postaci wielkiego centrum kongresowego i dużej hali widowiskowej. Przez to Warszawę omija wiele ważnych wydarzeń i nie ma w niej warunków dla rozwoju poważnej turystyki kongresowej, na czym stolica traci setki milionów złotych. Poważnym błędem jest również kompletne zaniedbanie promocji „Warszawy na weekend”. W efekcie miasto, które ma najlepszą w Polsce ofertę kulturalno-rozrywkową, w soboty i niedziele pustoszeje. Nie wdrażanie strategii skutkuje poważnymi stratami, choć nie oznacza to, że miasto się nie rozwinie. Trzeba mieć jednak świadomość, że nieumiejętność planowania długookresowego nie pozwala w pełni wykorzystać faktycznego potencjału miasta i dobrej koniunktury.

fot. Shutterstock



Katowice. Stolica „Pozytywnej Energii” zrealizowała wiele kluczowych inwestycji i doczekała się największej chyba w Polsce zmiany w zakresie przestrzeni publicznej. Cały region wdrażał spójną strategię, co zaowocowało takimi perełkami, jak Szlak Zabytków Techniki, a w samych Katowicach zupełnie nowym centrum miasta, na czele ze zrewitalizowanym Spodkiem, rewelacyjnym Centrum Kongresowym, niezwykłym Muzeum Śląskim i zachwycającą siedzibą NOSPR. Kto nie widział, ten nie wie – Katowice najlepszym pomysłem na weekend w Polsce. Warto wybrać się tam na ARCHITEC_Tour.



Sopot vs. Zakopane. Zakopane i Sopot to miasta partnerskie, w pewnym sensie swoje lustrzane odbicia. Z jednej strony nadmorski kurort, z drugiej zimowa stolica Polski. Swego czasu ulubione miejsca wypoczynkowe bohemy, tak samo urokliwe. Sopot swojego czaru nie stracił, w legen-

darnym SPATiF-ie wciąż jest fajnie, miasto ma swój klimat, zwłaszcza poza sezonem. Zakopane... cóż, Zakopane swój urok straciło, ale miejmy nadzieję, że nie bezpowrotnie.

Sopot zyskał samoświadomość dzięki strategii „Naturalnie – kulturalnie”. Mimo ogromnej popularności wśród turystów zachował swój kameralny urok, walory kurortu, wciąż jest postrzegany jako prestiżowe miejsce wypoczynku. Odwrotnie stało się z Zakopanem, które nie przyjęło żadnej jasnej strategii, czego konsekwencją jest „zadeptanie”, a miasto stało się wręcz synonimem złego smaku.

W następnej dekadzie Sopot, wraz z Gdańskiem i Gdynią, stanie się najatrakcyjniejszą metropolią nad całym Bałtykiem. Co spotka Zakopane, trudno przewidzieć. Wiadomo tylko, że tłum zdeptujący to piękne niegdyś miejsce to raj dla miłośników cudzych portfeli – kieszonkowców. Wypchane portfele turystów nie przekładają się jednak na sensowny rozwój miasta, a raczej uruchamiają proces weneccyzacji.

Wnioski końcowe są następujące: dobra strategia zmienia wszystko. Kierunkuje, buduje tożsamość, kształtuje markę miejsca. Świadomość priorytetów oraz ich właściwy wybór przyspieszają pożądane zmiany o całe dekady. Jednocześnie w wyniku gwałtownego przyspieszenia rozwoju miast powstają zagrożenia nowego rodzaju, wyjątkowo poważne w kraju, w którym urbanistyka to wielka porażka.

Do 2030 r. priorytetem wszystkich miast będzie rewitalizacja (pod tym względem liderem jest Łódź), rozwój miejskich terenów zielonych, wzmacnianie trendu „miasto jest przede wszystkim dla mieszkańców, a nie dla inwestorów, deweloperów i turystów”. Jest jeszcze wiele do zrobienia w polskich miastach. Czeka nas rewolucja elektromobilności, tworzenie miejskich obiegów zamkniętych, wprowadzanie polskich uczelni wyższych do światowej pierwszej „setki”, humanizacja przestrzeni publicznych i przywracanie równowagi, zaburzonej zbyt szybkim rozwojem tzw. ciężkiej infrastruktury.

Nie można jednak zaprzeczyć, że polskie miasta w ciągu ostatnich 20 lat rozwijały się najszybciej w Europie, i mimo wielu błędów nieoczekiwanie szybko dogoniły Europę. Teraz nadszedł czas na wprowadzenie harmonii. ☺

Mateusz Zmyślony



O symbiozie handlu i przestrzeni publicznej

Jeśli odwołamy się do początków historii miast europejskich, do średniowiecza, a nawet do antyku, okaże się, że przestrzeń handlu i przestrzeń publiczna były w zasadzie synonimami.

Miasta powstawały wokół ośrodków władzy czy kultu religijnego, jednak to handel od zawsze był motorem napędowym rozwoju miast. Przestrzeń miejska miała dwa bieguny. Życie społeczności koncentrowało się na rynku, placach i ulicach – to tam dochodziło do wymiany handlowej i kulturowej, podczas gdy pierzeje ulic i wewnętrzne dziedzińce miały charakter *stricte* prywatny.

Wraz z rozwojem i powiększaniem się miast rozrastała się przestrzeń publiczna. Pojawiało się więcej terenów zielonych, takich jak ogrody przykościelne, początkowo udostępniane wszystkim, lub ogrody pałacowe, związane z ośrodkami władzy. Miasta zaczęły też tworzyć w ramach własności wspólnej otwarte założenia parkowe. Taki układ przestrzenny funkcjonował do czasów rewolucji przemysłowej i gwałtownej urbanizacji, która w dużej mierze definiuje współczesne miasta wraz z podstawowym układem przestrzennym, zróżnicowaniem funkcjonalnym i infrastrukturą – przede wszystkim transportową.

W miastach dziewiętnastowiecznych zaczęto tworzyć tereny zielone o charakterze rekreacyjnym. Większość ludności mieszkała wtedy w zwartej zabudowie. Wraz z popytem na mieszkania powstawały wyższe kamienice, a budowa infrastruktury miejskiej, zwłaszcza wodociągów, kanalizacji i przede wszystkim transportu publicznego (kolej miejska, sieci tramwajowe), umożliwiała dalsze zagęszczenie i rozrost miast, które mogły pomieścić ponad 1 mln ludzi. Wolne połacie ziemi, które można było przekształcać w publiczne tereny zielone, w większości były nieużytkami nienadającymi się do wykorzystania pod budowę. Tak powstał ogromny, liczący 350 ha nowojorski Central Park, który pierwotnie był bagnem rozciągającym się między

miastem i podmiejskim osiedlem Harlem. Podobnie krakowskie Błonia czy warszawskie Pole Mokotowskie – leżały pod miastem, więc w wolne niedziele gromadziły się tam tłumy, podczas gdy w ciągu tygodnia życie koncentrowało się w samym mieście. Rewolucyjne przebudowy układu urbanistycznego (plan Haussmanna w Paryżu czy Eixample w Barcelonie), do których odwoływano się później podczas przebudowywania wielu innych miast, wprowadziły szerokie aleje i obszerne place, dzięki czemu udział przestrzeni publicznych w centrach miast zdecydowanie się zwiększył. Reprezentacyjne aleje przejęły rolę „salonów miasta” – nie tylko jako główne szlaki komunikacyjne, ale także uczęszczane ciągi spacerowe. Wielki przepływ ludzi i jakość przestrzeni sprawiły, że takie miejsca stały się doskonałą lokalizacją dla różnych placówek handlowych. Duża liczba sklepów, kawiarni i restauracji przyciągała kolejnych odwiedzających.

Nowe rozwiązania urbanistyczne wprowadzały wolną przestrzeń do ciasno zabudowanych średniowiecznych miast, ale i pozwalały podtrzymać symbiozę handlu i przestrzeni publicznej. W tym czasie pojawiły się też nowe pomysły na rozwiązanie problemu niedostatku miejsca przed najbardziej reprezentacyjnymi fasadami alej. Galerie handlowe, jak Burlington Arcade w Londynie, Galleria Vittorio Emanuele II w Mediolanie czy Galeries Royales Saint-Hubert w Brukseli, tworzą kryte pasaże piesze, dzięki czemu na małej przestrzeni można pomieścić wiele atrakcyjnych sklepów i rozszerzyć strefę handlową poza główne ulice. Pierwszoplanową rolę odgrywały jednak domy towarowe, jak Harrods, Galeries Lafayette, KaDeWe czy warszawski Dom Braci Jabłkowskich. To one wiodły prym w handlu aż do drugiej połowy XX stulecia.

Handlowcy walczą z komuną o przestrzeń

Radykalne zmiany w funkcjonowaniu miast przyniósł nowy ustrój wprowadzony po wojnie w Polsce. Podobnie działo się też w innych państwach po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Było to spowodowane także ogromnymi zniszczeniami wojennymi – nie odbudowywano starych form, lecz próbowano tworzyć nowe miasto socjalistyczne. Najlepszym przykładem takich działań jest Warszawa, która tylko w niewielkim stopniu przypominała przedwojenne miasto. Nowy ustrój potrzebował wielkich przestrzeni publicznych, służących przede wszystkim do organizowania zgromadzeń propagandowych na dużą skalę. Plac Konstytucji, plac Defilad (największy w Europie) czy ulica Marszałkowska były pustymi przestrzeniami otoczonymi monumentalną architekturą i pozbawionymi jakiegokolwiek funkcji istotnej dla ludzi. Handel został upaństwowiony i w dużej części upadł z powodu braku towarów. Ze względów ideologicznych rozwijano przemysł ciężki, a wyrób i import towarów konsumpcyjnych zanikał. Niezależny, prywatny handel zepchnięto na margines, choć w Polsce radził sobie dużo lepiej niż w krajach ościennych. Mali, indywidualni sprzedawcy znaleźli sobie miejsce głównie na lokalnych placach i bazarach, takich jak Bazar Różyckiego w Warszawie, plac Nowy, czyli „Żyd” w Krakowie, Rynek Jeżycki w Poznaniu, gdzie kontynuowano przedwojenne tradycje drobnego handlu.

Przemiany gospodarcze lat 80. przyniosły rozkwit handlu. Stare place targowe nie mogły pomieścić rzeszy drobnych sprzedawców, więc zagospodarowywane były duże nieużywane przestrzenie łatwo dostępne dla klientów. Powstały wtedy gigantyczne bazy zlokalizowane zarówno na pustych postsocjalistycznych placach, jak i na popadających w ruinę stadionach. Ikoną tego czasu były targowiska na placu Defilad i Stadionie Dziesięciolecia (obecnie PGE Narodowy). Tam właśnie powstało centrum wymiany handlowej. Miasto wróciło niejako do korzeni.

Duże przestrzenie w centrach miast zajęły strefy spontanicznie i bezładnie rozwijającej się działalności gospodarczej na podobieństwo miast Bliskiego Wschodu. Co ciekawe, mimo przemian gospodarczych, olbrzymich inwestycji infrastrukturalnych i starań władz miejskich mających na celu opanowanie chaosu przestrzennego, miejsca te przetrwały aż do końca pierwszej dekady XXI w., gdy impulsem do „ucywili-zowania” przestrzeni w centrum stało się przygotowywanie turnieju Euro 2012. Warto zwrócić uwagę, że o ile Stadion Dziesięciolecia został przebudowany w działający Stadion



Duże przestrzenie w centrach miast zmieniły się w strefy spontanicznie i bezładnie rozwijającej się działalności gospodarczej na podobieństwo miast Bliskiego Wschodu.

Narodowy, to plac Defilad ciągle jest przestrzenią praktycznie niezagospodarowaną.

Planowy chaos przestrzenny

W latach 90. do Polski wkroczyły zachodnie sieci handlowe i w ich rękach skupiła się olbrzymia część sprzedaży. Pojawiła się pierwsza IKEA, powstały hipermarkety. Była to druga – po sieciach stacji benzynowych – fala działań dużych inwestorów, którzy prowadzili racjonalną i konsekwentną politykę nabywania atrakcyjnych terenów o dużym potencjale wzrostu wartości w dłuższej perspektywie i którzy w swoich strategiach przewidywali konsekwencje procesów urbanizacyjnych zachodzących wtedy w Polsce.

Ostatnia dekada XX w. i pierwsza XXI w. to gwałtowny rozwój, początkowo prostych hipermarketów, a później większych i bardziej zróżnicowanych pod względem funkcjonalności centrów handlowych. To wtedy ukształtował się współczesny układ obszarów handlowych o znaczeniu ogólnomiejskim i regionalnym – ma on trwały charakter i zapewne będzie istniał przez następne dziesięciolecie. W tym procesie wiodącą rolę odgrywali deweloperzy, a miasta nie ingerował w rozwój przestrzenny, raczej tylko wybiórczo wpływały na ograniczenie zabudowy. Stare plany zagospodarowania przestrzennego były niedostosowane do dynamicznie zmieniającego się rynku nieruchomości, miastom brakowało środków na wykupienie terenów i inwestycje publiczne, a ustawa z 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym praktycznie zlikwidowała to pierwsze. Znakiem tych czasów jest warszawski Mokotów Południowy,

gdzie na łatwo dostępnych terenach pofabrycznych powstała Galeria Mokotów i przyległa monofunkcyjna dzielnica biurowa potocznie zwana „Mordorem”, zbyt ciasno zabudowana i pozbawiona wystarczającej obsługi komunikacyjnej. Natomiast nieopodal, na terenach wokół starego Dworca Południowego, czyli w okolicach stacji metra Wilanowska, naturalnie przystosowanych do pełnienia funkcji centrum dzielnicy, rozlała się bezładna zabudowa mieszkaniowa pozbawiona dobrze zdefiniowanych funkcji publicznych o znaczeniu dzielnicowym i miejskim.

Problem niekontrolowanego rozwoju dużych obiektów handlowych stał się gorąco dyskutowanym tematem politycznym. Jego rozwiązaniem miała być ustawa o tworzeniu i działaniu wielkopowierzchniowych obiektów handlowych z 2007 r. Wprowadzała ona limit 2 tys. m kw. powierzchni sprzedaży w budynkach, powyżej której uzyskanie pozwolenia na budowę wymagało ekspertyz dotyczących wpływu na lokalny rynek handlowy i rynek pracy, a także uchwalenia planu miejscowego, zawierającego zapis o przeznaczeniu pod wielkopowierzchniowe objekty handlowe. Niezależnie od niekonstytucyjności tej ustawy, uchylonej wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w 2008 r., zapisy o funkcjach handlowych powyżej 2 tys. m kw. w prawie niezmiennym kształcie istnieją w aktualnie obowiązującej ustawie o zagospodarowaniu przestrzennym. Teoretycznie zapisy te miały ograniczyć rozrost wielkich hipermarketów monopolizujących rynek i psujących krajobraz prymitywnymi magazynowymi formami i tanimi elewacjami. Rzeczywistość jednak rozminęła się z teorią. Walka z „blaszakami” doprowadziła do tego, że prawie całkowicie przestano budować nowe hipermarkety, których rozwój w tym czasie i tak był naturalnie ograniczany przez nasycenie się rynku. Nastąpiła jednak gwałtowna ekspansja sieci dyskontów, których jakość architektoniczna wcale nie była lepsza, a ich wpływ na handel – zwłaszcza ten drobny – był jeszcze poważniejszy. Co więcej, ich rola miastotwórcza jest żadna.

Teoretycznie polityka ograniczania powstawania molochów handlowych miała pozytywnie wpłynąć na ład przestrzenny, sprowadzić handel do centrów miast i ożywić opustoszałe ulice. Widać jednak, że realizowane są inne cele. Istnieją pozytywne przykłady, jak np. Gdynia czy Gdańsk, gdzie pokrycie planami zagospodarowania przestrzennego jest prawie całkowite, z wyjątkiem terenów nieinwestycyjnych. Zdefiniowane strefy handlu wielkopowierzchniowego są cały czas możliwe do zagospodarowania i czekają na dobrą

koniunkturę i inwestorów. Tym samym miasta pełnią funkcję regulatora wpływającego również na przyszły rozwój handlu w mieście, i to także w samym centrum, wymagającym różnorodności. Z drugiej strony można przytoczyć przykład Krakowa i wielu innych miast, w których nie można umieszczać żadnych większych obiektów handlowych w śródmieściu, co w praktyce prowadzi do promowania istniejących już w tym obszarze centrów handlowych i uniemożliwia wznoszenie nowoczesnych wielofunkcyjnych budynków, niekoniecznie dużych. W konsekwencji handel jest wypychany na obrzeża miasta, czego efektem jest ograniczanie konkurencji, osłabianie atrakcyjności śródmieścia oraz utrudnianie modernizacji i rozwoju tego sektora gospodarki.

Limit 2 tys. m kw. w dużej mierze utrudnia również rewitalizację ulic handlowych. Niezależnie od kwestii związanych z własnością czy spójnym i profesjonalnym zarządzaniem nieruchomości komercyjnymi powierzchniami lokalnymi w ulicach, zwłaszcza tych o większym metrażu, jest niewystarczająca, by stworzyć odpowiednią masę krytyczną konkurencyjną dla większych centrów handlowych. Powiększenie lokalu powyżej ustawowego limitu, który nie jest wcale wysoki, wiąże się z kłopotliwą zmianą planu miejscowego, co rozwiązywane jest zwykle przez omijanie przepisów i określanie części powierzchni sklepowych jako spełniających funkcję ekspozycyjną czy usługową. Coraz popularniejszy trend jedzenia poza domem skutkujący powstawaniem nowych punktów gastronomicznych prowadzi do wypierania placówek bankowych i punktów usług finansowych z ulic. Zamiana jednej monokultury na drugą nie jest efektywnym rozwiązaniem i nie wpływa na atrakcyjność ulic. Handel zawsze będzie elementem niechybnie przyciągającym ludzi.

Komu potrzebny jest handel?

Rola handlu w mieście wciąż jest tematem drażliwym. Od lat spierają się o to grupy o różnych poglądach – jedne postulują ochronę drobnego rodzinnego handlu, inne otwarte są na konkurencję i przyciąganie zewnętrznych inwestorów. Opinia klientów czy zwykłych obywateli była przy tym marginalizowana lub wręcz nieistotna. W rzeczywistości duża część oficjalnych przeciwników rozwoju kompleksów handlowych jednocześnie jest częstymi klientami tych placówek. Najpopularniejsze miejskie centra handlowe notują wskaźniki odwiedzin rzędu 10–30 mln rocznie. To wynik porównywalny z największymi lotniskami lub węzłami komunikacyjnymi i przynajmniej o rząd wielkości przewyższający frekwencję



w placówkach kultury. Trudno zatem twierdzić, że nie jest to istotny element infrastruktury społecznej.

Współczesne obiekty handlowe skazane są na konkrowanie tak ze sobą, z uwagi na duże nasycenie rynku, jak i z handlem internetowym, rozwijającym się o wiele szybciej niż sprzedaż detaliczna. Centra handlowe nie są w stanie wyróżnić się tylko skalą i różnorodnością mieszczących się w nich sklepów, więc coraz większą część powierzchni przeznaczają na punkty usługowe, gastronomiczne i rozrywkowe, a nawet co-workingowe, biurowe czy hotelowe, mające uzupełniać podstawowy schemat. Wszechobecne są dzisiaj łączenie rozmaitych funkcji i elastyczność zagospodarowania powierzchni pozwalająca na swobodne dostosowywanie funkcjonalności do zmieniających się potrzeb odwiedzających. Coraz częściej obiekty handlowe traktowane są jako miejsca spotkań, zatem jakość rozwiązań architektonicznych, a zwłaszcza przestrzeni wewnętrznej, określanej jako półprywatnej i zewnętrznej, półpublicznej, nabiera szczególnego znaczenia. To rynek wymusza, by obiekty z założenia komercyjne stawały się przestrzeniami publicznymi jak najbardziej otwartymi dla mieszkańców. Negatywny stosunek do obiektów handlowych nie jest jednak tylko pokłosiem ery hipermarketów. Jakość bardziej rozbudowanych i nowoczesnych centrów handlowych budzi wiele zastrzeżeń. Warto odnotować, że tego typu budynki dwukrotnie zostały



Sprzedaż lub wynajem powierzchni wewnątrz obiektu jest wyłącznym ryzykiem inwestora, natomiast odpowiedzialność za krajobraz i układ urbanistyczny ponosi miasto.

wyróżnione niechlubnym tytułem Makabryły, podczas gdy jak najlepiej kojarzony tytuł Bryły Roku zdobywały zwykle budynki publiczne i biurowe.

Trudno jednak winić za ten stan rzeczy wyłącznie deweloperów. Jako przedsiębiorstwa rynkowe, muszą dbać o rentowność i optymalizację kosztów inwestycji. Oczywiście jest, że bardziej koncentrują się na swojej nieruchomości

niż jej otoczeniu. Dbałość o ład przestrzenny to niezbywalna domena władz miejskich i narzędzi, jakimi są plany zagospodarowania przestrzennego i inne wytyczne planistyczne i strategiczne. Zamiast koncentrować się na ścisłym określeniu funkcji i prostych wskaźnikach kubatury, definiujących jedynie skalę zabudowy, powinny odwoływać się do spójności zabudowywanej przestrzeni i powiązań między osobnymi budynkami, obejmując szerszą perspektywę niż jedna nieruchomość, jednocześnie pozostawiając większą swobodę w zagospodarowaniu i funkcjonalności wnętrza budynków.

Sprzedaż lub wynajem powierzchni wewnątrz obiektu jest wyłącznym ryzykiem inwestora, natomiast odpowiedzialność za krajobraz i układ urbanistyczny ponosi miasto. Ingerencja miasta w kształt inwestycji, czy to przez udział w organizacji konkursów architektonicznych, czy przez przygotowywanie racjonalnych wytycznych w zakresie zewnętrznej formy i wykonczenia elewacji, a także wymogów dotyczących organizacji niezabudowanych części nieruchomości poszerzających tereny publiczne, nie blokuje możliwości zagospodarowania terenu, mimo oczywistej niechęci inwestorów, którzy nie lubią nadmiernych ograniczeń. W dłuższej perspektywie jest to korzystne dla obu stron: dla miasta tworzącego atrakcyjną dzielnicę i inwestora zyskującego wartościową nieruchomość, która jest dobrze zespolona z otoczeniem. Dobrym przykładem takiej realizacji jest niedawno oddany do użytkowania, doskonale wpisujący się w tkankę miejską kompleks Forum Gdańsk, który z jednej strony tworzy nową, atrakcyjną przestrzeń publiczną, a z drugiej udostępnia dobrze wycenianą przestrzeń na potrzeby działalności handlowej, gastronomicznej, usługowej, hotelowej i biurowej. Opinie ekspertów świadczą o tym, że jest to jeden z najlepszych miastotwórczych obiektów komercyjnych zbudowanych w tym roku w Europie. To, co dziś wydaje się problemem, można przekuć w szansę. Stare budynki handlowe, mające już 15, 20 i więcej lat, zdążyły się już zamortyzować i, podobnie jak zabudowa przemysłowa, doskonale nadają się do rewitalizacji. Z reguły są położone w atrakcyjnych miejscach, mają jedną lub dwie kondygnacje i stoją na dużych działkach o jednolitej własności. Tym samym łatwiej i taniej jest je przekształcić w nowe budynki niż wyższe biurowce lub substandardowe bloki z wielkiej płyty.

Dobrym przykładem długofalowej polityki zrównoważonego rozwoju jest Berlin. Miasto to jest największym placem budowy w Europie i stało przed wyzwaniem zintegrowania zachodniej i wschodniej – postkomunistycznej – części. Wyruwa w środku miasta biegnąca wzdłuż dawnego muru została

wypełniona uniwersalnymi i dobrze rozplanowanymi obiektami. Obraz Alexanderplatz i Postdamerplatz diametralnie się zmienił dzięki nowo powstałym centrom handlowym, domom towarowym i obiektom wielofunkcyjnym, wprowadzającym dodatkowe funkcje rozrywkowe, które skoncentrowały potencjał handlowy w ścisłym centrum. Dzięki integracji węzłów transportowych i otwartych terenów publicznych ujętych w ramy obiektami komercyjnymi śródmieście stało się jeszcze atrakcyjniejsze zarówno dla mieszkańców, jak i dla turystów, a wartość sąsiednich nieruchomości, mimo konkurencyjnej obecności nowych obiektów, wcale nie spadła.

Wraca nowe

Świat zmienia się na naszych oczach. Trendy demograficzne i zmiany stylu życia nie ulegną nagłemu zwrotowi. Jest coraz więcej osób starszych, a zarówno starsi, jak i młodszy coraz częściej żyją w jednoosobowych gospodarstwach domowych. Centrum życia przenosi się z domu na zewnątrz, gdzie długo przebywamy – w pracy, w podróży, spotykając się z przyjaciółmi, jedząc poza domem i spędzając czas wolny. Po kilkudziesięciu latach uzależnienia od indywidualnego transportu samochodowego zmierzamy do upowszechnienia transportu publicznego i wypożyczania pojazdów zamiast ich posiadania. Im mniej miejsca dla samochodów, tym więcej go dla ludzi, którzy chętnie je zagospodarowują. Po stuleciu zawłaszczania przestrzeni dla samochodów wracamy do miast w ich dziewiętnastowiecznej formie, w której ludzie znów są na pierwszym planie. Takim znakiem czasów są Oslo, które od przyszłego roku ma być wolne od samochodów, i Oxford Street przekształcana w deptak.

Atrakcyjna przestrzeń publiczna zachęca do prowadzenia handlu, handel przyciąga ludzi, a im więcej ludzi gromadzi się w jednym miejscu, tym chętniej przybywają tam kolejni. Ten mechanizm jest ponadczasowy. Stare jednak nie wróci zupełnie. W dobie handlu internetowego i natychmiastowych dostaw do domu sklep już wkrótce przestanie być miejscem wymiany materialnych towarów. Niekoniecznie jest nawet miejscem dokonywania transakcji. Stanie się obszarem doświadczania marki, wymiany idei i opinii. Przestrzeń handlu i przestrzeń publiczna zawsze współistniały, dziś rzeczywistość zlewają się w jedno, podobnie jak działo się to na początku historii miast. ☺

Andrzej Jarosz

„Wirtualny Urzędnik”, czyli miasto przyjazne mieszkańcom



Kraków

Władze Krakowa postanowiły wykorzystać technologię do usprawnienia działania urzędu miasta i tym samym ułatwić życie mieszkańcom. W Krakowie od maja 2018 r. testowane jest innowacyjne rozwiązanie, które ma poprawić współpracę między magistratem a mieszkańcami-przedsiębiorcami. „Wirtualny Urzędnik”, czyli elektroniczne narzędzie wykorzystywane w e-administracji, odpowiada na większość pytań z zakresu obsługi przedsiębiorcy, podpowiada, jakie dokumenty należy przygotować, aby szybko i skutecznie załatwić sprawę. Uruchomienie bota to efekt zorganizowanego przez Miasto Kraków w ubiegłym roku hackathonu „KraHack”. Zaangażowali się w niego młodzi krakowianie poszukujący rozwiązań poprawiających jakość życia mieszkańców. To spotkanie innowatorów odbyło się w ramach przygotowywania strategii rozwoju miasta do 2030 r.

Przygotowując strategię na kolejne lata, miasto organizowało badania, warsztaty, konsultacje i kampanie. Hackathon to narzędzie nietuzinkowe, wspierające innowacyjność, dzięki czemu przyciągające młodych. Dlatego aby ich zaktywizować, wykorzystać potencjał, zaangażowanie oraz otwartość na nowe pomysły, Urząd Miasta postawił na tę formę działania.

Hackathony kojarzą się głównie z wydarzeniami typowo programistycznymi, tymczasem miasto wykorzystało tę formułę, by zmierzyć się z wyzwaniem społecznym. To uznana metoda wymiany myśli i pomysłów, które od razu są przygotowywane do realizacji. W ramach prac nad strategią rozwoju „Tu chcę żyć. Kraków 2030” zorganizowano więc pierwszy hackathon poświęcony miastu. Pojawili się na nim przedstawiciele uczelni wyższych, organizacji pozarządowych, przedsiębiorstw, środowisk start-upowych i mieszkańcy. Do udziału zgłosiło się aż 200 osób, a zwycięskim projektem okazał się „KRKbot”, zakładający wykorzystanie technologii do poprawienia komunikacji urzędu z mieszkańcami Krakowa. Zaproponowane na etapie konkursu rozwiązanie było ogólną wizją narzędzia i stanowiło wzór, czy też pierwszą inspirację do wprowadzenia w urzędzie „Wirtualnego Urzędnika”. Po analizie administracyjnych procedur dotyczących mieszkańców podjęto decyzję o wdrożeniu bota w kontaktach urzędu z przedsiębiorcami. Obecnie bot, czyli „Wirtualny Urzędnik”, wykorzystywany jest w Punkcie Obsługi Przedsiębiorców. Narzędzie to, korzystając ze sztucznej inteligencji, pozwala intuicyjnie wyszukiwać informacje z zakresu obsługi przedsiębiorców (już na etapie zakładania działalności gospodarczej). Bot działa całą dobę przez siedem dni w tygodniu.

Kraków jest miastem otwartym na nowe pomysły. Nie czekamy na rozwiązania importowane, ale dokładamy starań, by kształtować własne. Dlatego też od jakiegoś czasu wspie-



Bot, korzystając ze sztucznej inteligencji, intuicyjnie wyszukuje informacje z zakresu obsługi przedsiębiorców.

ramy hackathony odbywające się w naszym mieście. Ta innowacyjna forma komunikowania się z mieszkańcami znalazła już wcześniej zastosowanie w stolicy Małopolski. W mieście odbywa się „Smogathon” poświęcony problemowi zanieczyszczenia powietrza, z którym Kraków walczy na razie konwencjonalnymi metodami – przede wszystkim usuwając z miasta piece węglowe (w ciągu trzech lat zlikwidowano większość z nich) i zachęcając do korzystania z komunikacji miejskiej (od 2013 r. w mieście odnotowano wyraźny spadek przejazdów samochodami i ponad trzydziestoprocentowy wzrost podróży komunikacją zbiorową).

„Smogathon” okazał się na tyle ciekawym pomysłem, że urzędnicy uznali, że warto go wykorzystać także przy planowaniu strategicznego rozwoju miasta, w tym przygotowaniu najważniejszego dokumentu definiującego rozwój Krakowa do roku 2030. *Strategia Rozwoju Krakowa 2030* powstała w formule partycypacyjno-eksperckiej przy aktywnym udziale ekspertów z różnych obszarów, a przede wszystkim samych mieszkańców. Idealną formą wyjścia naprzeciw ich oczekiwaniom wydał się właśnie hackathon, dlatego też wykorzystano tę formę kontaktu z mieszkańcami do zdefiniowania potrzeb miasta na najbliższe lata.

„Wirtualny Urzędnik” to na razie zaplanowane na rok oprogramowanie pilotażowe. W tym czasie będzie sprawdzane, jak dużym zainteresowaniem cieszy się to narzędzie wśród przedsiębiorców oraz w jakim stopniu je wykorzystują. Urząd zbiera także opinie o praktycznych doświadczeniach użytkowników. Jeśli wszystko przebiegnie bez przeszkód, a system uznany zostanie za sprawny, krakowski magistrat będzie rozważał rozszerzenie narzędzia o inne usługi publiczne. ☺

Małopolska miejscem atrakcyjnym dla inwestorów



Województwo małopolskie dysponuje znaczącym w skali Polski potencjałem społeczno-gospodarczym. Małopolska wytwarza 7,8 proc. PKB kraju i charakteryzuje się wysokim poziomem wzrostu gospodarczego. W regionie działalność prowadzi ponad 370 tys. firm, dzięki czemu od lat znajduje się on w czołówce krajowych rankingów oceny atrakcyjności inwestycyjnej. Lista atutów naszego regionu jest jednak jeszcze dłuższa. Przede wszystkim na terenie Małopolski zatrudnienie znalazło prawie 1,4 mln osób – w tym doskonale wykształceni pracownicy, będący absolwentami jednych z najlepszych polskich uczelni. To oczywiście przekłada się na innowacyjność, którą aktywnie wspierają sektor wysokich technologii, instytucje badawczo-rozwojowe i przedsiębiorstwa promujące nowatorskie rozwiązania. Duży potencjał naukowy województwo zawdzięcza ośrodkom badawczym i lokalnym uczelniom wyższym. Wszystko to łączy się z dobrze rozwiniętą infrastrukturą komunikacyjną i otwartością na rynki zagraniczne, którym Małopolska ma wiele do zaoferowania – możemy poszczycić się największym rynkiem nowoczesnych usług biznesowych. W samym Krakowie dysponujemy olbrzymimi zasobami nowoczesnych powierzchni biurowych (ponad 1 mln m kw. – drugie miejsce po Warszawie), a w strefach aktywności gospodarczej doskonale przygotowanymi terenami inwestycyjnymi. Baza danych Centrum Business in Małopolska zawiera prawie 150 ofert inwestycyjnych. Nie bez znaczenia pozostaje także dobrze rozwinięta sieć usług bankowych. Możemy się też pochwalić bogatymi zasobami naturalnymi.



W rankingach najbardziej pożądanym lokalizacji centrów nowoczesnych usług Kraków zajmuje czołowe miejsca zarówno w Europie, jak i na świecie.

Małopolska w 2016 r. otrzymała miano Europejskiego Regionu Przedsiębiorczości 2016. Ten prestiżowy tytuł przyznawany jest przez Komitet Regionów obszarom wyróżniającym się pod względem wprowadzania aktywnej i innowacyjnej strategii dla rozwoju przedsiębiorczości.

Małopolska oferuje dogodne warunki rozwoju sektorom: high-tech, motoryzacyjnemu, turystycznemu i BPO przede wszystkim dzięki wysokiemu potencjałowi naukowo-badawczemu i edukacyjnemu szkolnictwa wyższego, odpowiedniemu zapleczu naukowemu, dostępności wykwalifikowanej kadry inżynierskiej i siły roboczej.

Działających na terenie województwa 59 ośrodków innowacji i wspierania przedsiębiorczości sprawia, że pod tym względem Małopolska zajmuje drugie miejsce w Polsce. W naszym regionie powstało 21 inicjatyw kla-



strowych, w tym np. Klaster LifeScience czy MedCluster. Firmy, takie jak Delphi, Motorola, CH2MHill czy Ericpol, wybrały Kraków jako miejsce inwestycji R & D. Mieszkańcy aktywnie korzystają z takich e-narzędzi i e-usług, jak Wavelo czy system elektronicznych usług publicznych. W celu komercjalizacji wyników prac naukowo-badawczych prowadzonych w instytucjach naukowych i jednostkach badawczo-rozwojowych oraz w zakresie wspierania innowacji i kooperacji z przemysłem utworzono centra transferu technologii, w tym działające w obszarach budownictwa pasywnego, energii zrównoważonej czy też biotechnologii, bezpieczeństwa żywności, nutrigenomiki i innych pokrewnych dziedzin.

W rankingach najbardziej pożądanym lokalizacji dla centrów nowoczesnych usług biznesowych Kraków zajmuje czołowe miejsca zarówno w Europie, jak i na świecie. BPO to aktualnie najszybciej rozwijający się sektor w Polsce.

W Krakowie działa około 150 centrów BPO, w których pracuje prawie 70 tys. osób. Firmy, takie jak Zurich Insurance, Uber, Ailleron, Red Stack Tech, Symphony, Architech, Pearson, Global Logic, Azimo, Lowcosttravel Group, IG Group, Cathay Pacific czy International Airline Group, w ostatnim czasie zdecydowały się na utworzenie swoich siedzib w Krakowie.

Od 2009 r. działania promocyjne w obszarze gospodarczym województwa małopolskiego ukierunkowane na przyciąganie do regionu zagranicznych i krajowych inwestorów oraz rozwój eksportu koordynowane są przez Centrum Business in Małopolska (CeBiM), inicjatywę utworzoną przez województwo małopolskie, Małopolską Agencję Rozwoju Regionalnego SA, Krakowski Park Technologiczny sp. z o.o. oraz Małopolskie Parki Przemysłowe sp. z o.o. CeBiM jest regionalnym przedstawicielem Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu prowadzącej projekty obsługi inwestorów i internacjonalizacji polskich przedsiębiorstw. ☺



FAIRTRADE

System certyfikacji i oznaczania produktów Sprawiedliwego Handlu.



→ spełnione kryteria:

- produkt jest kupowany bezpośrednio od producenta przez dystrybutorów należących do systemu Fairtrade
- cena produktu zgodna z ceną minimalną Fairtrade lub wyższa
- nabywca powinien podpisać długoterminowy kontrakt z producentem
- producenci mogą otrzymać od nabywców kredyt lub przedpłatę do 60% ceny kontraktu
- pracownicy zatrudnieni są na demokratycznych i jasnych zasadach
- uprawy prowadzone są w sposób zrównoważony
- producent i dystrybutor wspierają lokalną społeczność

FSC (FOREST STEWARDSHIP COUNCIL)

Certyfikat nadawany artykułom drewnianym, takim jak meble, papier, parkiety, okna, drzwi, instrumenty muzyczne oraz bezdrewnym produktom pochodzenia leśnego, jak syrop klonowy, kauczuk czy orzechy brazylijskie. Odnosi się tylko do pierwszego etapu łańcucha produkcji, czyli pozyskiwania surowca.



→ spełnione kryteria:

- ochrona przed nielegalnym użytkowaniem i zabudową terenów leśnych
- zapewnienie prawa do użytkowania lasów lokalnym mieszkańcom
- ochrona zdrowia i bezpieczeństwa oraz prawa do zrzeszania się pracowników lasów
- zrównoważone pozyskiwanie zasobów leśnych (umożliwienie odnowy)
- ochrona rzadkich i zagrożonych gatunków oraz ich siedlisk
- ograniczenie korzystania z chemicznych środków ochrony roślin, nawozów sztucznych oraz środków kontroli biologicznej
- zakaz stosowania organizmów modyfikowanych genetycznie
- ścisła kontrola stosowania gatunków obcego pochodzenia
- zachowanie lub poprawa stanu lasów o szczególnej wartości ochronnej
- zakaz tworzenia nowych plantacji kosztem lasów naturalnych i półnaturalnych

Istnieją 3 typy certyfikatów FSC:

1. FSC „czyste”:
100% surowca w produkcie jest certyfikowane przez FSC.
2. FSC „mieszane”:
minimum 70% surowca użytego w produkcie ma certyfikat FSC, natomiast niecertyfikowana reszta jest tzw. drewnem kontrolowanym (*Controlled Wood*) spełniającym minimalne wymogi dobrego zarządzania lasami.
3. FSC „z recyklingu”:
minimum 85% surowca w gotowym produkcie pochodzi z recyklingu.



RAINFORREST ALLIANCE (RA)

Certyfikat potwierdzający, że surowce i produkty żywnościowe zostały pozyskane z legalnego źródła i przy poszanowaniu środowiska. Certyfikat dla produktów, takich jak drewno (bardzo często występuje obok certyfikatu FSC), papier, banany, herbata, kawa, kakao, olej palmowy, kwiaty cięte i paprocie, ale i na przykład czekolada. Przyznawany jest także hodowcom i producentom.

ZIELONY LISTEK UE

Oznaczenie unijne gwarantujące, że produkt pochodzi z rolnictwa ekologicznego. Używa się również nazw: rolnictwo biologiczne, organiczne, biodynamiczne. To sposób hodowli i uprawy, w których wszystko jest naturalne: zamiast nawozów sztucznych stosuje się tylko środki naturalne: obornik, komposty, nawozy zielone, nawozy zwierzęce oraz minerały występujące w przyrodzie. Produkty pochodzące z takich gospodarstw oznaczone są unijnym symbolem listka złożonego z gwiazdek. Niektóre kraje wprowadziły własne oznaczenia BIO, ale tylko oznaczenie z listkiem gwarantuje, że produkt rzeczywiście jest ekologiczny.



→ spełnione kryteria:

- rośliny chroni się tylko naturalnymi metodami zapobiegawczymi, w tym metodami biologicznymi, środkami roślinnymi i mineralnymi, a nie syntetycznymi środkami ochrony roślin
- zwierzętom zapewnia się pasze gospodarskie, ściótkę oraz ruch na świeżym powietrzu
- stosuje się właściwie zaplanowany płodozmian, a gospodarka nawozowa oparta jest na zasobach własnych gospodarstwa



STOKROTKA

EU Ecolabel to oficjalne, europejskie wyróżnienie, przyznawane wyrobom przyjaznym dla środowiska, spełniającym wysokie standardy jakościowe i zdrowotne.



→ spełnione kryteria:

- rozsądnie gospodarowano surowcami użytymi w procesie produkcji
- wykorzystano surowce z recyklingu
- stosowano system odzysku surowców, z których powstał artykuł
- można ponownie wykorzystać produkt
- ani składniki, ani produkt końcowy nie były testowane na zwierzętach
- proces produkcyjny i użyte surowce są nietoksyczne i przyjazne dla środowiska
- do wykonania opakowania użyto surowców wtórnych i nadaje się ono do wtórnego przetworzenia

Na podstawie informacji organizacji certyfikujących.

Kraina kredy odchodzi

Papier niepowlekany z impetem wchodzi na polski rynek drukarski. Zdarza się, że brakuje makulatury do produkcji papieru recyklingowego. Moda na ekologię napędza ekologiczne zachowania w domu.

Papier powlekany, błyszczący, czyli tzw. kreda, jest obecnie najpopularniejszym materiałem drukarskim w Polsce. Podstawową przyczyną jest jego cena i koszty druku na nim. Nałożenie dodatkowej warstwy wygładzającej pozwala ukryć wady papieru, a więc jakość bazowa nie musi być wysoka. Dzięki temu farba drukarska mniej wsiąka w podłoże, nie rozmazuje się, a wydruki są ostre. Drukarze mniej czasu i energii poświęcają na kalibrowanie maszyn.

– Nie mam jednak wątpliwości, że obserwujemy zmianę, polegającą na rosnącej świadomości konsumentów. Zaczynają oglądać naklejki znamionowe i oceniać produkty nie tylko pod kątem ceny na półce – mówi Luiza Sidorczuk z firmy Antalis, zajmującej się dostarczaniem papieru pochodzącego w całości z recyklingu. – Widzą to producenci. Niezłym przykładem jest rynek meblarski – najwięksi stosują niemal wyłącznie drewno z certyfikatem FSC, a swoje ulotki najczęściej drukują na papierze z certyfikatami FSC, jak również na papierach pochodzących w 100 proc. z recyklingu.

Mimo to papier z odzysku wciąż jest traktowany przez klientów jako ekstrawagancja. – Szkoda, bo jego stosowanie nie jest tylko kwestią estetyki. Papier tego rodzaju jest bardziej przyjazny środowisku. Proces jego produkcji jest skrócony i nie trzeba wycinać drzew. Zużywamy więc mniej energii i wody, mniej chemikaliów – tłumaczy Sidorczuk. – To jest po prostu bardziej opłacalne, a nie tylko ekologiczne – dodaje. Przekonuje, że innowacje i technologie, które nie są opłacalne ekonomicznie, nie mają racji bytu.

Ponadto papier pozyskiwany z makulatury jest droższy od tego ze ściętych drzew. Możliwości jego produkcji mają także swoje ograniczenia, przede wszystkim ze względu na dostępność surowca odpowiedniej jakości. Podstawowym wyzwaniem jest podniesienie poziomu odzysku i jakości makulatury.

Papier zbierany w Polsce, ale także w innych krajach Europy, które są na innym poziomie edukacji mieszkańców

dotyczącej zasad sortowania odpadów, za rzadko spełnia wymogi jakości niezbędne dla papierni. Często jest zmieszany z rodzajami papieru, które nie nadają się do produkcji papieru drukarskiego, albo też jest zanieczyszczony olejami, resztkami jedzenia. W takim przypadku nadaje się najwyżej do produkcji tektury. – Trzeba pamiętać, że na razie nie opracowano maszyn, które są w stanie oddzielić papier biały od „czarnego”, zabarwionego. Pracę tę wykonują ludzie, a więc im lepiej będziemy sortować w domu, tym mniej kosztowne będzie odzyskiwanie surowca do produkcji papieru drukarskiego – ocenia Sidorczuk. Dlatego na razie jej firma najczęściej skupuje makulaturę przemysłową od firm specjalizujących się w jej zbieraniu i segregacji.

Dodatkową komplikacją w Polsce jest fakt, że ogromna większość makulatury zbieranej w ramach selektywnej gospodarki odpadami to wspomniany papier kredowy znacznie trudniejszy do przetworzenia. Papier drukarski pochodzący z recyklingu jest niemal w całości importowany. Transport dodatkowo podnosi cenę. Jest to tym bardziej istotne, że mimo niewysokiego poziomu czytelnictwa w naszym kraju drukuje się coraz więcej książek. Częściowo jest to konsekwencją zmian na rynku książek dla dzieci, który się bardzo rozrósł. Wydawcy coraz częściej decydują się na zabawę fakturą i rodzajem papieru, traktują go jako ważny element projektu graficznego. Około 40 proc. rzeczy drukowanych w Polsce jest później eksportowanych. – Nasi drukarze są bardzo cenieni – zapewnia przedstawicielka Antalis.

Jednym z najważniejszych oznaczeń, które pozwala stwierdzić, czy produkt powstał przy pomocy surowców pochodzących z lasów eksploatowanych odpowiedzialnie (mających szansę na odrodzenie), są certyfikaty FSC. Dotyczą one bardzo szerokiej gamy produktów – od papieru po meble. Certyfikaty FSC są podzielone na rodzaje, a produkty

są kwalifikowane do certyfikacji jako całość. Książka, której kartki wyprodukowano z papieru pochodzącego w całości z recyklingu, ale okładka powstała z innego materiału, nie może otrzymać certyfikatu FSC100proc., tylko np. FSCmix. Z powodu niedostatków makulatury odpowiedniej jakości masę papieru uzupełnia się też często surowcem z drewna – wtedy oznakowanie wskazuje na udział makulatury.

Producentów, którzy otrzymali certyfikat, kontroluje się regularnie i dokładnie sprawdza, czy przestrzegają wyznaczonych zasad. – Systematyczne weryfikowanie faktur pod kątem ciągłości dostaw z miejsc certyfikowanych przez FSC wystarcza, by sprawdzić, czy wymogi są spełnione, a wytwórca jest w stanie zapewnić sobie odpowiednią ilość surowca pochodzącego z odpowiedzialnej gospodarki leśnej – wskazuje Sidorczuk. – Oszustwa są bardzo rzadkie. Kary grożące za złamanie zasad certyfikacji są wysokie, samo uczestnictwo w programie jest sporym kosztem, a wreszcie certyfikat po dwu latach trzeba odnawiać – wyjaśnia. Matactwa nie mają więc większego sensu, nie przyniosłyby w tak krótkim czasie odpowiedniej korzyści. Tym bardziej w Polsce, gdzie zainteresowanie papierem tej klasy jest wciąż dość małe, jeśli wziąć pod uwagę liczbę przedsiębiorstw z niego korzystających.

Taka sytuacja jest prawdopodobnie efektem dość słabej edukacji społeczeństwa w zakresie roli lasu i właściwego sposobu jego eksploatacji. Dlatego tak ważne są zmiany w kulturze korporacyjnej. Decydując się na korzystanie z papieru z recyklingu i ograniczanie w biurach liczby wydruków, firmy uczą pracowników pewnych zachowań. Duże przedsiębiorstwa wiedzą też, że nie opłaca się im pozyskiwać surowców z nielegalnych albo nieetycznych źródeł – zbyt wiele jest do stracenia. ●

Bartosz Piłat

David Černý, czyli jak artysta zmienia świat

David Černý bez wątpienia w istotny sposób wpływa nie tylko na kulturę czeską, ale i na dyskusję społeczną, jej temperaturę, kierunki i styl. Jest żywym dowodem na to, że sztuka współczesna może kreować (a nie tylko komentować) rzeczywistość i stymulować rozwój społeczny. Zmieniać świat na lepszy.



foto. Mikołaj Gospodarek

Praga jest gęsto „obsiana” rzeźbami Davida Černego. W centrum co kilka przecznic można natknąć się na jego instalacje. Dla niektórych turystów są one wręcz największą atrakcją stolicy Czech. Już samo to znamionuje, że sztuka zmienia świat – na lepszy. Kreatywne, estetycznie wyraziste, często ogromne, zawsze prowokujące, znane na całym świecie prace Davida Černego są tego najlepszym potwierdzeniem. Jego dzieła przyciągają do Pragi mnóstwo ludzi, mają wręcz wy-mierny wpływ na turystykę i społeczne życie Czech – dzięki nim cały świat usłyszał o tym kraju i jego kulturze.

Rzeźby czy już katalizatory zmian?

Prace Černego niezmiennie pobudzają do myślenia i prowokują do rozmowy. Mówi się, że połowa Czechów go nienawidzi, a druga połowa uwielbia. Patrząc na polską scenę sztuki współczesnej, odnoszę wrażenie, że brakuje na niej takiego fermentu, jaki mógłby stworzyć artysta podobny do Černego. Wszak pozwoliliby nam to nabrać dystansu do samych siebie, autoironii, pozbyć się patosu i naszego martyrologicznego zadęcia.

Prowokacje Černego wywołują burzliwe dyskusje, nie pozwalają wpaść w mentalny letarg, dla którego pożywkę stanowią pleniące się dziś populizm i splotanie rzeczywistości pod hasłami podtrzymywania konserwatyzmu.

Rzeźbiarza można by nazwać nie tylko artystą, ale poniekąd zjawiskiem, swoistym fenomenem. Jego twórczość to kwintesencja przyrodzonego Czechom dystansu do samych siebie, ironii przeplatanej się z autoironią. Černý ma ogromne poczucie humoru i ani trochę nie boi się podejmować tematów tabu. Nie można mu też odmówić wielkiego talentu. A niezwykła osobowość, daleko rozwinięta kreatywność i innowacyjne podejście do różnych kwestii pozwalają mu umiejętnie i spektakularnie przekraczać granice stawiane przez umysł.

Dzięki jego nieszablonowemu stosunkowi do sztuki mogła powstać m.in. słynna ruchoma głowa Franza Kafki, rzeźba pt. *Metalmorphosis*, stojąca przy ulicy Charvatovej.

To 39 t stali, pociętej na 42 plastry, które wirując, pokazują różne oblicza tego samego człowieka. Oglądający ten nowoczesny, zaskakujący swoją oryginalną formą pomnik wpadają w zadumę nad wielowymiarowością ludzkiej psychiki. Turyści robią sobie na tle *Metalmorphosis* selfie, czasem nawet nie wiedząc, że rzeźba przedstawia jednego z najważniejszych czeskich pisarzy. Pokazuje to, że ta forma przestrzenna w najgorszym razie może stać się atrakcją turystyczną i ciekawym, przykuwającym uwagę uzupełnieniem przestrzeni miejskiej.

Można jednak – niebezpiecznie – zakładać, że na selfie na tle głowy Kafki się nie skończy, tylko że przynajmniej jakaś część oglądających tę instalację zainteresuje się niełatwą przecież twórczością Franza Kafki, jak i samą jego biografią. Za sprawą rzeźby przeżyje coś ważnego, a może nawet wstrząsającego, zmieni swoją optykę. Albo przynajmniej zastanowi się nad tym, czy instalacja się im podoba i dlaczego. Zdecydowanej większości osób, które się z nią zetknęły, praca się podoba – zatrzymuje się przy niej praktycznie każdy mijający ją turysta.

Jedną z bardziej znanych prac Davida Černego jest para mężczyzn sikających na mapę Czech. Właściwie jest to fontanna. Panowie, trzymając się za penisy i poruszając biodrami, wypisują moczem litery na mapie Czech. Składają się one na wypowiedzi słynnych Czechów, a nawet na... esemesy wysyłane przez turystów.

Ta praca jest niczym Smok Wawelski w Krakowie – stanowi obowiązkowy punkt wycieczki do Pragi. Stoi na Malej Stranie, tuż przed wejściem do Muzeum Franza Kafki. Łatwo wyciągnąć wniosek, że Czechom nie brakuje dystansu do siebie. Raczej trudno oczekiwać, że w Polsce mógłby stanąć taki pomnik. Wbrew pozorom sikanie na kraj nie oznacza jego krytyki czy negocjowania rządzących nim zasad. Stanowi raczej wezwanie do stosowania wobec państwa jako instytucji (a więc także do polityki i polityków) zasady ograniczonego zaufania. W przewrotny sposób ten manifest przyczynia się do budowania społeczeństwa obywatelskiego, kształtowania

więzi społecznych. Można by powiedzieć: ta rzeźba, prowokując do dyskusji na temat własnego kraju i oczekiwań wobec niego, łączy ludzi – zwykłych ludzi, obywateli.

Żartobliwie można to odnieść także do tego, że ludzie tak czy inaczej oddają moc na ulicy, a więc na kraj, w którym przebywają, dość wspomnieć ludzi wracających z imprezy, czy to Polaków, czy to wpadających na weekend do Krakowa Anglików, niewylewających za kołnierz. Bynajmniej nie lądują z tego powodu w więzieniu.

Poczucie humoru jest bezcenne i pozwala myśleć krytycznie, co ukazuje rzeźba sikających na Czechy mężczyzn. Oglądają ją rzesze ludzi i potem dyskutują o działaniach polityków, które nijak się mają do potrzeb przeciętnych obywateli.

Artyści powinni pokazywać środkowy palec politykom

Jeśli już mowa o polityce – warto wspomnieć inną realizację Černego. Swego czasu na Wełtawie pojawiła się ogromna fioletowa dłoń z wyprostowanym środkowym palcem: *FUCK*. To niepozostawiające wątpliwości przesłanie skierowane było do urzędującego Prezydenta Republiki Czeskiej. Wziąwszy pod uwagę obecną sytuację polityczną w Polsce, trzeba przyznać,

że jest to wręcz czarujący przykład artystycznej wolności wypowiedzi. Niestety w kraju nad Wisłą nie ma miejsca na takie prowokacje, za to jak grzyby po deszczu wyrastają nie tylko wszędybyskie, ale i zwykle koszmarne brzydkie pomniki wszelkich Janów Pawłów II, Lechów Kaczyńskich i Smoleńskó. Instalacja Černego była niestety tymczasowa, ale w internecie można znaleźć jej zdjęcia.

Innym doskonałym przykładem tego, jak sztuka czeskiego artysty może podsycać dyskusję społeczną, i to nawet o zasięgu międzynarodowym, była słynna *Entropa* – instalacja, która zgorszyła pół Europy, a drugie pół rozbawiła do łez. Podczas czeskiej prezydencji w Unii Europejskiej (2009 r.) w holu budynku Parlamentu Europejskiego w Brukseli zawisła rzeźba o długości kilku pięter. Zgodnie z oficjalnymi wytycznymi wskazanymi w regulaminie konkursowym praca miała prezentować panujące w UE wolność słowa i brak cenzury. W jej przygotowanie miało być włączonych 27 artystów – po jednym z każdego unijnego kraju (to kolejny z warunków).

Černý nazwał przedstawioną przez siebie instalację *Entropa*. Przypomina ona gigantyczny model do sklepania, którego części umocowane są w wielkiej, jak gdyby plastikowej, ramce. Każda część to jeden z krajów UE, wyobrażony

Czemu Sigmund Freud postanowił rzucić to wszystko? Dlaczego Trifot wodzi wzrokiem za przechodniami? Ile twarzy ma głowa Franza Kafki? Na pytania Davida Černego nie ma prostych odpowiedzi.

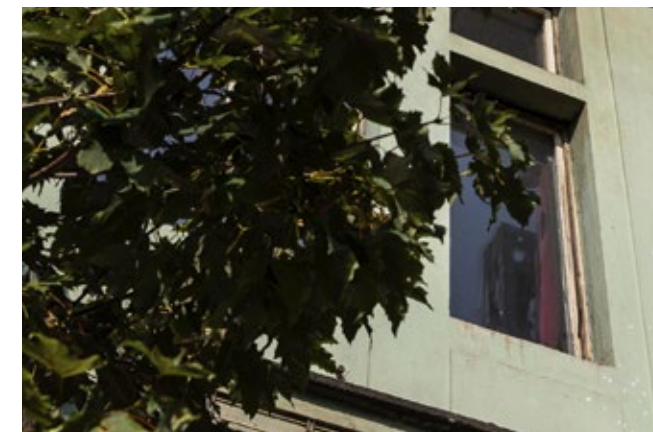
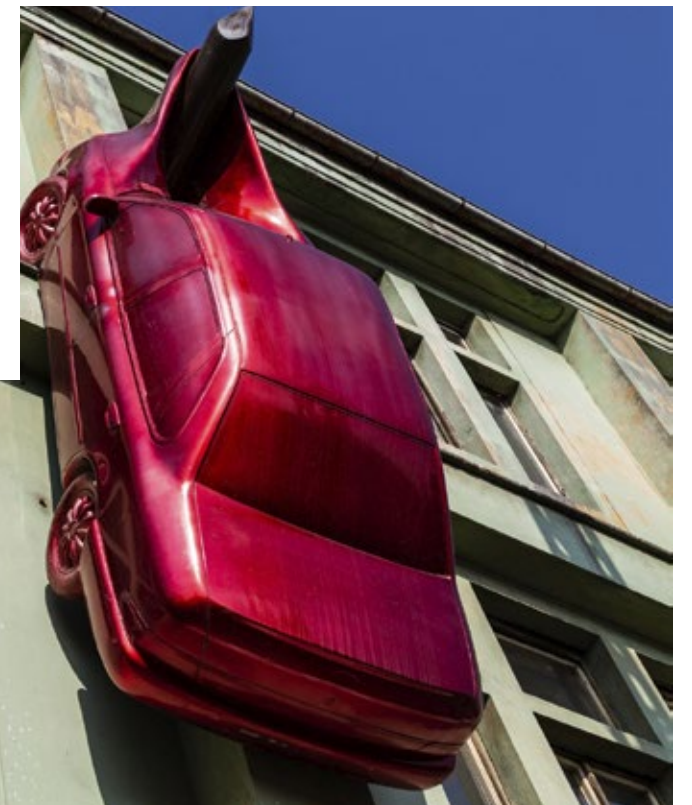


Wbrew pozorom sikanie na kraj nie oznacza jego krytyki czy negowania rządzących nim zasad. Stanowi raczej wezwanie do stosowania wobec państwa jako instytucji (a więc także do polityki i polityków) zasady ograniczonego zaufania. W przewrotny sposób ten manifest przyczynia się do budowania społeczeństwa obywatelskiego, kształtowania więzi społecznych.

przez odwołanie się do jakiegoś stereotypu panującego na temat danego kraju. Paradoksalnie Czechy na mapie *Entropy* nie prezentują się szczególnie widowiskowo – są ekranem diodowym, wyświetlającym wyjątkowo głupie wypowiedzi prezydenta Václava Klause (Černego często nazywa się Nemezis Václava Klause, ponieważ jego twórczość często godzi w czeskiego prezydenta, co tego ostatniego doprowadza do ataków bezsilnej wściekłości).

Jednym z ciekawszych (i uderzających w wiele tematów tabu) elementów *Entropy* jest ten poświęcony Polsce. Została przedstawiona jako wielkie kartoflisko, pośrodku którego grupa księży (do złudzenia przypominających amerykańskich marines ze słynnego zdjęcia z japońskiej wyspy Iwo Jima z czasów drugiej wojny światowej) zatyka tęczowy sztandar środowisk LGBTQ. Jest to nie tylko zabawne, ale i zachęca, by zmierzyć się z wieloma kwestiami, które wciąż zamiatamy w Polsce pod dywan.

Nie tylko nam się oberwało. Bułgaria to turecki szalet, Włochy to kraina masturbujących się piłkami piłkarzy, Francja jest „nieczynna” z powodu strajku, a Wielkiej Brytanii... w ogóle nie ma, co miało ukazać stosunek wyspiarzy do Unii Europejskiej, a okazało się samospełniającą przepowiednią.



Stereotypy, które Černý wykorzystał w swojej instalacji, to głęboka refleksja nad tym, co i jak myślimy o sobie nawzajem, jak mało wiemy o innych krajach, dlaczego na co dzień w ogóle nie interesujemy się nawet naszymi przysłowiowymi sąsiadami zza miedzy. Pytania typu: dlaczego nie wiem, jak się nazywa czeski premier, dlaczego nigdy nie byłem na Łotwie i właściwie nic o niej nie wiem, mogłoby sobie (niestety) zadać pewnie wielu Europejczyków.

Entropa (dziś wisząca w Muzeum Škody w Pilźnie) okazała się nie tylko rzeźbą z przesłaniem. Jest fajerwerkiem kreatywności, prawie wszystkie kraje są swoistą zabawką dla dorosłych – instalacjami multimedialnymi, które można uruchamiać i poruszać nimi, wydającymi dźwięki i wyświetlającymi napisy.

Entropa okazała się również prowokacją w innym – nieoczekiwanym – wymiarze. David Černý, już po fakcie, przyznał się, że 27 artystów z całej Europy po prostu... zmyślił. Wszystkie zaangażowane w projekt osoby, mające przecież swoje biografie, strony www, portfolio itp., okazały się wymyślonymi fantomami. Praca w całości powstała w pracowni Černego, który po ujawnieniu mistyfikacji tylko – jak zwykle – się uśmiechnął. Rząd czeski dał się nabrać, wybuchł skandal, przez media przetoczyła się burza. O *Entropie* mówiła cała Europa – ta instalacja jest najśłynniejszą spośród wszystkich dotychczasowych prac artystycznych wystawianych w parlamencie UE.

Na placu Wacława w Pradze stoi najśłynniejsza klasyczna rzeźba w Czechach. Jest to pomnik konny św. Wacława, patrona Czech. Punkt obowiązkowy podczas każdej wycieczki. Monument jest tak znany i symboliczny, że wcale nie dziwi, iż David Černý wymierzył w niego ostrze swej satyry.

Tak powstała nowsza wersja, która smętnie zwisa spod sufitu pobliskiego pałacu Lucerna. Jest to powieszony do góry nogami, martwy koń św. Wacława, na szczęście sam król siedzi na nim normalnie, z godnością, choć... między nogami swojego wierzchowca, któremu ogon zwisa odwrotnie, niż powinien, a z pyska wystaje wywalony jęzor.

Jest to wyśmienity komentarz na temat historycznej inżynierii społecznej od wieków realizowanej przez stawianie pomników. Mądry żart na temat kształtowania świadomości społecznej.

Niebezpieczny konsumpcjonizm

Po praskiej wyspie Kampa czolgają się monstrualne *Dzieci* Černego, raczkujące również po wysokiej na 216 m wieży

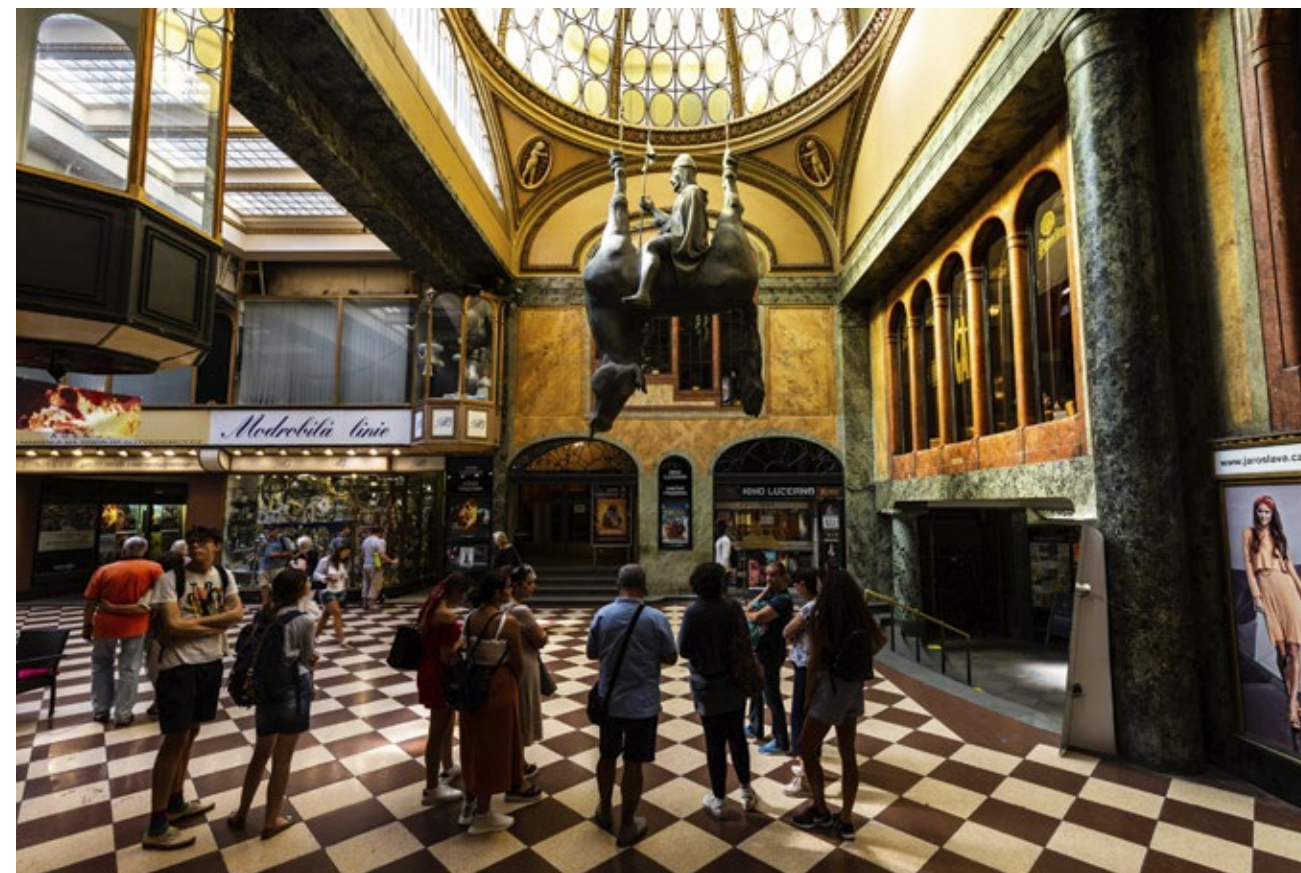
telewizyjnej Žižkov. *Dzieci* „urodziły się” w okolicznościach przyznania Pradze tytułu Europejskiej Stolicy Kultury. I tym razem nie jest to tylko ciekawa praca, lecz ironiczna refleksja na temat niedojrzałości skomercjalizowanej czeskiej kultury. Na taki trop mogą naprowadzić szczeliny do wrzucania monet zastępujące niemowlakom twarze.

Open Eyes Economy ma w Czechach swój odpowiednik, za jaki można uznać wybitną książkę ekonomisty Tomáša Sedláčka *Ekonomia dobra i zła*. Sedláček jest przyjacielem Černego, można więc żartobliwie (choć jest w tym przecież ziarno prawdy) wskazać na naturalne i bliskie związki kultury i ekonomii.

Sztuka współczesna spod szyldu Davida Černego jest ważną częścią społecznej dyskusji na temat ekonomii i konsumpcyjnej rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć i jaką możemy współkształtować. Z tej perspektywy jedną z ważniejszych prac Černego są *Nogotyłki*. Wielkie białe pupy wznoszą się na wysokość 2 pięter. Można się na nie wspiąć po drabinie po to, by odważnie włożyć swą głowę do środka i obejrzeć wideo, w którym występują, a jakże!, ulubiony były czeski prezydent artysty – Václav Klaus – i Milan Knížák, były dyrektor praskiej Galerii Narodowej. Panowie znajdujący się w pupie maczają w zupie łyżki, objadając się (znów krytyka konsumpcjonizmu?) przy akompaniamencie *We are the champions* (krytyka głupiej, bezmyślnej władzy i wpływu państwa na kulturę?). Na pewno jest to wyjątkowy pomnik opiewający wartość, jaką jest wolność słowa, i genialny instrument służący do interakcji z widzami, będący godną okładki „Open Eyes Magazine” kwintesencją stylu Černego.

Embrion to instalacja osadzona na rynn timeru Na zábradlí. Prezentuje się szczególnie interesująco po zmroku, ponieważ wtedy można odnieść wrażenie, że widzi się żywą istotę, która utknęła w tej rynnie. Nie wiadomo, czym/kim jest ta istota. David Černý nigdy nie mówi, „co artysta miał na myśli”. Od myślenia są odbiorcy sztuki, artysta ma do tego myślenia prowokować. *Embrion* może kojarzyć się ze splekowanym w toalecie usuniętym płodem, który zaklinował się w rurze i uparcie żyje dalej. I zawstydzająco kłuje w oczy, bo splekanie go miało doprowadzić do usunięcia bez śladu ważnego elementu rzeczywistości.

Hanging Man zwisający nad zbiegiem uliczek Na Perštýně i Jiřskéj to tak naprawdę rzeźba Sigmunda Freuda – mało kto pamięta, że był on Czechem. Urodził się w czeskim miasteczku – dzisiejszym Příborze. Dlaczego Freud chce skoczyć? No



cóż, świetne pytanie, skoro poświęcił swoje życie próbom wyjaśnienia, w jaki sposób na ludzkie decyzje wpływają emocje i instynkty.

Obrazoburca czy wnikliwy obserwator? Co tak naprawdę robi Černý? Poniża ludzi dla sławy i chwały? Wywołuje skandale dla pieniędzy? Czy też tworzy w przestrzeni publicznej sztukę współczesną, w którą włączeni zostają właściwie wszyscy?

Twórca ten kształtuje czeski krajobraz, świadomie stosując narzędzie prowokacji pozwalające stawiać pytania, czasem zmuszające do reakcji, a czasem prowadzące do wyciągania ważnych wniosków.

Czy Černý obraża? A może naigrawa się z tego, co naprawdę śmieszne – a często odwrotnie – straszne? Taki śmiech przez łzy.

Rzeźby Davida Černego stoją na straży wartości i czeskości, której mianownik stanowi poczucie humoru. Przypominają, jak niebezpieczna jest władza oddana w ręce miernot. Dają do zrozumienia, że kultura, jeśli ma się rozwijać, nie może być ograniczana przez instytucjonalne wytyczne.

Czuwają nad przestrzeganiem wolności słowa i przekraczają granice. A nam, Polakom, udowadniają, że przydałoby się nam trochę dystansu do samych siebie.

PS David Černý i Tomáš Sedláček zostali zaproszeni do wzięcia udziału w Open Eyes Economy Summit 2018. W następnym numerze „Open Eyes Magazine” z pewnością podsumujemy ich wystąpienie. A naszych czytelników serdecznie zapraszam na wycieczkę do Pragi i Pilzna szlakiem opisanych tu instalacji – niezwykle doznania gwarantowane! 📍

Mateusz Zmyślony

Ekologiczne nie zawsze znaczy uczciwe

Do Polski trafia coraz więcej jedzenia z Sycylii. Ludzie kupują rzeczy, których wcześniej nie jedli, często opatrzone są one nalepką informującą, że produkt jest ekologiczny. To wcale nie oznacza, że ta żywność powstała w uczciwy sposób. Bo jak jabłko z polskiego sadu może kosztować tyle co pomarańcza?

– Któregoś dnia przyszli do mnie pracownicy spółdzielni – ci z magazynu – i powiedzieli, że chcieliby dostać ubrania z logo spółdzielni. Nie ukrywam, że się zdziwiłem – mówi Andrea Valenziani, jeden z założycieli In Campagna. – Dostawali odzież do pracy, rękawiczki itp., ale bez nadruków. Wydawało mi się, że o wszystko zadbałiśmy, że zaczęli u nas pracować m.in. po to, żeby pozbyć się symboli wielkich firm i zapomnieć o tym, jak ich tam traktowano. A tu taka prośba. Powiedziałem jednak, że to nie problem, tylko musimy przedyskutować sprawę na zebraniu. Dopiero tam zrozumiałem, o co im chodzi – wspomina Valenziani.

Na zebraniu spółdzielczym prośba przekształciła się w oficjalny wniosek, a wraz z nim przyszło wyjaśnienie. Pracownicy magazynów i gospodarstw, jak każdy, po pracy zachodzą na espresso i rozmawiają ze znajomymi i nieznajomymi. Większość osób, którym opowiadają o swojej pracy, jest pozytywnie zaskoczona, niektórzy zazdroszczą, ale nie wszyscy dowierzają. Ekipa z In Campagna jest po prostu dumna z tego, gdzie pracuje, i chciałaby mieć logo na plecach, żeby móc się pochwalić. – Wybraliśmy kamizelki z mnóstwem kieszeni. Ludzie takie lubią, bo mają gdzie

schować różne drobiazgi. Nieczęsto dostaję dowody na to, że robimy coś wartościowego – podkreśla Valenziani.

Złamana ręka

Spółdzielnia, czy raczej kooperatywa, do której należy też farma rodziny Valenzianich, pracowała na swoją markę przez wiele lat. Początki nie były łatwe, mimo że tym, co stanowi o atrakcyjności kooperatywy, jest sposób traktowania pracowników. Andrei Valenzianiemu od samego początku zależało na tym, żeby pracownicy farmy nie byli traktowani tak jak w wielu innych gospodarstwach na wyspie. Praca przy zbieraniu owoców to zajęcie dorywcze. W okresie zbiorów zatrudnia się więcej pracowników, a po paru miesiącach nie ma dla nich zajęcia. Dlatego chłopcy sycylijscy przyzwyczaili się, że wypłatę dostają do ręki, często na czarno, a jeśli zawierają jakąś oficjalną umowę, to minimalnie opodatkowaną.

– Kiedy zaczynaliśmy, farmy płacące składki zdrowotne za swoich pracowników były ewenementem. Nie mogłem jednak zgodzić się na to, że zatrudnimy kogoś i nie bierzemy za niego odpowiedzialności – tłumaczy Valenziani. – Nasi robotnicy dość długo nie zauważali różnicy. To, że z każdym

podpisuję umowę i odprowadzam składki, uznawali za swego rodzaju dziwactwo. Nie rozumieli, po co to robimy, bo niby na papierze było napisane, że ich zarobki są wyższe, ale na rękę dostawali tyle samo co gdzie indziej.

Ich podejście się zmieniło, kiedy jeden z robotników, na stałe zatrudniony w gospodarstwie, złamał rękę. Został odwieziony do szpitala, gdzie, zdumiony, dowiedział się, że za leczenie nie zapłaci ani grosza. Następnego dnia pojawił się w pracy, z ręką w gipsie i na temblaku. – Bał się, że jeśli nie przyjdzie, nie zarobi albo nawet straci pracę. Przez kilka godzin tłumaczyłem mu, że należy mu się zwolnienie na czas choroby, bo przecież płacimy składki. Był przestraszony, nie rozumiał, o co chodzi. Po raz pierwszy w życiu czegoś takiego doświadczył – wspomina Andrea.

Uczciwość kosztuje

Nie chodzi jednak tylko o uczciwe warunki pracy. Ważne jest także to, jak pracownicy są traktowani na co dzień. Fakt, że ktoś pyta ich o zdanie albo że wysłuchiwanie są ich uwagi, również wywoływał zaskoczenie. Żeby jednak czuli się szanowani, potrzebne są pieniądze. Dlatego pomarańcze nie mogą kosztować 4 zł za 1 kg. – To był nasz problem. Na tradycyjnym rynku nie zaproponowano by nam odpowiedniej ceny. Dlatego postawiliśmy na uprawę pomarańczy bez sztucznych nawozów, bez oprysków chemicznych. W Europie jest spora grupa osób, które to doceniają; docieramy do nich bezpośrednio – tłumaczy Andrea.

Zwraca on uwagę, że 4 zł za 1 kg pomarańczy w Polsce to tyle samo co za jabłka. Jabłka przyjechały do sklepu spod Grójca, pomarańcze przywożone są zwykle z Hiszpanii. Jak to możliwe, że ich cena jest taka sama? Zbieranie pomarańczy nie kosztuje mniej niż zbieranie jabłek. Pogoda w Hiszpanii nie jest bardziej stabilna, a sady stale trzeba tam nawadniać. Zdaniem Valenzianiego podstawowa różnica tkwi właśnie w kosztach pracy. Dlatego w Polsce za pomarańcze z jego sadu trzeba zapłacić prawie dwa razy więcej. – Kiedy kupujesz produkty od rolników takich jak my, wiesz, że każdy, kto przy nich pracował, został uczciwie potraktowany, a przyro-

da nie ucierpiała – zapewnia Andrea. – W dodatku cieszysz się owocami w 100 proc. naturalnymi. Nie mamy na to certyfikatu. Jeśli chcesz, przyjedź sprawdzić, jak to wygląda.

Il Gattopardo, tyle że na mniejszą skalę

Sycylia bardzo długo była miejscem borykającym się z dramatycznymi nierównościami społecznymi. Jeszcze w latach 50. i 60. XX w. pracownicy wielu plantacji owocowych byli traktowani prawie jak niewolnicy harujący w wielkich gospodarstwach. Analfabetyzm, bardzo ograniczony dostęp do opieki zdrowotnej, haniebny poziom infrastruktury były na porządku dziennym. Jednocześnie bardzo powoli ku upadkowi chylił się tradycyjny model gospodarki opartej na funkcjonowaniu wielkich posiadłości ziemskich – takich jak te zilustrowane w legendarnym *Il Gattopardo (Lampart)* w reżyserii Luchina Viscontiego.

Wiele rodzin nie przyjmowało do wiadomości, że świat się zmienia, a ich gospodarstwa prosperują coraz gorzej. Oparte na taniej sile roboczej plantacje miały coraz większy problem ze sprzedażą owoców, bo skupiały się tylko na produkcji, ale nie brały pod uwagę kosztów transportu (niegdyś bardzo taniego – kolejowego), nie szukały nowych kanałów zbytu ani nie planowały działań marketingowych. Wiele z takich gospodarstw szybko przeszło w ręce banków. Wiele rodzin aż do końca próbowało utrzymać *status quo*, łapiąc się nawet brzytwy w postaci niespłacalnego kredytu. Tyle że w końcu pojawiał się przedstawiciel banku, żądając spłaty. – Znam rodzinę, która przetrwała tak do lat 90. XX w. Na kilka dni przed zajęciem ich majątku przez komornika zorganizowali przyjęcie dla kilkuset osób. Wiedzieli, w jakiej są sytuacji, ale udawali, że nic się nie dzieje – przytacza przykład Valenziani.

Dziś podróż samochodem przez Sycylię pozwala zobaczyć konsekwencje takich działań. Wiele sadów zostało porzuconych, zdziczało. Przyczyniają się też do tego rosnące ceny wody. Sady na Sycylii trzeba nieustannie podlewać. Naturalnych opadów jest zbyt mało, wyspa jest też niemal zupełnie pozbawiona lasów, które pomagałyby zatrzymać wodę. Dlatego trzeba ją pompować z naturalnych lub sztucznych

zbiorników. Z tego względu jedną z najważniejszych inwestycji podjętych przez rodzinę Valenzianich było wybudowanie (przy wsparciu środków unijnych) własnego zbiornika na wodę deszczową.

Dwie drogi

– Dzisiaj masz właściwie tylko dwie możliwości, żeby utrzymać się z rolnictwa. Albo decydujesz się na wielki kontrakt z jedną z sieci handlowych i twoją jedyną rolą jest maksymalizacja produkcji owoców, albo możesz robić to, na co zdecydowaliśmy się my: postawić na jakość i uczciwość, a potem bezpośrednio szukać klientów, którzy potrafią to docenić – tak mówi ojciec Andrei, Claudio Valenziani, kiedy próbował wyjaśnić sytuację właścicieli sadów pomarańczowych. Nie potępia tych, którzy decydują się na zwielokrotnienie produkcji – chcą żyć i taką wybrali drogę. Ale to nie jest łatwe. Zaraza lub grzyb może zniszczyć zbiory z całego sezonu, co z perspektywy producenta jest katastrofą. Jeśli istnieje możliwość jej przeciwdziałania, to stosuje się opryski i nawozy.

Teoretycznie wszystko jest bezpieczne, ale Claudio nie polizałby skórki cytryny z takiej wielkiej plantacji. Zanim taki owoc trafi na półkę sklepową, jest opryskiwany na drzewie, a potem odgrzybiany po zerwaniu, oblewany płynem antybakteryjnym, a wreszcie pokrywany substancją ograniczającą parowanie wody i opóźniającą procesy gnilne. – Ale taki jest też cel pokrywania owoców tym specyfikami. Jak najmniej cytrusów ma zgnić w magazynach marketów – zwraca uwagę Claudio.

A pomarańcze uprawiane organicznie? Jeśli rolnik nie oszukuje, nie ma na nich niczego poza naturalnymi substancjami – olejkami. Taką skórkę można kandyzować, trzeba jednak pamiętać, że może być ona pokryta bakteriami czy grzybami – wszystkim, co występuje w naturze. Dlatego zdarza się, że po tygodniu od załadowania skrzynek, kiedy trafiają one do odbiorcy, jakaś pomarańcza może być zepsuta. – To zwykle konsekwencja niezauważalnego uszkodzenia skórki. Podczas pakowania ktoś lekko ją drasnął paznokciem. Tym samym osłabił naturalną ochronę owocu. W takim naciętym miejscu łatwiej się one psują – opisuje Andrea. – Ale to właśnie dowód na to, że owoce zostały niedawno zerwane, że nie są pokrywane żadną substancją powstałą w laboratoriach – tłumaczy. Sytuacje, kiedy klient dostaje zepsuty owoc, bywają kłopotliwe, ale przez lata In Campagna wypracowała metody rozmów z odbiorcami w takich przypadkach.



Zbieranie owoców cytrusowych jest w sycylijskich sadach domeną mężczyzn. To kłopotliwe, bo coraz częściej zaczyna brakować pracowników. Zatrudnianie kobiet jest dziś jednym z wyzwań na Sycylii. Nawet większa obecność imigrantów na rynku pracy nie wystarcza.

Choroby, pogoda, klienci

Rolnictwo organiczne jest co najmniej tak samo ryzykowne jak masowe. Zła pogoda, susza, atak grzybów i innych chorób drzew wszędzie mają taki sam wpływ na owoce. Choroby są nawet dotkliwsze, bo nie da się ich zwalczać środkami chemicznymi. Na farmie Valenzianich trzeba było zatrudnić botanika, który tak dobierał metody uprawy, by ograniczyć straty. Dlatego kiedy obsadzano kolejne grunty nowymi drzewkami Andrea wprowadził metodę zachowywania o wiele większych odstępów między rzędami drzew. – Nie zarażają się wtedy od siebie tak łatwo, a na pasie ziemi oddzielającym je od siebie mogą posiać warzywa, których i tak potrzebujemy albo które możemy sprzedać. Niby to banalne, ale pokazuje, jak bardzo byliśmy przyzwyczajeni do maksymalizacji wielkości zbiorów z danego obszaru – mówi Valenziani.

Nowe zasady zastosowano też przy zbieraniu owoców. Jednym z wyzwań okazało się ograniczenie strat w transporcie. Cytrusy jadą do klientów w chłodniach, co opóźnia proces przejrzenia. Zdarzało się jednak, że niektórzy dostawali zbyt wiele nadpsutych owoców. Wielkopowierzchnio-

we gospodarstwa radzą sobie tak, że przyskają zebrane owoce wspomnianą już substancją opóźniającą procesy gnilne. Jest tak skuteczna, że ogrodnicy amatorzy odradzają wrzucanie skórek cytrusów do kompostu – masa nadająca się do nawożenia powstaje wtedy z dużym opóźnieniem. Rodzina Valenzianich tego rodzaju zabiegów w swoim gospodarstwie stosować jednak nie może i nie chce.

Andrea i specjalnie zatrudniona doradczyni z zakresu botaniki bardzo długo przyglądali się temu, jak wygląda proces zbierania owoców. Próbowali ustalić, w którym momencie owoce zarażają się grzybami lub bakteriami. Zauważyli, że raz na jakiś czas owoc wypada z rąk zbierającego i ląduje na ziemi. W naturalnym odruchu pracownicy podnosili owoce i wrzucali je do koszyka. – Żeby się nie zmarnowało – mówi Andrea. – Wszyscy tak robiliśmy. To normalne. A jednak okazało się, że to wtedy skórka ma kontakt z bakteriami i pleśnią. Kiedy wprowadziliśmy zasadę „nie podnosimy z ziemi”, straty w transporcie znacznie się zmniejszyły, a my z ulgą odetchnęliśmy, że wciąż nie musimy stosować oprysków.

Nic się nie marnuje

„Żeby się nie marnowało” – to hasło trapiło rodzinę. W przeciwieństwie do gospodarstw maksymalizujących zbiory i sprzedaż w sadzie Valenzianich od wielu lat zostało mnóstwo owoców. Ich olbrzymia część przejrzała na drzewach i opadała na ziemię. – Konkurujemy jakością, przekonujemy dbałością o godność pracowników. W porównaniu z cenami z wielkich marketów nasze pomarańcze są droższe. Nie każdy jest przekonany do naszych wartości, więc nie udaje się nam na razie sprzedawać wszystkiego. Może kiedyś się to zmieni – mówi Claudio. – W sadzie zostaje wiele owoców. Uznaliśmy więc, że staną się naturalnym nawozem, gdy spadną.

Andreę kusiło jednak, żeby znaleźć jakieś zastosowanie dla niewykorzystanych owoców. Dlatego po sadzie biegają czarne świny, przypominające dziki. Jako że świny są wszystkożerne, w sadzie Valenzianich zjadają przejrzałe pomarańcze, dynie i inne owoce i warzywa, których nie udało się sprzedać lub przetworzyć. Dynie przyjeżdżają z zaprzężonego gospodarstwa. Zamiast kłopotać się ich utylizacją, gospodarz pozbywa się problemu, przekazując dynie Valenzianim.

Świny nie są oczywiście ozdobą, ale przyszłym pożywieniem. – Kiedyś czarnych świń było na Sycylii więcej. Ludzie byli biedni, więc czarna świnia, żywiąca się czym popadnie,

była wygodnym zwierzęciem hodowlanym. Teraz nie ma już takiej potrzeby, więc ich populacja bardzo spadła – wyjaśnia Andrea. – Chciałem uzyskać ze świń nie tylko mięso, ale przy okazji odtworzyć produkcję suszonych kiełbas. Dziś są dostępne w naszej ofercie, ale znalezienie masarza, który zająłby się ich produkcją rzetelnie i w tradycyjny sposób, zajęło wiele miesięcy. W końcu spotkaliśmy godnych zaufania ludzi po drugiej stronie wyspy – opowiada.

Globalizacja, polandyzacja

Największym problemem podczas szukania masarza okazało się znalezienie kogoś, kto nie stosuje nowoczesnych maszyn, siekających mięso bardzo dokładnie, ale jednocześnie sprawiających, że kiełbasa bardziej przypomina mortadelę niż salami. Ręczne krojenie nie wchodziło w grę – koszty pracy sprawiłyby, że cena kiełbasy byłaby nie do przyjęcia. – Poza tym nie miałem czasu na uczenie się nowego fachu. Chciałem znaleźć specjalistę – mówi Valenziani.

Niektórzy masarze nawet nie podejmowali rozmów, inni nie znaleźli uznania w oczach Valenzianich. Aż wreszcie po północnej stronie Etny znalazła się rodzina, która była gotowa podjąć się wyzwania. Niestety jej maszyna do mięsa była już zużyta. Części były albo szalenie drogie, jak te produkowane we Włoszech, albo niedostępne, bo trzeba je sprowadzać z... Polski. I to właśnie okazało się przełomowe przy nawiązaniu współpracy. Dzięki temu, że partnerka Andrei pochodzi z Polski, łatwiej było sprowadzić nowe podzespoły do maszyny.

Andrea i Justyna rok po roku, czasami w bardzo zaskakujących okolicznościach, odkrywali dziwną obecność polskich produktów na Sycylii. – Przywiozłam kiedyś z lokalnego marketu kilkanaście kulek mozzarelli. Śpieszyliśmy się, kupiłam coś, z czego szybko moglibyśmy przygotować jedzenie dla robotników. Mozzarella trafiła do sałatki – wspomina Justyna. – Kiedy jedliśmy, wiele osób stwierdziło, że to bardzo dobry ser, zaczęły pytać, gdzie go kupiłam. Wyciągnęłam więc opakowanie z kosza, żeby im pokazać. To był nowy produkt, nikt wcześniej tej mozzarelli nie widział. Sprawdził, kto ją wyprodukował. Zdębiałam, kiedy okazało się, że powstała w Polsce, w jednej z bardziej znanych mleczarni.

To nie był pierwszy raz, kiedy Valenziani dziwili się, że opłaca się przywozić z Polski produkty, które można by wytworzyć na miejscu, na Sycylii. – Nie chodzi o to, że wzburzyło nas istnienie konkurencji. Wręcz przeciwnie. Zmartwiło mnie, że zaprzestaliśmy produkować jedzenie

do tego stopnia, że opłaca się je przywozić z Polski, choć nie jest to tradycyjne miejsce jego powstawania – tłumaczy Andrea. – Przecież nie może chodzić tylko o koszty pracy. Sycylijscy na wsi nie zarabiają zbyt dobrze. To stawki porównywalne z dzisiejszymi zarobkami w Polsce.

Jeszcze zabawniejsza jest opowieść o pamiętce z Sycylii, którą Justyna przesała znajomej z Polski. W Katanii kupiła metalowy emaliowany czajniczek z rysunkiem ryby chętnie wykorzystywanej w kuchni na wyspie. Jak się okazało, czajniczek został wyprodukowany w Olkuszu, przyjechał do Katanii do sklepiku, a stamtąd trafił do Krakowa. – Takie absurdy globalizacji – śmieje się Justyna.

Ręce do pracy

Zbieranie owoców cytrusowych jest w sycylijskich sadach domeną mężczyzn. To kłopotliwe, bo coraz częściej zaczyna brakować pracowników. Kobiety chętnie by się zatrudniły przy takich sezonowych zajęciach, ale nie są do nich przyzwyczajone. – Owoce odcina się od gałązek za pomocą małych szczypczyków. Jeśli ktoś regularnie nie pracuje fizycznie, dłonie szybko się męczą podczas zbiorów. Pracownik nie jest efektywny – opisuje Andrea. – Zatem kobiety dość szybko rezygnują. A szkoda, bo chcą pracować i uczestniczyć we wspisanym w taką pracę życiu społecznym.

Farma poszukuje więc innowacji w postaci elektrycznych nożyc, które sprawią, że właściwie każdy mógłby obcinać owoce. – Na razie nie ma wielu takich urządzeń. Porozumieliliśmy się z jednym z producentów i będziemy testować jego nożyce. Jeśli okażą się skuteczne i łatwe w obsłudze, bardzo chętnie będziemy polecać je innym farmom. Zatrudnianie kobiet jest dziś jednym z wyzwania na Sycylii – tłumaczy Andrea. – Nawet większa obecność imigrantów na rynku pracy nie wystarcza.

Kooperatywy są popularne

Kooperatywy spożywcze są we Włoszech coraz popularniejsze. Być może, ich rosnąca liczba w jakiś sposób wiąże się z potrzebą pielęgnowania tradycji w kuchni. Żaden kraj w Europie nie ma tylu chronionych unijnymi certyfikatami produktów. Jest tam dziś co najmniej 3 tys. kooperatyw małych producentów żywności (dane z 2015 r. z raportu Tutto Bio). Niezliczone są również kooperatywy konsumenckie, a więc grupy zakupowe, których członkowie nabywają duże ilości produktów, by potem dzielić je między siebie. Dzięki temu mogą negocjować cenę, a nawet zabiegać o okazjo-

nalną produkcję określonego typu produktu (np. mydła o specjalnym zapachu). To jedna z wielu metod na skrócenie łańcucha pośredników. Rodzina Valenzianich zdecydowała się na przynależność do kooperatywy z wielu powodów. – Jednym z najważniejszych była konstatacja, że ściganie się na produkcję jak największej ilości jak najtańszej żywności nie ma sensu ani przyszłości i tak naprawdę dla nikogo nie jest dobre – tłumaczy Andrea Valenziani.

Od autora: Poznałem Andreę Valenzianiego w 2012 r. Do dziś utrzymujemy kontakt. Już ponad dekadę temu postanowił wprowadzić zmiany w swoim rodzinnym gospodarstwie i wciąż trwa w tym postanowieniu. Jest systematyczny i nieustrudzenie realizuje swoje cele. Zaczął od swojej rodziny i jak dotąd zaraził ideą spółdzielczości kilkudziesięciu przedsiębiorców i rolników, którzy zatrudniają kilkaset osób. To, co robi, nie jest łatwe, a zmiany nie są dynamiczne, ale ani razu nie usłyszałem od Andrei, by żałował. ☺

Bartosz Piłat

Mięso w menu to tylko nasze przyzwyczajenie



DOBROŚŁAWA GOGŁOZA
W ROZMOWIE
Z BARTOSZEM PIŁATEM

Mięso jest zbyt tanie, jeśli patrzymy z punktu widzenia chłodzi w sklepie. W rzeczywistości realne koszty jego produkcji są ukryte. Dlatego najwięksi producenci na świecie szukają alternatywy. Wiedzą, że obecny model jest nie do utrzymania – mówi Dobrosława Gogłozka, prezeska Stowarzyszenia Otwarte Klatki.



DOBROŚŁAWA GOGŁOZA
szefowa
Stowarzyszenia
Otwarte Klatki
działającego
na rzecz zmiany
warunków hodowli
zwierząt.

Bartosz Piłat: Pani organizacja to jedna z tych, które przekonują, że świat powinien odchodzić od jedzenia mięsa. A jednak dane pokazują, że zapotrzebowanie na mięso rośnie. Jaka jest szansa, że wasze postulaty zostaną zrealizowane?

Dobrosława Gogłozka: Mięso nie jest niezbędne w jadłospisie człowieka i nigdy nie było. Są obszary, na których miało znaczenie, takie jak bardziej suche części Ziemi, ale nie jest niezbędne. Dość dobrze pisze o tym Marta Zaraska w swojej książce *Mięsoholicy*. Mięso w naszej diecie jest, w sensie kulturowym, daniem podnoszącym status. Tak było, zdaniem Zaraskiej, zawsze w naszej cywilizacji. Nawet w społeczeństwach plemion polujących – ściganie zwierzyzny prawdopodobnie pochłaniało więcej kalorii, niż dostarczał mięsny posiłek. Z tego względu te zwierzęta

nie wystarczały, ludzie dożywiali się roślinami, nasionami. Dlatego określamy te społeczności mianem plemion zbieracko-łowickich.

Im bardziej rozwijała się cywilizacja, tym ważniejsza była rola mięsa jako wyznacznika statusu. Dość dobrze widzimy to dziś, kiedy przyjrzyć się Indiom czy Chinom. Społeczeństwa przez wieki odżywiające się przede wszystkim roślinami w ostatnich dekadach coraz częściej zaczynają jeść mięso. Rośnie bowiem grupa osób, które na nie stać. W Chinach najszybciej. A mięso jest drogie, bo jego produkcja wymaga wykorzystania o wiele większych zasobów.

Jestem jednak przekonana, że te tendencje w Indiach czy na Dalekim Wschodzie nie są przesłanką do twierdzenia, że odchodzenie od mięsa nie ma szans. Wszystkie kraje przechodzą

podobne etapy rozwoju; tym większe jest to podobieństwo, im silniej na inne kultury oddziałuje kultura zachodnio-europejska. Patrząc jednak na Polskę i pamiętam lata 90. i skok konsumpcji, często bezmyślnej – właśnie zaczynamy się reflektować. Ruchy *zero waste* nie są już marginesem, coraz więcej ludzi w Polsce zaczyna się zastanawiać nad tym, co je. To wszystko przeszliśmy w trzy dekady. Takie rzeczy dzieją się więc również w Chinach. Cykle rozwoju przebiegają tam podobnie. Dziś Chiny zbliżają się do Europy kulturowo i chcą rozwiązywać problemy Trzeciego Świata. Tak jak Bill Gates szuka alternatywy dla mięsa, tak samo poszukują jej Chiny. Z jednej strony kraj ten jest obszarem czasem dzikiego rozwoju gospodarczego, z drugiej jego władze są świadome sytuacji ekonomicznej i tego, jak ważny dla gospodarki jest stan środowiska. Chiny stają się więc coraz silniejszym graczem na polu ekologii. Zakładają firmy dbające o środowisko, wspierają finansowo inwestorów zajmujących się produkcją sztucznego mięsa, jak m.in. izraelski start-up Super Meat. Co więcej, pracują nad tym, by konsumpcja mięsa spadła o połowę. Nie sądzę więc, że starania o zmianę naszej globalnej diety są skazane na porażkę.

BP: Chiny tłumaczą swoje działania głównie względami ekonomicznymi. Nie da się rozwijać kraju i jednocześnie dewastować środowiska, wyczerpywać zasobów. Są świadome granicy, do której już blisko.

DG: Motywacja nie jest kluczowa do oceny działań. Tym bardziej, że zmienia się z czasem. Wcale nie musi być tak, że jeśli pierwotne uzasadnienie zmian jest oparte na kwestiach ekonomicznych, to nie dołączają do

niego argumenty etyczne. I odwrotnie. Jeśli obecnie dla Chin motor do działania stanowią aspekty ekonomiczne, to w porządku, ale już teraz powstają tam środowiska, które dyskutują o kwestiach etycznych i czysto ekologicznych. Trochę inaczej wygląda też ocena zachowań, kiedy rozmawiamy o firmie, niż kiedy mówimy o pojedynczym człowieku. Przedsiębiorstwo zawsze będzie bardziej skupione na wzroście finansowym, człowiek łatwiej ulega motywacjom etycznym.

Większym wyzwaniem jest chyba zmiana samooceny ludzi. Mamy tendencję do mówienia sobie: robię coś dobre albo robię coś, bo jestem zmuszony. Rzadko się zdarza, by ktoś przyznał, że robi coś źle. Dlatego często łatwiej jest pojedynczym ludzi przekonać do działań etycznych bez tłumaczenia im, że robią coś, co może mieć negatywny wpływ na przyrodę, świat, tylko po prostu zwrócić im uwagę, że powinni zadbać o swoje zdrowie, sylwetkę. Wtedy łatwiej jest zrezygnować z mięsa.

BP: Łatwiej jest przekonywać pojedyncze osoby?

DG: Zapewne tak, ale jest to mniej skuteczne, gdy idzie o osiągnięcie pewnych celów. Dlatego jako organizacja poświęcamy mało czasu na przekonywanie pojedynczych ludzi, tylko skupiamy się na instytucjach, przedsiębiorcach, których decyzje mają większą siłę rażenia. Ludziom trudno jest zmieniać nawyki, jeśli wiąże się z tym niewygoda, jeśli nie da się mieć wszystkiego i kiedy trzeba dokonać wyboru, zdecydować się na pewne wyrzeczenia. Zatem im mniej tych wyrzeczeń proponujemy, tym lepszy efekt osiągniemy. Jeśli więc na półkach sklepów coraz rzadziej będą się pojawiać jajka pochodzące z chowu

klatkowego, to decyzję o wyborze innych jajek, tych z niższymi numerami, łatwiej będzie podjąć.

Albo inny przykład. Kiedy kupujemy bilet lotniczy na dłuższą podróż, zawsze w internecie odpowiadamy w ankiecie na pytanie o posiłek: wegetariański czy mięsny, choć domyślnie podawany jest mięsny. A gdyby na odwrót? To nie tylko tańsze, bo mięso w posiłku zawsze podnosi jego cenę. ale i bezpieczniejsze pod względem sanitarnym. Gdyby domyślnym posiłkiem był ten bezmięsny, być może, nawet 80 proc. osób nie dobrałoby mięsa.

Jako organizacja chcemy więc ułatwiać dobre wybory. Są osoby, choćby blogerzy, namawiające np. do nieużywania plastikowych rurek czy jednorazowych kubków. A my uważamy, że skuteczniej jest zwrócić się z taką propozycją do instytucji. Osiągniemy większy efekt. Wielka Brytania zmierza do ustawowego ograniczenia wykorzystania jednorazowych pojemników. To będzie dotyczyło milionów osób, a nie pojedynczych czytelników bloga.

BP: Nadal jednak żyjemy w świecie, w którym te gorsze wybory przychodzą łatwiej. Producenci drobiu przekonują, że muszą w ten sposób prowadzić hodowlę, by dostarczać dużo taniego produktu dla rosnącej populacji ludzi.

DG: Zmiana sposobu hodowli zwierząt jest tak trudna, bo produkcja etyczna i odpowiedzialna środowiskowo jest droższa. Powinna być droższa – dziś mięso jest zbyt tanie, więc wpadamy w błędne koło: chcieliśmy produkować taniej, aby więcej ludzi mogło kupić mięso, więc teraz nie jesteśmy w stanie wyjść się z tego impasu i za wszelką cenę próbujemy utrzymać tanią pro-

dukcję. Kłopot w tym, że niska cena jest ułudą. Ktoś płaci za to, że produkujemy w ten sposób. Środowisko, zwierzęta płacą niskim dobrostanem, wreszcie my wszyscy, zrzucając się z budżetów państw na ochronę środowiska. Niszczenie środowiska ma znaczenie w skali kraju, ale również lokalnie. Realnie producenci nie pokrywają wszystkich kosztów produkcji mięsa. Wiele kosztów jest ukrytych – to, za co nie płacimy w sklepie, obciąża nasze domowe rachunki w innym miejscu, choćby koniecznością inwestycji w stację uzdatniania wody. To nie jest sprawiedliwe.

BP: Tych ukrytych kosztów nie widzimy i dalej chcemy kupować tanio.

DG: Ci, którzy wolą się upierać, że powinniśmy produkować dużo i tanio, po prostu przegrają.

Produkowanie żywności na wielką skalę to ślepa uliczka. Syntetycznie produkowane mięso będzie bardziej ekonomiczne. Zanim krowa urośnie, zużyje o wiele więcej kalorii, niż sama dostarczy po uboju, pomijając już to, że nie zjadamy jej całej, a tylko wybrane części. Z punktu widzenia rachunku kalorycznego Ziemi nie jest to ekonomiczna produkcja. Nie zwracaliśmy na to uwagi, kiedy było nas mniej. Dziś wyraźnie widać, że możemy mieć problemy z zasobami. Stąd m.in. przyśpieszenie wzrostu zwierząt w hodowlach – chcemy jak najszybciej uzyskać jak najwięcej mięsa jak najmniejszym kosztem. Kalorii na Ziemi jest dużo, problem w tym, że ogromną część marnotrawimy. Produkcja mięsa ze zwierząt zawsze będzie prowadzić do deficytu kalorycznego. Znowu posłużę się przykładem Chin, bo jak wspomniałam, inwestują w rozwiązania alternatywne – wiedzą, że to będzie bardziej opłacalne.



Niszczenie środowiska ma znaczenie w skali kraju, ale również lokalnie. Producenci nie pokrywają wszystkich kosztów produkcji mięsa. Te ukryte – to, za co nie płacimy w sklepie – obciążają nasze domowe rachunki w innym miejscu, choćby koniecznością inwestycji w stację uzdatniania wody.

Wielkie firmy zbyt długo myślały o tym, co będzie w przyszłym roku, a za mało o tym, co będzie za 20 lat. Dziś to się zmienia. Są firmy, które wycofują się z produkcji, w której wykorzystywane są jajka z chowu klatkowego, ale jednocześnie rozpoczynają prace nad poszukiwaniem zastępnika dla jajka w ogóle. Obecny postęp technologiczny jest tak szybki, że trudno jest planować przyszłość, by nie być oskarżonym o wróżenie z fusów.

BP: Wizja, którą pani rysuje, wielu może się nie podobać: mięso z próbki jako norma mieszkańców Polski, kraju kojarzonego z tradycyjnym rolnictwem, może przerażać.

DG: Nie ma mowy o takiej dominacji. Świat nie rozwija się jednotorowo, nie każde tradycyjne gospodarstwo jest złe samo w sobie. Będziemy mieli wiele równoległych działających form rolnic-

stwa. Mięso produkowane bez udziału zwierząt, alternatywa dla jajek, mleko niepochodzące od krowy będą stać obok tradycyjnych produktów. Różnica leży w stosunku jednego do drugiego na rynku. Hodowla będzie droga i zapewne jej produkty kupować będą ci zamożniejsi.

BP: Ostatecznie pozostajemy przy argumentach opłacalności.

DG: Być może, kury nie boli mieszkanie w klatce, która uniemożliwia jej poruszanie się, ale życie, w którym odbiera się zwierzęciu najbardziej podstawową możliwość, czyli swobodę przemieszczania się, nie może być dobre. Zwierzęta są istotami fizycznymi, gorzej znoszą inwalidztwo, bo jedyny ich kontakt ze światem jest fizyczny, więc ograniczanie ruchu to tortura. Człowiek też nie jest w stanie długo przebywać w zamknięciu. Zamknięcie psa w łazience na tydzień jest dziś

1
Ile ziemi trzeba do wyprodukowania...
(szacunki firmy Bayer)

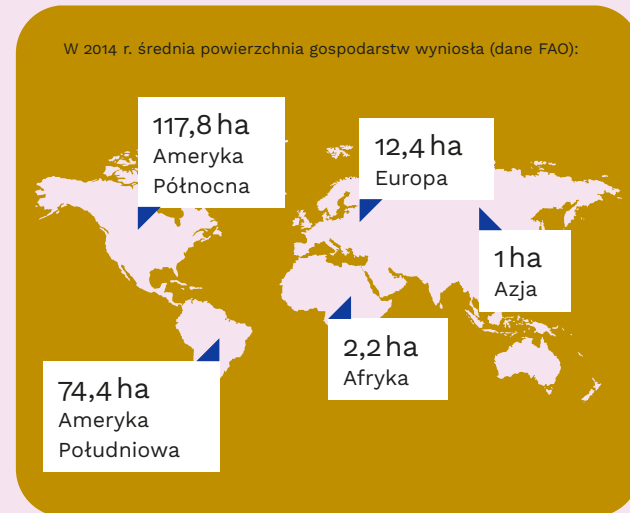


spaghetti z sosem pomidorowym –
0,45 m²

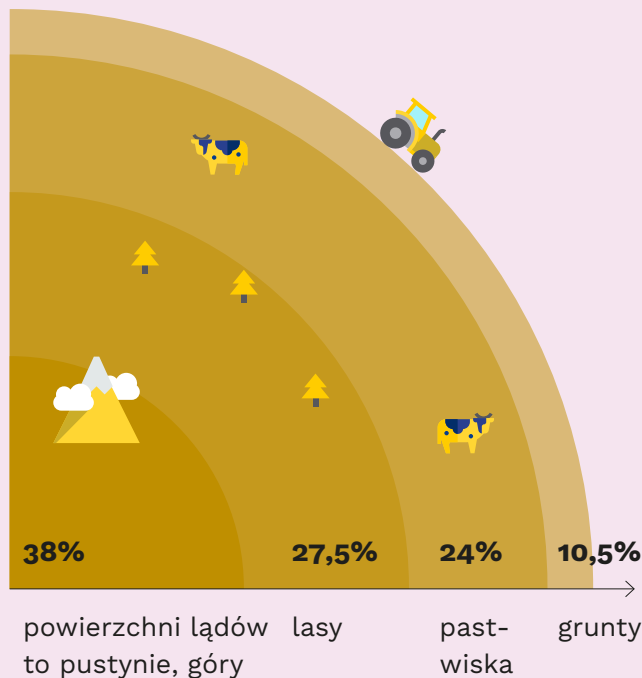


125 g mięsa – 2,23 m²
(87 proc. pochłania produkcja mięsa)

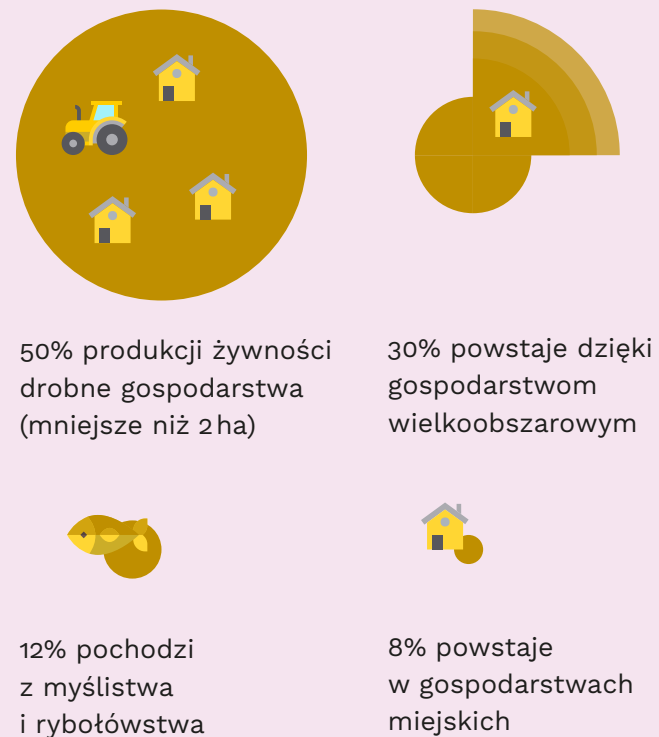
2
Jak duże są gospodarstwa?



3
Jak wykorzystujemy ziemię? (dane FAO)



4
Kto wytwarza produkty spożywcze? (dane firmy Bayer)



5
Na świecie jest tylko osiem państw, w których gospodarstwa domowe wydają na żywność poniżej 10 proc. swoich dochodów. Najmniej wydają Amerykanie. Średni odsetek budżetu przeznaczanego na jedzenie (dane USDA):



6
Każdego roku:

ginie 27 tys. gatunków zwierząt i roślin

co piąty gatunek jest zagrożony wyginięciem

uznane za znęcanie, więc dlaczego zamykanie kur w klatkach nie jest tak traktowane?

Argumentacja etyczna jest skuteczna, bardzo skuteczna. Kiedy chcemy doprowadzić do zmian, komunikujemy się z pośrednikami (marketami, restauracjami, kawiarniami). Tę grupę firm łatwiej przekonać, są o wiele bardziej elastyczne niż hodowca świń. Dla tego ostatniego ograniczenie spożycia mięsa to ograniczenie sprzedaży, a więc rzecz nie do pomyślenia. Pośrednicy nie opierają się na jednym źródle dochodu. Jeśli patrzymy na firmę McDonald's, wielu źle się kojarząca, to zauważymy, że coraz częściej wprowadza do menu produkty wegetariańskie. W Szwecji dobrze sprzedaje się burger bez mięsa. Wszystko zależy od tego, jak potraktujemy taką firmę.

Jak powiedziałam, siła pojedynczego konsumenta nie jest wielka, więc tym ważniejsze jest, by zadbać o pośrednika. W USA standardy dobrostanu zwierząt są o wiele niższe niż w Unii Europejskiej. Jednocześnie jednak nie można sobie pozwolić na to, żeby nie być dostawcą McDonald's. Firma zaś pilnuje, by zwierzęta, od których pochodzi jej mięso, były hodowane w odpowiednich warunkach. Postawa firmy ma więc znaczenie – ktoś ich do tego przekonał. Oczywiście to zachowanie polegające głównie na zapobieganiu utracie wizerunku, ale przecież nie można tego bagatelizować tylko z tego powodu. Być może, przyjdzie czas, gdy firma nie będzie tylko odpowiadać na trendy społeczne, ale sama zacznie je kreować.

Każda zmiana społeczna trwa długo, więc nie ma co się frustrować. Pracujmy. ☺

Jemy bezpiecznie, a teraz, jedząc, możemy uratować świat



DR JERZY PRÓCHNICKI
W ROZMOWIE
Z BARTOSZEM PIŁATEM

Rolnictwo ekologiczne to cenna idea, której zasady powinny być systematycznie przenoszone na rolnictwo konwencjonalne. Z punktu widzenia światowej społeczności to jednak koszt produkcji żywności i jej bezpieczeństwo ma dziś podstawowe znaczenie. Obie perspektywy da się pogodzić – a jeśli chcemy mówić o zwrocie do gospodarki okrężnej, musimy to zrobić.



JERZY PRÓCHNICKI zajmuje się efektywnością produkcji żywności. Ekspert firmy Bayer wspierający zrównoważone podejście do rolnictwa i odpowiedzialne stosowanie środków chemicznych.

Bartosz Piłat: W latach 60. ogłoszono Raport Rzymski, w którym przewidywano, że w ciągu 80 lat skończą się zasoby ropy naftowej. Te, które wtedy badano, istotnie się skończyły. Po drodze odkryliśmy nowe złoża, nauczyliśmy się lepiej wykorzystywać energię z ropy, jesteśmy oszczędniejsi. Teraz co jakiś czas ogłaszane są podobne raporty dotyczące gospodarki rolnej, tego, dla ilu ludzi jesteśmy w stanie wyprodukować żywność na ziemi. Jaki sens mają takie raporty?

Dr Jerzy Próchnicki: Lata 60. były bardzo bogate w tego rodzaju opracowania. Zaczęto sobie zdawać sprawę, jak bardzo wykorzystujemy zasoby Ziemi, określono też wtedy, czym jest zrównoważona gospodarka w szerokim sensie.

Klub Rzymski ogłosił wówczas dość precyzyjnie swoje przewidywania. W Polsce gazu i ropy naftowej mamy obecnie jeszcze na 20–30 lat, czyli tak jak wtedy przewidywano. Nasz węgiel kamienny skończy się również za jakieś 30 lat. Przy czym mówimy o dostępnych złożach, a nie tych, które owszem, są na mapach, ale ich wydobycie jest nieopłacalne, bo leżą albo zbyt głęboko, albo warstwy węgla są zbyt cienkie i pofałdowane. Oczywiście są kraje, jak Chiny, w których zasoby tych surowców wystarczą nawet na setki lat.

W Polsce mamy jeszcze dużo węgla brunatnego, ale żeby go wydobywać, trzeba by np. zrobić gigantyczną dziurę w ziemi w Wielkopolsce, co niekoniecznie ma sens środowiskowy, a i ludziom to się nie podoba.

Mówię o tym tak szeroko, bo pojęcie gospodarki zrównoważonej dotyczy każdej dziedziny gospodarki: rolnictwa, energetyki, przemysłu maszynowego, budownictwa, transportu itd. Jeśli chcemy mówić o rolnictwie zrównoważonym, nie możemy zignorować innych gałęzi naszego życia. Tym bardziej, że wszystko, o czym mówimy, nakłada się na dyskusję o globalnym ociepleniu. Paliwa, o których mówimy, to paliwa kopalne – spalając je, wytwarzamy gigantyczne ilości dwutlenku węgla, ten zaś ma wpływ na systematyczne podnoszenie się średniej temperatury Ziemi. To z kolei prowadzi do wzrostu częstotliwości katastrofalnych zjawisk przyrodniczych, a więc ma też wpływ na rolnictwo.

Dwutlenek węgla nie jest jedyną substancją wpływającą na globalne ocieplenie. Dyskutujemy o nim, bo jest charakterystyczny dla naszej

gospodarki energetycznej i emitujemy ogromne jego ilości. Zapomina się jednak, że emitujemy również bardzo dużo metanu, a ma on dziesięciokrotnie większy wpływ na ocieplenie klimatu niż taka sama ilość CO₂.

Emisja metanu jest zaś ściśle związana z tym, jakie jest nasze rolnictwo, w jaki sposób uprawiamy glebę, a w jaki hodujemy zwierzęta. Jeśli więc wiele krajów przechodzi na energię ze źródeł odnawialnych i energię atomową (niesłusznie obecnie uważaną za groźną i szkodliwą), to w tych samych krajach dużo poważniej traktuje się rolnictwo zrównoważone, a więc takie, które nie dość, że ma wiele innych zalet, to jeszcze prowadzi do spadku emisji metanu. To są części składowe tej samej idei ochrony zasobów Ziemi dla przyszłych pokoleń.

BP: Unia Europejska już ponad dekadę temu wyraźnie zasygnalizowała, że należy dążyć do rolnictwa zrównoważonego.

JP: W latach 70. zaczęto dostrzegać, że zasoby Ziemi są ograniczone, i powrócono do pomysłów jeszcze z XVIII w., kiedy zauważono, że zasobami lasu powinno się zarządzać tak, by mógł się sam odradzać, a więc nie przesadzać z wycinką. Wiek XIX okazał się okresem rewolucji technologicznej i idee dotyczące zrównoważenia poszły w odstawkę. Jednak już na początku XX w. te pomysły wróciły do łask i na przełomie lat 60. i 70. XX w., kiedy publikowano wspomniane raporty, zrodziła się idea rolnictwa zrównoważonego. Uznano, że rozsądnie wykorzystując zasoby świata, z myślą o przyszłych pokoleniach, pozwolimy na ochronę i odtwarzanie się oraz utrzymanie zasobów Ziemi.

Mówimy więc w rzeczywistości o potrzebie zrównoważenia całej gospodarki. Człowiek potrzebuje do życia gleby, która nie urodzi niczego bez wody, którą nie jesteśmy w stanie gospodarować bez energii.

W przypadku dyskusji o rolnictwie skupiamy się na tym, jak wpływa ono na przyrodę – w Polsce się o tym zapomina i nie edukuje się społeczeństwa w tym kierunku. Mówiąc o środowisku, powinniśmy zapomnieć o przymiotniku „naturalne”. W Polsce nie ma już środowiska naturalnego, poza skromnymi wyjątkami, jak Puszcza Białowieńska, która ostatnio znowu trochę tej naturalności straciła.

Mamy środowisko, które jest efektem działań człowieka. To nie oznacza, że jest złe. Więcej: powinniśmy je nadal chronić. Zaś rolnictwo jest największym źródłem zagrożeń polskiego środowiska, polskie rolnictwo jest największym szkodnikiem Bałtyku. Blisko 60 proc. związków azotu spływających do Bałtyku polskimi rzekami pochodzi z polskiego rolnictwa, a i tak jest lepiej niż kiedyś. Przedtem spływała jeszcze gnojówka itd. Teraz taka ilość związków azotu to przeważnie efekt złego, nieprofesjonalnego nawożenia gleby.

BP: Jak to zatem jest z naszą żywnością? Podobno żaden kraj w Europie nie ma tak dobrej. Wspomniał pan, że w Polsce nie ma środowiska naturalnego – może chociaż żywność jest bliższa naturalnej niż w innych krajach?

JP: Nasza żywność nie jest ani „naturalna”, ani tzw. zdrowa. I 30–50 lat temu też nie było lepiej. Po pierwsze, nie ma czegoś takiego jak „zdrowa żywność” – jest tylko żywność dająca

gwarancję bezpieczeństwa lub niedająca tej gwarancji. Tylko tak możemy kategoryzować. Pieprz, niezależnie od formy uprawy, jest naładowany taką ilością alkaloidów, że używanie go w nadmiarze może doprowadzić do zniszczenia zdrowia człowieka. W dodatku nasi rolnicy często niewłaściwie stosują nawozy i środki ochrony roślin, a rolnictwo bez nich w żadnym stopniu nie gwarantuje bezpieczeństwa żywności.

Mit o dawnej, dobrej polskiej żywności może się brać z tego, że ominął nas skok technologiczny drugiej połowy XX w., a więc używaliśmy mniej środków ochrony roślin i nie mamy czego redukować w przeciwieństwie do krajów Europy Zachodniej.

BP: Część rolników używa ich nieodpowiedzialnie, a to się przyczyniło do przekonania, że są groźne.

JP: Wedle tej zasady nieodpowiedzialność niektórych kierowców samochodów powinna doprowadzić do tego, że wprowadzimy zakaz używania pojazdów. Co roku ginie ok. 3 tys. ludzi, kilkadziesiąt tysięcy odnosi rany w wypadkach samochodowych. Nawet 5 osób w skali roku nie zatrzuwa się środkami ochrony roślin.

BP: Rolnictwo ekologiczne zakłada jednak minimalizację udziału chemii i maszyn.

JP: Kiedy w latach 60. i 70. powstał nowy nurt filozoficzny, będący podstawą rolnictwa ekologicznego, dość szybko doszło do obwarowania rolnictwa certyfikatami, które miały określać, w jaki sposób definiować i kontrolować rolników. Nad sensem ekonomicznym tego rodzaju rolnictwa zaczęto się zastanawiać dopiero na

początku XXI w. Ujawnione zostały wtedy mniej atrakcyjne informacje, bo okazało się, że rolnictwo ekologiczne jest 2–3 razy droższe niż rolnictwo konwencjonalne.

Głównym problemem naszego światowego rolnictwa jest bowiem to, że uprawiamy rośliny pochodzące z innych kontynentów i środowisk. Jeśli chcielibyśmy na poważnie potraktować podejście ekologiczne, a więc wybrać rośliny, które byłybyśmy w stanie uprawiać bez pomocy i bez szkodenia innym roślinom, to w Polsce musielibyśmy poprzestać na koniczynie, chmielu, szparagach, owsie i życie. Poradzą sobie zapewne jeszcze len i gryka przywiezione tysiąc lat temu z Azji.

Najprostszym testem dla laika jest zasianie, posadzenie jakiejś rośliny i pozostawienie jej na rok lub kilka lat. Jeśli po roku nadal rośnie ona w tym samym miejscu, to znaczy, że jest w stanie konkurować z rodzimymi roślinami bez naszej pomocy. Więcej niż 90 proc. roślin uprawianych dzisiaj w Polsce nie przejdzie tego testu. Najczęściej pochodzą z innych kontynentów albo z innych części Europy, jak np. pszenica, cebula, marchew, ogórki znad Morza Śródziemnego. Kukurydza, ziemniaki, pomidory są z Ameryki Południowej. Uprawiamy je w Europie od 500 lat, w Polsce od niespełna 200 lat. Bez pomocy rolnika sobie nie poradzą, rolnik musi więc likwidować miejscową konkurencję (chwasty, grzyby, owady itd.), zabijając inne rośliny, żeby lepiej rosły te uprawiane przez niego. Musimy je wspomagać: mechanicznie, chemicznie, w różny sposób. Nawozimy, odchwaszczamy, podlewamy, chronimy. No i dzięki temu mamy plon.

BP: Każda pomoc roślinom to już rolnictwo.

JP: Rolnictwo to nic innego jak zarządzanie bioróżnorodnością. Rolnik ogranicza ją, żeby na jego polu rósł jeden gatunek, maksymalnie kilka. A konkurentów, chcących skorzystać z tego, co on uprawia, jest wielu. Szpaki w sadach czereśniowych bardzo się cieszą z pracy rolnika, mszyce tylko czekają na liście naszych upraw... Jeśli mówimy o działce o szerokości 5 m i długości 10 m, to normalne, że rolnik pracuje prawie wyłącznie siłą własnych rąk i, chroniąc swój plon, stosuje tylko zabiegi mechaniczne (plewa, podlewa, czasem nawozi kompostem albo gnojem). Jednak kiedy widzę reklamę jednej z sieci handlowej, w której rolnik przekonuje, że jego 8 ha buraczków jest chronionych tylko dzięki zastosowaniu takich ekologicznych metod, czyli ręcznie!, to trafia mnie szlag, bo wiem, że to nieprawda. Cena takich buraczków byłaby dziesięciokrotnie wyższa niż innych na rynku, a nie jest.

Rolnictwo ekologiczne jest jednak bardzo ciekawym i potrzebnym kierunkiem. To, że wpływa na zwiększenie liczby miejsc pracy, nie jest jedyną zaletą. Bezsprzecznie taki rodzaj uprawy pozytywnie wpływa na bioróżnorodność. Inna sprawa, że od 20 lat regułą w rolnictwie konwencjonalnym jest to, że chemiczne środki ochrony roślin są ostatnią metodą walki z patogenami w hierarchii postępowania w ochronie roślin.

Rolnictwem ekologicznym rządzi jedna bardzo mądra zasada: bazuje ono na płodności gleby. Zakłada, że nie można traktować gleby jako substratu, do którego rolnik tylko dorzuca nasiona, wodę i nawozy. Tak się nie da. Gleba nie jest gąbką, którą nasączamy

potrzebnymi substancjami. Gleba jest wrażliwym organizmem żywym i bardzo łatwo ją zdewastować nawet w rok do tego stopnia, że odbudowywanie jej zajmuje aż dwie dekady.

Z rolnictwem ekologicznym nie ma kłopotu, to wartościowy kierunek dający wybór klientom, jest za to z problemem z ludźmi, którzy traktują je ideologicznie i bardzo rzadko odwołują się do rzeczywistych liczb, skłaniając się raczej do populistycznej argumentacji.

BP: Jabłko jest jednym z symboli polskiego rolnictwa. Da się je uprawiać ekologicznie w opłacalny sposób?

JP: Zaczniemy od tego, że jabłko nie pochodzi z naszej części świata, musimy je więc chronić. Możemy zdecydować się na owoc z sadu konwencjonalnego – jabłko będzie opryskiwane różnymi środkami, drzewo będzie chronione przed insektami, grzybami i chorobami. Jednak skórka owocu będzie w pełni bezpieczna, pozbawiona niebezpiecznych substancji czy niebezpiecznych stężeń takich substancji w miększu.

Możemy też zdecydować się na jabłko ekologiczne. Roślina o nazwie jabłoń, jak każda inna roślina, sama z siebie produkuje pestycydy, które mają ją chronić przed owadami. Jeśli na skórcie ekologicznego jabłka znajdzie pan coś w rodzaju małego półksiężycy, to znaczy, że to jabłko samo się obroniło przed szkodnikiem. Larwa zaczęła się wgryzać w jabłko, a ono wyprodukowało substancję, która je zabiła. Rośliny, które zjadamy, same produkują ogromną ilość pestycydów – jest ich na owocu ekologicznym 1 tys. razy więcej niż tych, które pozostają po zabiegach ochrony roślin wykonywanych przez rolnika! Dobrze prowadzony sad

konwencjonalny przyniesie jednak ponaddwukrotnie wyższe plony, bo narzędzia stworzone przez człowieka, przewidywalne i zbadane, są skuteczniejsze niż te naturalne.

Przywołajmy przykłady innych roślin. Co by się stało, gdyby zjadł pan kilka kilogramów pomidorów w bardzo krótkim czasie? Zatrąbył się pan. A my jemy maksymalnie kilka sztuk dziennie, więc zapomnieliśmy o tym, że są trujące. Od czasu sprowadzenia pomidorów z Ameryki Południowej doprowadziliśmy zresztą do skrzyżowania ok. 8 gatunków roślin psiankowatych, aby otrzymać pomidory, które obecnie jemy. Za sprawą tych krzyżówek zmniejszyliśmy ilość szkodliwych substancji. Podobnie ziemniaki. Gotujemy je, by rozłożyć jedną szkodliwą substancję (solaninę) i się nie zatrucić, ale nawet po ugotowaniu pozostaje w ziemniaku inna szkodliwa substancja (solanidyna). Żeby odczuć jej działanie, trzeba by jednak zjeść kilogram ziemniaków – chyba nikt nie je tyle naraz.

Mówię o tym, bo nie mam wątpliwości, że w sensie medycznym mniej się narażamy, jedząc jabłko pochodzące z sadu konwencjonalnego niż to z sadu ekologicznego. Ryzyko szkody dla zdrowia jest mniejsze. A dzisiaj największym problemem bezpieczeństwa żywności w Europie są drobnoustroje, a nie chemia. Dla zobrazowania przypomnijmy ekologiczne kiełki mungo, które nieumyte doprowadziły do śmiertelnego zatrucia bakterią *Escherichia Coli* klientów jakiejś niemieckiej restauracji.

Oczywiście jabłko jabłku nierówne. Rolnicy mogą źle zabezpieczać produkowane owoce. Należy bezwzględnie pamiętać o tym, żeby nie jeść nadpsutych owoców. Odkrajanie ich zepsutych

części niczego nie zmienia. Owad, który się wgryzł w jabłko, wydała, a te odchody rozkładają się, tworząc truczny szkodliwy dla naszych nerek, wątroby, układu nerwowego. Na takich jabłkach znajdują się też grzyby produkujące mykotoksyny o rakotwórczym działaniu. Jeśli kiedyś ludzie żyli krócej, to m.in. dlatego, że jedli uszkodzone owoce. Jeśli jednak widzimy jabłko z plamami parcha, to choć ładnie nie wygląda, jest bezpieczne. Parch mykotoksyn nie produkuje.

BP: Produkcja żywności pod kontrolą, zabezpieczanej odpowiednimi metodami, jest tańsza i gwarantuje stabilny poziom bezpieczeństwa.

JP: Każdy z nas sam podejmuje decyzję, co je. Kiedy jednak mówimy o procedurze zapewnienia żywności milionom czy miliardom ludzi, nie ma żadnej wątpliwości, że rolnictwo wykorzystujące środki ochrony jest skuteczniejsze w dostarczaniu bezpiecznej żywności.

Przywołane jabłko jest bardzo dobrym przykładem pokazującym, jak zmieniało się rolnictwo. Jeszcze trzy dekady temu jabłek nie było już w sprzedaży w grudniu; dało się wtedy kupić już tylko spartany, bardzo wytrzymałą odmianę, ale mało słodką i niesmaczną, twardą – prawie nic tych jabłek nie atakowało, bo były za mało atrakcyjne. W ciągu ostatnich 30 lat prawie całkowicie wymieniliśmy gatunki uprawianych drzew jabłoni. Mamy nowe metody ich ochrony, nowe metody przechowywania, dzięki czemu owoce można kupować przez okrągły rok. Nie musimy ich jeść przez cały rok, ale nowe metody przechowywania pozwalają na transportowanie jabłek na duże odległości.

Wraz ze wzmocnieniem trendu rolnictwa ekologicznego pojawiła się moda na stare, zapomniane gatunki jabłek. Zachodzę do sklepu i widzę sok z antonówki. Zdziwiło mnie to, sprawdziłem, ile jabłoni antonówki uprawiamy. Takie drzewa rosną w rozproszonych po Polsce sadach, łącznie na powierzchni ok. 5 tys. ha. Nie wiem, jakim cudem udało się wykupić tyle antonówki, żeby zrobić tyle soku na rynek. Pozwalam sobie na tę złośliwość, by zwrócić uwagę, że pozbawiliśmy się różnorodności jabłek, ale nie bez powodu. Nowe gatunki są pod każdym względem atrakcyjniejsze: ładniejsze, bardziej aromatyczne, trwalsze, słodsze.

Oczywiście takie jabłka, jeśli są uprawiane przez odpowiedzialnego rolnika, będą w okresie, w którym rosną na drzewie, opryskiwane – zależnie od pogody – kilkanaście razy. Ale ani razu po zerwaniu. Inaczej są traktowane np. pomarańcze. Skórki z pomarańczy się nie jada, a więc używana jest substancja opóźniająca starzenie i porażenie grzybami. W dalszym ciągu jest ona jednak nakładana w takim stężeniu, że nie ma mowy, by zaszkodziła człowiekowi. A przypominam, że owoce należy myć. Przede wszystkim ze względu na wspomniane drobnoustroje – przy okazji pozbywamy się substancji zabezpieczających powierzchnię pomarańczy czy bananów.

BP: Są jednak rolnicy, którzy decydują się na uprawy organiczne. Koszt ich owoców, ich plonów jest wyższy, poziom zbiorów niższy, wysiłek, który wkładają w to, żeby zagwarantować odpowiedni poziom bezpieczeństwa żywności, jest wyższy. Czy ma to sens?

JP: Tego rodzaju rolnictwo radzi sobie w regionach, które są wystarcza-

jąco zamożne, gdzie ludzie są gotowi zapłacić za realizację wartości etycznych. Tego rodzaju miejsc nie ma jednak wiele – niech podpowiedzą będzie to, jak trudno jest sprzedawać banany z naklejką „fairtrade”. Tymczasem tam mówi się o płaceniu wyższych stawek plantatorom, o czymś namacalnym, a nie o teoretycznym dobrostanie środowiska. Co więcej, owoce uprawiane w ten sposób mają mniejszą

trwałość, a więc nie da się ich dowieźć do każdej części świata.

BP: Owoce pochodzące z sadów konwencjonalnych często są pozbawione smaku.

JP: To nie jest kwestia rodzaju uprawy, ale przechowywania i warunków klimatycznych. Obecnie niemal wszystkie owoce można kupić na całym świecie. Mango w Polsce, truskaw-



fot. Mikołaj Gospodarek

„Gleba nie jest gąbką, którą nasączamy niezbędnymi substancjami. Jest wrażliwym organizmem żywym i bardzo łatwo ją zdezastować nawet w rok do tego stopnia, że odbudowywanie jej zajmuje aż dwie dekady.

ki na Filipinach. Truskawki dopiero od niedawna są zresztą dostępne przez cały rok na całym świecie. I to prawda, że polskie truskawki są najlepsze; w ogóle polskie owoce. To nie jest mit. Truskawki, które w Polsce dominują, to ciągle stara odmiana Senga Sengana, niezwykle aromatyczna, choć ze względu na niską trwałość nadająca się głównie na przetwory. Nasz pas Europy, od Białorusi po Niemcy, jest jednym z najlepszych, jeśli idzie o uprawę owoców. Rośliny w ciągu dnia oddychają i gromadzą substancje zapasowe, w nocy je rozkładają. Im większa jest różnica temperatur między nocą a dniem, tym intensywniejszy proces oddychania i większa produkcja substancji zapasowych, w tym substancji aromatycznych. Plony są nieco mniejsze, ale owoce smaczniejsze. W Hiszpanii uda się uzyskać na tej samej powierzchni więcej owoców, ale będą mniej aromatyczne.

Jeśli jednak zdarzy się nam kupić w sklepie owoc bez smaku, założmy, że w Polsce mówimy o mango, to jest to raczej konsekwencja niewłaściwego

przechowywania. W chłodniach, w magazynach używa się obecnie gazów hamujących naturalne procesy przereźwania i rozkładu zachodzące w zerwanych owocach. Jeśli przesadzi się z użyciem tego gazu albo zbyt późno przestanie się go używać, owoc może zostać zakonserwowany „na śmierć” i już nie odzyska swojej jakości.

BP: Kolejny raz w naszej rozmowie pojawia się ktoś, kto robi coś źle. W chłodni może przesadzić z gazem, a na polach przesadzić z nawozami. Statystycznie żywność jest bezpieczna, ale stan polskich gleb nie jest dobry. Jak do tego doszło?

JP: Wszystko zaczęło się ok. tysiąc lat temu, kiedy zaczęliśmy orać. Oranie służy spulchnieniu gleby, jej napowietrzeniu i wymieszaniu składników odżywczych, organicznych. Orząc, mieszamy glebę na dość dużej głębokości. Takie działanie przez tysiąc lat doprowadziło na terenie Polski do obniżenia zawartości substancji organicznych w glebie z poziomu 3–4 proc. do poziomu 2–3 proc. Jakość gleb poddanych gospodarce ornej spadała wszędzie w podobny sposób. Dopiero od połowy XX w. umiemy to zbadać i ocenić. Dlatego od kilku dekad zaprzestajemy orania. Na marginesie: oranie wspomaga konieczność ochrony przed chwastami i innymi patogenami, bez przewracania gleby należy – może niestety – dużo lepiej chronić uprawy niż dotąd!

Tu wracamy do metanu. Wytwarzają go nie tylko świnie i przeżuwacze w czasie wydalania. Ten 1 proc. substancji organicznej, który ubył z gleb, zamienił się głównie w metan i dwutlenek węgla. Dość jasne staje się więc, skąd wzięła się duża masa gazów

cieplarnianych w naszej atmosferze – w wyniku naszej gospodarki rolnej. Rolnictwo jest największym producentem metanu, a może być też największym reducentem węgla z atmosfery.

BP: Polscy rolnicy systematycznie „dążą” do pogorszenia sytuacji.

JP: Nikt przez lata nie zajmował się polskimi rolnikami. W polskim prawie nawet nie ma definicji zawodu rolnika. To jest ważny problem, bo nie wiadomo, czego od nich wymagać. Rolnictwo w Polsce było traktowane jako zasób siły roboczej i jednocześnie wymuszano na rolnictwie dostawy obowiązkowe – to doprowadziło do upadku wielu wsi. Do dziś jest formą ukrytego bezrobocia.

Wiedza prowadzących polskie gospodarstwa o rolnictwie jest wciąż dość ograniczona – to oczywiście ocena statystyczna. Rolnicy nie rozumieją więc, czym jest motywowane np. odchodzenie od spulchniania gleby, które dla nich jest oczywistością, bo przecież od pokoleń tak się robiło.

Tymczasem w Polsce ok. 60 proc. gleb nie nadaje się do uprawy – właściwie należałoby przestać z nich korzystać. Są zbyt kwaśne. Niezależnie od tego, co tam rolnik robi, jego plony są o 30–40 proc. niższe niż te pochodzące z gleb o odpowiednim współczynniku pH. Na taką glebę można do woli sypać azotem, a on i tak nie zostanie wchłonięty przez rośliny z powodu tej kwasowości gleby, za to deszcz go wypłucze i zanieśie do Bałtyku lub pobliskiego jeziora.

BP: To chyba nie jest zaskoczenie, że rolnicy wciąż się tym nie przejmują.

JP: Polska ma gleby polodowcowe, samozakwaszające się. Odkwaszenie powinno być u nas pierwszym krokiem.

Do 2004 r. wapno służące do odkwaszania gleby było w pewnym stopniu dotowane przez państwo. Po wstąpieniu do UE zmieniły się zasady. Wapnowanie straciło wsparcie państwa, ale zyskały je inne środki. Zatem rolnicy, nastawieni na szybki zysk – a większość z nich jest nastawiona na szybki zysk – zdecydowali, że nie mają ochoty przez kilka lat odkwaszać gleby wapnem, żeby zwiększyć plony. To było oszukiwanie się, bo prowadziło do jałowienia gleby, a wcale nie przynosiło spodziewanych efektów. W konsekwencji było i jest jeszcze kosztowniejsze niż wapnowanie. Poziom wapnowania w Polsce spadł o dwie trzecie od 2004 r. To jest jedna z najgłupszych historii, jaka się przytrafiła polskiemu rolnictwu.

Nikt nie uświadomił rolnikom, co się stanie, gdy przestaną odkwaszać, i dziś uprawa tych 60 proc. powierzchni rolnej to tak naprawdę szkoda środowisku. To wyrzucanie nasion w błoto, marnowanie nawozów i zatrucie otoczenia. Strata pieniędzy. Naszych, wspólnych, bo dopłacamy rolnikom z unijnej puli.

BP: Czy da się wrócić do rolnictwa z XIX w., radykalnie ekstensywnego?

JP: Nie da się – to powinno być oczywiste. Po pierwsze, musimy dostarczyć żywność wszystkim, a ludzi na świecie przybywa. Kiedy byłem w podstawówce, mówiło się o ok. 2,5 mld ludzi na Ziemi, dziś to 6,5 mld. Struktura rolnictwa w Polsce nie jest nastawiona na produkcję rynkową; 70 proc. ziem w Polsce produkuje tylko 30 proc. potrzebnej nam żywności.

BP: To konsekwencja rozdrobnienia. Da się je obronić?

JP: Wielkością gospodarstw nie da się oceniać ich działania. Z 2 ha

warzyw można się utrzymać, ale z 2 ha ziemniaków czy żyta już nie. Dwa ha szklarni albo sadu będą dawały zyski, ale 2 ha rzepaku lub pszenicy nie zapewnią rolnikowi odpowiedniego zarobku.

Wielkość jest ważna do oceny możliwości samoodtworzenia gospodarstwa. Standardowe gospodarstwo z uprawą mieszaną musi mieć przynajmniej 70 ha, żeby było je stać na nowe maszyny, dobudowanie nowych budynków, naprawienie sprzętu, wyremontowanie wodociągu i żeby jednocześnie dało się z niego wyżyć. Przy żyznej glebie może wystarczy nawet 50 ha. W Polsce na 2 mln gospodarstw tylko 52 tys. to gospodarstwa mające ponad 50 ha. Większość nie jest w stanie się odtworzyć. Dlatego po polskich wsiach wciąż jeżdżą maszyny mające po 40–50 lat. Są też tacy, którzy kupują do 20 ha maszynę za 1 mln zł i nie są w stanie na nią zarobić i spłacić kredytów.

To nie musi być jednak powierzchnia należąca do jednego gospodarza. Taki rolnik nie musi używać przecież tylko swojego ciągnika. Na przykład w Austrii, gdzie też są mniejsze gospodarstwa, to standardowa praktyka, że kilku gospodarzy kupuje jedną maszynę. Dla żadnego z nich nie byłoby ekonomiczne kupowanie jej na własną rękę. Niedawno weszły w życie regulacje dla grup producenckich – to wspólne działanie ma sens, bo się opłaca.

W Polsce najczęściej takich grup jest na północy kraju. Mogę przywołać przykłady takich grup, w których 6–8 rolników pracuje razem, wspólnie podejmują decyzje, biorą kredyty. Gospodarstwo „Natura” koło Lęborka jest w rzeczywistości wspólnotą 6 gospodarzy – powstała spółdzielnia.

I oni są opłacalni. Znam też inne gospodarstwo pod Starogardem Gdańskim, gdzie w podobnych warunkach działa 10 gospodarzy.

Konsekwencją tej złej struktury polskiego rolnictwa jest fakt, że nie przynosi ono państwu właściwie żadnych korzyści. Kosztuje tyle, ile zysków przynosi. Przypomnę, że do tego rachunku wliczane są unijne dotacje. Nawet inwestycje dokonane dzięki UE nie spowodowały wyjścia w stronę zysków.

BP: A jak jest z bioróżnorodnością? Rolnictwo tradycyjne powinno być pod tym względem lepsze.

JP: Jest duża, w Polsce może nawet za duża. Populacja dzików czy saren jest tu jednym z przykładów wskazujących, że nie mamy z tym kłopotu. Kiedy mówimy o rolnictwie, to trzeba zwrócić uwagę, że jednym z największych czynników wpływających na kierunek jego rozwoju był rozwój miast jako skupisk ludzkich. Punkty przetwórstwa żywności nie dlatego zaczęły się powiększać i standaryzować, by zarobić więcej pieniędzy, ale by móc dostarczyć produkty stabilnej jakości – rozumianej jako bezpieczeństwo zdrowotne i jako cechy żywności.

Przy takiej produkcji żywności wytwórca musi mieć gwarancję stabilnego surowca, a więc szuka producenta, który będzie w stanie dostarczyć go w odpowiedniej ilości i jakości. Zwykle to jeden lub kilku dużych producentów, a nie setki małych.

Wielka skala produkcji daje szansę na bezpieczne wyżywienie wielu ludzi, na stabilność tej produkcji, ale z pewnością nie pobije świetnych rzemieślników. Przytoczmy choćby przykład

piwa. W Polsce jest ok. 200 małych browarów i one wytwarzają zwykle smaczniejsze piwo niż to z wielkich koncernów. W moim mieście kiełbasę kupuję u swojego masarza, szynkę kupuję gdzie indziej, bo oni „nie mają serca” do szynki, choć wiem, że tam ze 100 g mięsa nie robi się 140 g szynki. Mam jednak świadomość, że taki zakład masarski nie będzie w stanie wyżywić mojego miasta, rozwinąć produkcji i utrzymać jakości kiełbasy, którą tak lubię. Nie byłoby w stanie zaopatrzyć się lokalnie w mięso potrzebne do produkcji dla miasteczka wielkości 10 tys. ludzi.

Masowa produkcja żywności chroni nas przed jej marnowaniem, właśnie dzięki tej stabilności.

BP: Marnowanie mięsa jest szczególnie przykre.

JP: W ogóle jemy za dużo mięsa. Nie w tym rzecz, żeby zmusić ludzi do zaprzestania jedzenia mięsa co dzień, ale systematyczne zmniejszanie spożycia i zmienianie obyczajów żywnościowych to świetny pomysł. Dziś jemy więcej mięsa, niż potrzebujemy.

BP: To dość radykalne stwierdzenie.

JP: Racjonalne. Białko zwierzęce było w społeczeństwach przemysłowych rzeczą pożądaną i potrzebną ze względu na ówczesne warunki. Kawalek mięsa zabrany do pracy dostarczał potrzebnej energii. Tamte czasy minęły i nie potrzebujemy już spożywać 8 tys. kalorii dziennie. Nie musimy jeść tyle mięsa, tym bardziej, że dzięki naszej wiedzy jesteśmy w stanie je zastąpić w naszej diecie czymś innym.

A mięso jest szalenie drogie dla przyrody. Piękny stek argentyński (1 kg)

kosztuje nas 50 tys. m sześć. wody. Takie zwykłe mięso, jakie kupujemy w sklepie, to przynajmniej 15 tys. l zużytej wody. Energia potrzebna do produkcji 1 kg takiego mięsa wystarczyłaby nam na przejechanie 100–150 km samochodem. A mówimy tylko o 1 kg mięsa.

Białko jest potrzebne na różnych etapach życia człowieka w różnym stopniu. Osoby starsze mogą przecho- dzić na białko roślinne właściwie bezboleśnie, dzieciom szkolnym trzeba zaplanować dietę skrupulatnie, bo się rozwijają.

Tylko jednej trzeciej powierzchni łądów używamy do wytwarzania żywności, z czego 70 proc. to pastwiska, a 30 proc. grunty orne. Ponad dwie trzecie tych ostatnich używamy do produkcji pasz dla zwierząt. To pokazuje skalę kosztów produkcji mięsa. Ograniczenie spożycia mięsa choćby o połowę uwolni ogromne powierzchnie gruntów pod uprawę roślin. A trzeba pamiętać, że presja na produkcję mięsa będzie rosła. Społeczeństwa się bogacą, coraz więcej ludzi chce jeść mięso.

Przy okazji propagowania idei zmniejszenia spożycia mięsa wraca temat nawożenia ściekami i odpadami. Odpady i resztki powinny wrócić na pole jako nawóz, a nie trafić na wysypisko, gdzie po prostu zgniją i wydziela metan, a co gorsza, ten metan się zmarnuje i przeniknie do atmosfery. Z osadów ściekowych zaczyna się robić granulaty służący jako nawóz.

Obieg zamknięty wkracza wszędzie. Jeśli więc mówimy o rolnictwie zrównoważonym, to musimy myśleć o zamknięciu cyklu całej gospodarki. ☉

Migracje do Europy

ŁAD MIĘDZYNARODOWY

1



ROK

wnioski złożone o azyl UE (tys.)

zawrócone osoby (tys.)

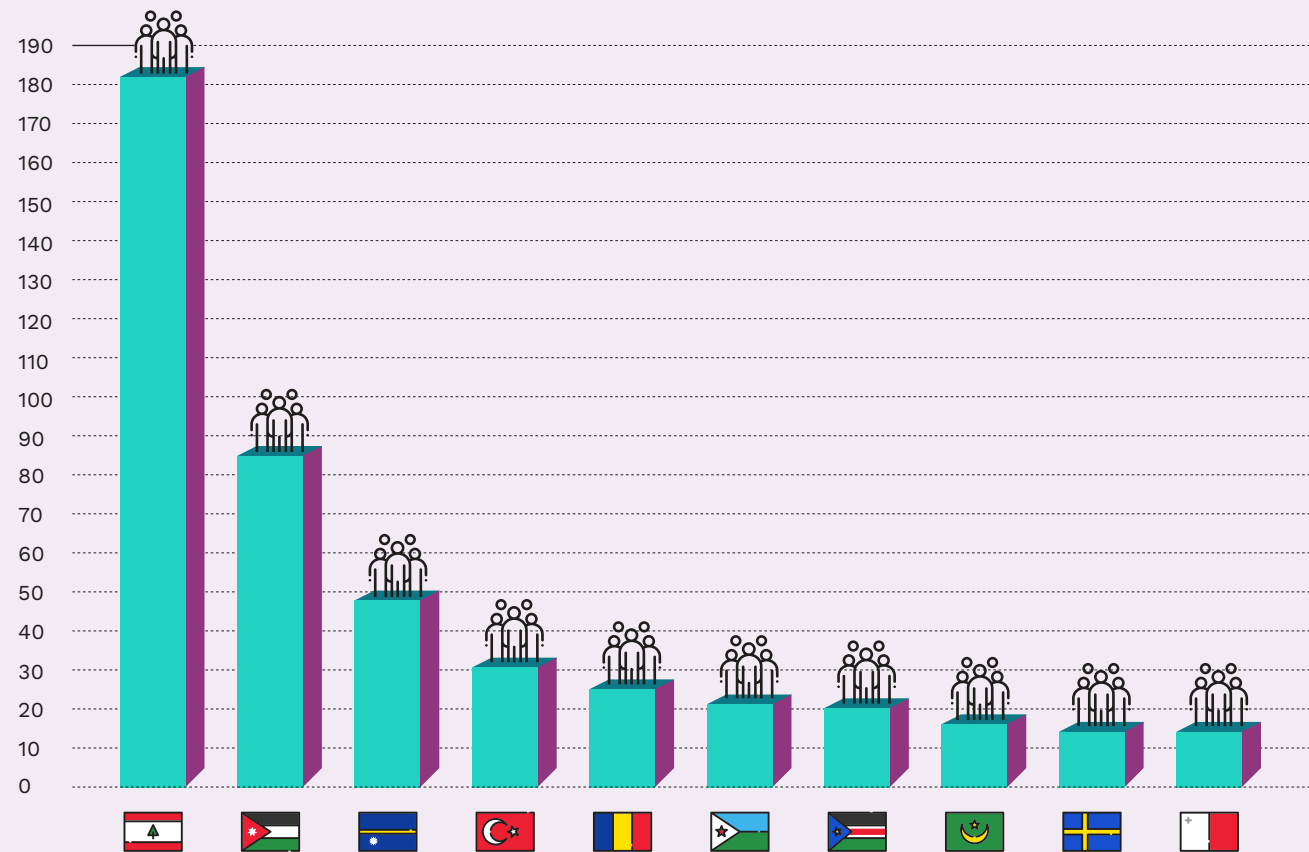
faktycznie wyjechało (tys.)

na granicy UE zatrzymano (tys.)

ROK	wnioski złożone o azyl UE (tys.)	zawrócone osoby (tys.)	faktycznie wyjechało (tys.)	na granicy UE zatrzymano (tys.)
2009	61	595	253	500
2010	66	540	225	395
2011	131	491	194	344
2012	60	483	207	317
2013	241	430	216	326
2014	675	470	192	286
2015	1417	533	227	298
2016	1150	494	246	388
2017	720	-	-	-

2

Dziesięć krajów, które gościły najwięcej imigrantów na mieszkańca, w szczytowym 2015 r. (na 1 tys. mieszkańców)



3

Rozpatrzone wnioski o azyl w szczytowym 2015 r. (tys.)



4

Kraje, które w 2015 r. przyjęły najwięcej nowych wniosków o azyl (tys.)



* 98 proc. to Ukraińcy, przed 2015 r. w Rosji nie wpłynęło więcej niż 5 tys. wniosków.
 ** Bez Syryjczyków w obozach.
 *** Większość zwróciła się do innych krajów.



Przypadki śmierci zanotowane w 2015 i 2016 r. (Frontex)



SZLAK „GRECKI”

	przybycie	śmierć
2015	885,4 tys.	806
2016	154 tys.	434

SZLAK „WŁOSKI”

	przybycie	śmierć
2015	154 tys.	2,9 tys.
2016	181 tys.	4579

Mig...racje

Migracje zawsze zmieniały świat i są zjawiskiem tak naturalnym jak pogoda. Należy starać się zrozumieć ich naturę i odpowiednio wykorzystać ich potencjał. Nie ma powodu się ich bać. Nie wolno też bagatelizować związanych z nimi zagrożeń.

Migracje od zarania dziejów kształtowały świat. Nie da się powstrzymać migracji, kiedy już do nich dojdzie. Są zjawiskiem naturalnym. Migracje nie podlegają granicom, urzędowym regulacjom, nie zatrzymują się przed wyrastającymi na ich drodze płotami – próby regulowania przepływu ludności tymi metodami są przejawem wyłącznie krótkowzroczności i wąskich horyzontów. Na krótką metę można zatrzymywać lub wprowadzać kontrolę – trzeba jednak stworzyć odpowiednie do tego warunki. Płoty otaczające Melillę powstrzymują większość imigrantów przed wdarciami się na teren miasta. Granica między Koreą Północną a Południową jest dla większości Koreańczyków z Północy nieprzekraczalna. Jaki jest koszt utrzymania tej szczelności, można się dowiedzieć, zapoznając się z danymi gospodarczymi obu sąsiadujących ze sobą krajów półwyspu.

Istnieją inne bariery, spośród których najskuteczniejsze okazują się te naturalne – geograficzne. Nowa Zelandia swoją migrację w praktyce może kontrolować. Z kolei Europa jest wobec migracji raczej bezbronna.

Zagrożenie czy okazja

Czy fale migracji zagrażają Europie? A może są jej bardzo potrzebne? Coraz starsze społeczeństwa Europy bez regularnego napływu młodych ludzi z sąsiednich krajów i tak musiałyby rozpocząć programy importu siły roboczej spoza swojego terytorium, aby utrzymać poziom rozwoju gospodarczego. Gdyby nie ok. 2 mln Ukraińców, Polska byłaby

dziś w o wiele gorszej sytuacji. Wcześniej z naszego kraju do Europy Zachodniej wyemigrowała podobna liczba młodych ludzi. W obu przypadkach powód był ten sam – poszukiwanie dobrze płatnej pracy i stabilizacji.

Dwie dekady temu przyszłe kraje Unii Europejskiej zasilają rynki pracy Wielkiej Brytanii czy Francji i Niemiec, dziś wyraźnie widać, szczególnie w Niemczech i Wielkiej Brytanii, że miało to korzystny wpływ na tamtejsze gospodarki. Pewność mamy i my, Polacy – obecność Ukraińców wpłynęła na naszą sytuację pozytywnie. Podobnie w USA miliony imigrantów z Ameryki Łacińskiej korzystnie oddziałują na sytuację całych sektorów gospodarki – zajmują się wychowywaniem dzieci, sprzątają domy i instytucje, pracują w fabrykach. Większość imigrantów na początku wykonuje proste prace, co jest naturalnym zjawiskiem. Ich kompetencje są nieznanne, poziom wyspecjalizowanej wiedzy często adekwatny do warunków, w których kształcili się w ojczystych krajach.

To wskazuje, że warto stworzyć strategię dotyczącą migracji i późniejszej asymilacji lub inny model włączenia w kulturę. Ksenofobiczni politycy mają proste rozwiązanie: budzić obawy i podsycać nienawiść do imigrantów. Ci rozsądni wiedzą, że konieczna jest budowa stabilnych społeczeństw wielokulturowych – takie środowiska dzięki wymianie kulturowej są bardziej innowacyjne, ale trudniejsze do ukształtowania. Jednocześnie wydaje się nieuniknione to, że w Europie musi panować wielokulturowość.

Kolorowe, kreatywne i dynamiczne

Mówiąc więc: nie ma się czego bać, trzeba pracować. Postawa zamknięta jest zazwyczaj bliższa osobom nieznanym z autopsji świata innych kultur. Osoby podróżujące po świecie, otwarte na różnice kulturowe, wykształcone częściej prezentują postawę otwartą. Oczywiście nie są to żelazne reguły.

Wielu ludzi żyjących na obczyźnie nawet nie stara się przenikać do otaczającej ich różnorodnej kultury. Tak było ze sporą częścią Polonii mieszkającej w mitycznym już Greenpoint. Wiele osób należących do tej społeczności chodziło wyłącznie do polskich sklepów, kościołów, trzymało się we własnym wąskim gronie. Zdarzało się nawet, że niektórzy z nich, choć mieszkali w USA przeszło 10 lat, nie znali języka angielskiego. Takie osoby z potencjału społeczeństwa wielokulturowego nie skorzystają albo korzystają bardzo słabo. Wciąż można znaleźć takie przykłady – czy to w Ealing Broadway, czy w miastach Norwegii.

Przeciwieństwem jest postawa otwarta. Nie należy jej rozumieć jako bezkrytycznej akceptacji. Wszystkim należy się szacunek, ale akceptacja innego, wywodzącego się z obcej kultury człowieka wiąże się ze spełnieniem pewnych warunków, z próbą odnalezienia wspólnoty wartości. Świetnie, jeśli może dojść do pełnej asymilacji.

Wystarczy pobieżne porównanie dynamicznych, kreatywnych społeczeństw wielokulturowych z krajów demokratycznych z tymi prezentującymi przeciwstawne postawy, by pozbyć się wątpliwości, które nastawienie jest rozsądniej-

sze. Wielokulturowe i tolerancyjne San Francisco dało światu Dolinę Krzemową. Skrajnie zamknięte i niedemokratyczne społeczeństwo Pjongjangu nie daje światu niczego poza zagrożeniem. Nie daje również niczego samemu sobie – poza biedą, zniewoleniem i wykluczeniem.

By zrozumieć opisywane tu procesy, warto zrobić trzy rzeczy:

1. Pojechać do Gdyni, by zwiedzić wyjątkowe Muzeum Emigracji;
2. Pojechać do Nowego Jorku, Londynu czy San Francisco, Berlina albo Sztokholmu – by uważnie przyjrzeć się tym miastom, oceniając ich potencjał społeczny, gospodarczy i kulturowy;
3. Przeczytać książkę *Prisoners of Geography* Tima Marshalla. Za pomocą 10 map autor wyjaśnia meandry geopolityki kształtowanej przez geografę, historię i rozwój.

Zrozumienie, które stanie się udziałem uczestnika tego empirycznego eksperymentu, będzie polegało na dostrzeżeniu szerokiej perspektywy. W tej szerszej perspektywie widać, jak historycznie media, społeczeństwa oraz różne grupy w mediach społecznościowych reagują, gdy mowa o migracjach. Zagrożenie przez nie opisywane to w rzeczywistości migracja grupy stanowiącej mniej niż 1 proc. ludzkości. W mediach widać, jak przemieszczają się budzące lęk masy ludzkie. Tymczasem zdecydowana większość migrantów to osoby przemieszczające się legalnie i dobrowolnie. Media pokazują mniejszości podróżujące w wyniku konfliktów lub



Warto stworzyć strategię dotyczącą migracji i późniejszej asymilacji lub inny model włączenia w kulturę. Ksenofobiczni politycy mają proste rozwiązanie: budzić obawy i podsycać nienawiść do imigrantów. Ci rozsądni wiedzą, że konieczna jest budowa stabilnych społeczeństw wielokulturowych.

katastrof naturalnych w ich rodzinnych krajach. Bez końca przywołują zagrożenie zamachami terrorystycznymi, tworząc atmosferę powszechnego i stałego zagrożenia w sytuacji, w której w rzeczywistości świat nigdy w swojej historii nie był bezpieczniejszy niż dziś.

Jednocześnie media nic wartościowego nie mówią nam o korzyściach płynących ze współpracy, budowania nowoczesnych społeczeństw wielokulturowych – szersze spojrzenie na migracje odnajdujemy w mniejszości mediów i rzadko w tzw. prime-time. Jak bardzo ubogi jest przekaz, który dociera do większości z nas na temat imigracji, świetnie pokazuje Roy Beck w jednym ze swoich wykładów (wystarczy wpisać w wyszukiwarce hasło *migration crisis balls*, by wyświetlił się link). Uderza już informacja o samej skali imigracji – wielokrotnie, dziesięciokrotnie mniejsza niż nam się wydaje. Jeszcze bardziej zasmucają przekazywane przez Becka dane mówiące, co stoi za decyzjami o wędrowce do innego kraju.

Szeroka perspektywa

Z tej szerszej perspektywy widać, jak stajemy się (chcąc nie chcąc) globalną wioską; jak ważne jest to, by dbać o lokalną tożsamość i kulturę, jednocześnie czerpiąc z dobrodziejstwa, jakim jest lub może być wymiana know-how, wzajemnych inspiracji i dobrych praktyk. Widać, jak za sprawą internetu łączymy się w nowe plemiona, skupione wokół nowych idei. Tak jak wiatr nie zna granic państw narodowych, tak przestały je dostrzegać wspólnoty wartości, pod warunkiem otwarcia się na różnorodność (znajomość języków obcych się przydaje).

Zglobalizowana, przybierająca coraz bardziej ekologiczny charakter gospodarka potrzebuje migracji ludzi jako siły roboczej. Globalizująca się kultura reaguje na migrację niezwykle konglomeratem reakcji, który pesymista nazwie międzynarodowym zlepkiem, prowadzącym do zatracenia lokalnych tożsamości. A optymista – pojawieniem się fascynujących możliwości, wynikających z mieszania się w tym kotle.

Oczywiście migracja ma wiele wymiarów i różne oblicza. Inne idee przyświecają lekarzowi, który postanawia zmienić kraj zamieszkania, czym innym kieruje się bezrobotny analfabeta (dane wskazują jednak, że do Europy częściej docierają ci lepiej wykształceni). Inaczej przebiega asymilacja rodziny migrujących z własnej woli, wykształconych ateistów z Polski, inna jest sytuacja zmuszonej do opuszczenia własnego kraju ogarniętego wojną głęboko religijnej rodziny z Syrii.

Wymuszone np. wojną migracje ludzi o całkowicie odmiennej kulturze, religii, obyczajach i znajomości technologii są najtwardszym orzechem do zgryzienia. Z recepcją migracji jest bowiem tak jak u Kalego. „Nasza” migracja do Wielkiej Brytanii jest OK, tak samo jak OK była nasza polska migracja do Chicago w poprzednim stuleciu. Ale migracje wyznawców islamu nie są już OK. Dlaczego? Bo ci ludzie wyznają islam, i to gorliwie (są co najmniej tak samo religijni jak Polacy). A na dodatek reprezentują kulturę, w której przyjęte jest, że ma się dużo dzieci. A to już przecież prawdziwy skandal, bo zamknięta Europa uświadamia sobie, że się kurczy, zamiast rosnać.

Z tego rodzaju problemami borykaliśmy się od zawsze. Migracje do Europy w ostatniej dekadzie stały się zauważalne

przez swą skalę – choć wciąż liczba przyjeżdżających do nas mieszkańców Bliskiego Wschodu i Afryki nie przekraczała rocznie nawet promila mieszkańców Unii Europejskiej. Krytyk tych nieuchronnych zmian wskaże na przykłady negatywne: sfrustrowanych mieszkańców dzielnic biedy we Francji, zamieszkiwanych przez imigrantów z Algierii czy Czarnej Afryki. Wylęgarnie terroryzmu w gorszych dzielnicach Brukseli. Gangi w latynoskich i czarnych dzielnicach Los Angeles. Wojny narkotykowe na granicy z Meksykiem. Mało kto zauważa jednak, że te getta inności zamieszkane są przez ludzi, którzy do Europy przyjechali nie w tym roku, nie w zeszłym, ale dekadę, dwie temu, a czasem jest to już drugie pokolenie imigrantów. Mówiąc krótko: mieliśmy czas, by temu zapobiec, a i tak trudno zaprzeczyć, że większość imigrantów to uczciwi obywatele swoich nowych ojczyzn.

O tym, że wymaga to wysiłku obu stron, w swej kontrowersyjnej wypowiedzi mówił burmistrz Rotterdamu, Ahmed Aboutaleb: Muzułmańscy imigranci, którzy nie doceniają wartości zachodnich cywilizacji, mogą spakować walizki i „wyp...”. Można by uznać tę wypowiedź za rasistowską, ksenofobiczną, niepoprawną politycznie, tylko że Ahmed Aboutaleb sam pochodzi z Maroka i jest praktykującym muzułmaninem. Bądźmy więc otwarci, bądźmy gościnni, ale na przemyślanych zasadach. Gość powinien uszanować zwyczaje nowej ojczyzny, a nowa ojczyzna – uszanować gościa. ☺

Mateusz Zmyślony

Fairtrade jest fair, czy o tym wiesz, czy nie

Produkty z oznaczeniem „Fairtrade” coraz częściej pojawiają się na półkach sklepów lub są składnikami kupowanych produktów, choć Polacy jeszcze nie dokonują etycznych wyborów konsumenckich na masową skalę. To zasługa dużych firm – podejmują one decyzje za swoich klientów.

Zwiększoną obecność produktów certyfikowanych jako „Fairtrade” widać dosłownie gołym okiem – zwracający uwagę na znak certyfikatu nie mogą nie zauważyć, że bardzo szybko przybywa w Polsce produktów z takim symbolem. Coraz częściej pojawiają się także świeże produkty z tego rodzaju oznaczeniami. – To wciąż nie jest popularne. Jeśli chodzi np. o banany fairtrade, nadal są produktem, który przywożony jest do polskich sieci handlowych raczej w ramach dostaw buforowych. Mimo to sprzedaż uczciwych produktów rośnie – mówi Krzysztof Rączkowiak z Fairtrade Polska.

Skok wartości sprzedanych produktów fairtrade w ostatnim czasie jest rzeczywiście imponujący. Wartość sprzedaży detalicznej w Polsce wzrosła z ponad 60 mln zł w roku 2016 do ponad 90 mln zł w 2017 r. W naszym kraju, jak i na całym świecie najpopularniejsze są kawa i wyroby zawierające kakao fairtrade. Udział pozostałych kategorii jest wyraźnie mniejszy, ale jeśli wziąć pod uwagę, że kawa i kakao zaliczają się do najbardziej wartościowych surowców na światowym rynku, nie zaskakuje to tak bardzo.

Co ważne, za wzrost sprzedaży produktów fairtrade odpowiedzialni są nie konsumenci podejmujący prywatne decyzje, ale przede wszystkim duże firmy, które, dbając o swój wizerunek, mają jednocześnie olbrzymi wpływ na wybory kupujących. Sieci handlowe wprowadzają na rynek coraz więcej żywności oznaczonej symbolem „Fairtrade”, a wiele firm

gastronomicznych korzysta z półproduktów pochodzących właśnie ze sprawiedliwego handlu.

Flagowym przykładem takich działań na polskim podwórku jest decyzja firmy Orlen, która dekadę temu zdecydowała o wprowadzeniu do swoich stacji automatów kawowych z kawą fairtrade. Prawie nikt na rynku nie zwrócił na to uwagi, zresztą i dziś wielu konsumentów nie ma pojęcia, że podstawiając kubek pod automat, przyczynia się do naprawiania rynku rolnego i podnoszenia jakości życia rolników z krajów Południa. – Rzeczywiście, działa bez względu na intencję, jaka przyświeca konsumentom, gdy sięgają po certyfikowane produkty. Nie ma natomiast wątpliwości, że decyzja Orleń ma olbrzymi wpływ na sytuację Fairtrade w Polsce. Z pewnością korzystne byłoby dowiadywanie się czegoś o Fairtrade podczas napełniania kubka, ale ostatecznie gdyby wszystkie sieci kawowe przyjęły taką postawę, to nawet bez edukacji Polska stałaby się wielkim rynkiem dla uczciwych produktów – ocenia Rączkowiak. – Wziąwszy pod uwagę to, jak wygląda dziś rynek dystrybucji i jak ważne są sieciowe punkty, taka decyzja, jak ta podjęta przez Orlen, działa na skalę, której rozmiary są nie do przecenienia.

Podobnie jest w przypadku kawy fairtrade, choć dane sprzedażowe wskazują, że polski rynek produktów Sprawiedliwego Handlu się dywersyfikuje. W 2016 r. napoje gorące, a więc głównie kawa, stanowiły 85 proc. wartości wszystkich sprze-



Firmy chcą docierać ze swoimi produktami do nowych odbiorców, w tym do świadomych konsumentów, którzy zwracają coraz większą uwagę nie tylko na cenę i jakość, ale również warunki wytwarzania produktów.

danych produktów z certyfikatem, a już rok później – mimo wzrostu sprzedaży produktów fairtrade w Polsce – odpowiadały za 65 proc. wartości. Znacząco zwiększył się udział wartości czekolady i słodczy zawierających składniki fairtrade – prawie trzykrotnie, z 8,5 mln zł rocznie do 23 mln zł. To znowu efekt decyzji dużych firm, w tym przypadku sieci handlowych. W 2017 r. wprowadziły one wiele produktów ze znakiem „Fairtrade”, zarówno do oferty stałej, jak i sezonowej. Firmy chcą docierać ze swoimi produktami do nowych odbiorców, w tym do świadomych konsumentów, którzy zwracają coraz większą uwagę nie tylko na cenę i jakość, ale również warunki wytwarzania produktów. – Przy okazji, tak jak na stacjach PKN Orleń, odbiorcami produktów są zarówno świadomi konsumenci, jak i ci, którzy nie zwracają szczególnej uwagi na pochodzenie produktów. Jednak bez względu na motywację zakup certyfikowanych produktów ma pozytywny wpływ na warunki życia i pracy rolników i pracowników najemnych. Liczymy, że z czasem ci nieświadomi klienci również zechcą dowiedzieć się, co właściwie kupują – żywi nadzieję Rączkowiak.

Choć polityka odpowiedzialności społecznej (CSR) jest często traktowana jako narzędzie służące do budowania wizerunku, to równocześnie firmy stosujące taką politykę w swoich procedurach mimowolnie korzystają z gotowych rozwiązań. Wpisują do swoich dokumentów działania na rzecz zrównoważonych łańcuchów dostaw, uwzględniających choćby Cele

Zrównoważonego Rozwoju ONZ, i zastanawiają się, jak te cele zrealizować. Pozyskiwanie surowców na zasadach Sprawiedliwego Handlu jest zaś gotowym rozwiązaniem w tym obszarze, wystarczy nawiązać współpracę z odpowiednimi instytucjami, nie trzeba opracowywać własnych zasad postępowania.

Coraz częściej uczciwe produkty nie są dużo droższe od tradycyjnie produkowanych, więc konsumenci tym chętniej po nie sięgają. Najpierw z ciekawości, a później dlatego, że przekonuje ich wysoka jakość, przywykają do wybierania właśnie tych produktów. Obecnie oferta polskiego rynku poszerza się z kawy i wyrobów zawierających kakao o herbaty, soki, wyroby z bawełny, orzechy, suszone owoce czy choćby wina certyfikowane przez Fairtrade. Część z nich można kupić właściwie wszystkimi kanałami zbytu, inne dostępne są wyłącznie w sklepach specjalistycznych. – Dane z poprzednich lat pokazują, że równie ważne jak edukowanie społeczeństwa jest promowanie Fairtrade wśród największych firm na rynku. Dzięki temu mogą one przyczynić się do przełomu. A korzystają na tym wszyscy: od rolnika, który zyskuje większy rynek zbytu, przez firmę, która może pochwalić się realnym wpływem na poprawę losu producentów, po konsumenta, który otrzymuje produkt wytworzony w sposób etyczny – stwierdza Rączkowiak. ☺

Bartosz Piłat



Meeting points – projekt studentek ASP

Jak przekonaliśmy się w czasie ubiegłorocznej edycji Open Eyes Economy Summit *meeting points*, czyli specjalne strefy spotkań, doskonale sprawdziły się jako punkty, w których najbardziej wnikliwi uczestnicy mogli podyskutować z prelegentami i rozwiązać swoje wątpliwości na temat interesujących ich kwestii. Współpraca z Akademią Sztuk Pięknych okazała się bardzo owocna, a projekt stanowisk zaproponowany przez studentki Wydziału Form Przemysłowych wzorowo sprawdził się podczas kongresu.

Pomysłowość i kreatywność studencka nie zawiodła. Dominika Jędrzejek i Sylwia Kruźlak zaproponowały lekką i ergonomiczną konstrukcję stanowisk w formie, która doskonale wkomponowała się w przestrzeń Centrum Kongresowego i wyróżniała na tyle, by *meeting points* można było łatwo zlokalizować. Dzięki przemyślanemu projektowi miejsce przeznaczone dla prelegentów i najbardziej dociekliwych uczestników zostało dyskretnie wydzielone, zapewniając odpowiednie warunki do rozmowy.

Zdobądź więcej

GAP.

Wydział Gospodarki
i Administracji Publicznej
Uniwersytet Ekonomiczny
w Krakowie

www.gap.uek.krakow.pl



Strefa GAP



Wydział GAP



OPENEYESFESTIVAL.PL

Wydawca

**fun
dacja
gap** FUNDACJA
GOSPODARKI
I ADMINISTRACJI
PUBLICZNEJ

Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej
ul. ks. bp. W. Bandurskiego 58/11, 31-515 Kraków

tel.: (+48) 12 423 76 05
e-mail: biuro@fundacjagap.pl

www.fundacjagap.pl

Organizatorzy
wydarzeń kulturalnych

**aa
gap** AGENCJA
ARTYSTYCZNA
GAP

HC:K nowohuckie
centrum
kultury



OPEN EYES ECONOMY SUMMIT 4!

Już dziś zapraszamy Was
na WIELKIE OTWIERANIE OCZU I GŁÓW!
19–20 listopada 2019

Nieobecności nie usprawiedliwiamy.

oee.pl



Papier wykorzystany do druku magazynu

format: 205 x 270 mm, **nakład:** 4000 egz.

środek: papier Cocoon silk o gramaturze 115 g/m², 96 stron

okładka: papier Cocoon silk o gramaturze 250 g/m², 4 strony



1345 kg
mniej odpadów



181 kg
mniej gazów
cieplarnianych



1806 km
krótsza podróż
samochodem
średniej klasy
europejskiej



52 301 l
mniej zużytej
wody



2902 kWh
mniej zużytej
energii



2185 kg
mniej zużytego
drewna